

# Uwieść aroganta

Adrienne Basso



calibre 0.9.27

**ADRIENNE BASSO**

**UWIEŚĆ AROGANTA**

**ROMANS HISTORYCZNY**

**PRZEKŁAD AGNIESZKA DĘBSKA**

*Dla Rudy 'ego, mojego męża, który po dwudziestu latach nadal pozostaje moim ukochanym,  
smagłym, przystojnym bohaterem*

# 1

*Londyn, początek stycznia 1811*

Zapadał zmierzch. Nathaniel Bennet, baron Avery i młodszy syn szóstego księcia Claridge'a, stał przed rodzinnym pałacem w Londynie. Chociaż z masywnych, mosiężnych kołatek zdjęto już czarne wstęgi, w pogrążonym w głuchej ciszy domostwie wciąż jeszcze panował żałobny nastrój, jakby smutek i żal jego mieszkańców udzieliły się murom.

Był już spóźniony, ale wciąż tkwił przed wejściem. Czekał w milczeniu, chcąc się uspokoić i powściągnąć emocje. Kieliszek czegoś mocniejszego doskonale by mu teraz zrobił. Kilka łyków whisky albo koniaku rozgrzałoby go, ożywiło i pomogło w jego zamierzeniach. Westchnął głośno, zażenowany własnymi myślami. Obłoczek pary z jego oddechu uniósł się do góry w zimnym powietrzu. Przystojny arystokrata wzruszył ramionami i wcisnął okryte rękawiczkami dłonie w kieszenie ciepłego płaszcza, żeby je rozgrzać. Wiedział jednak, że to nie z powodu zimna dreszcz przenika go do szpiku kości.

Wizyty z dnia na dzień powinny stawać się coraz łatwiejsze. Tymczasem, choć codziennie przychodził nieco później i odchodził trochę wcześniej, wcale tak nie było. Podobno czas leczy rany, ale on wciąż czuł ten sam dojmujący głęboki ból.

Nie mógł się dłużej ociążać. Ze sztucznym, przylepionym do warg uśmiechem podszedł do wejścia, usiłując nie myśleć o tym, że grecka klasyczna prostota budowli nieodparcie przypomina mu mauzoleum.

Na jego energiczne kołatanie natychmiast otworzył drzwi szczupły młody lokaj, blondyn o jasnej cerze.

Jego Lordowska Mość nie przyjmuje dziś nikogo. Może zostawi pan kartę? I wyciągnął ku niemu srebrną tacę na wizytówki w wyczekującym geście. Nathaniel zmarszczył czoło. Widocznie lokaj był nowy, skoro nie wiedział, kogo powitał w drzwiach.

- Należę do rodziny! Zdjął ciężki płaszcz i wskazał palcem opaskę z krepy na surducie. Nic trzeba mnie zapowiadać.

- Ale...

Nathaniel niedbałym gestem podał mu okrycie i odwrócił się plecami. Jego Lordowska Mość jest w salonie nerwowo wyjąkał lokaj, rzucając się do przodu, żeby palto nie upadło na śliską marmurową posadzkę.

Nie przyszedłem w odwiedziny do Jego Lordowskiej Mości - mruknął pod nosem Nathaniel.

- Ach, to pan, milordzie! - Gospodyni, pani Hutchinson, wybiegła na schody. Obfity podbródek drgnął jej, kiedy oznajmiła: Panicz już o pana pytał. Trochę się zezłościł, ale powiedziałam i jemu, i siostrze, że tylko pana patrzeć. Bardzo im na tych wizytach zależy, a ja wiem, że pan nigdy by nie uchybił takiej powinności.

Nathaniel poczuł wyrzuty sumienia, świadomy, że nie zasłużył na pochwałę. To jego brat, Robert, zawsze brał sobie do serca obowiązki rodzinne. Nie on.

- Czy dzieci już piły herbatę? - spytał, wchodząc na górę.

Nie, czekały na pana odparła. Ciężki pęk kluczy u pasa zadźwięczał energicznie, gdy dzielnie

usiłowała dotrzymać mu kroku. - Zaraz przyniosę świeżej. Dzbanek w pokoju dzieciennym pewnie już wystygł.

- Znakomicie. Nathaniel powoli wspiał się na drugie piętro. Bez wahania minął liczne drzwi w korytarzu. Dobrze znał drogę, przecież wiele razy szedł tędy w młodości. Nie zwalniał kroku, póki nie stanął przed właściwym wejściem. Bał się, że jeśli to zrobi, opuści go odwaga. Kiedy nacisnął klamkę, opanował się jednak i przybrał miły wyraz twarzy. Potem przekroczył próg. - Dobry wieczór.

Służąca siedząca w rogu zerwała się pospiesznie i dygnęła przed nim. Robótka, nad którą pilnie pracowała, spadła na podłogę - przyklekła więc, żeby ją podnieść. Nathaniel chciał jej pomóc, lecz dziewczyna zaczerwieniła się i tak zaplątała w słowach, że zrezygnował.

Przeniósł powoli wzrok na środek pokoju, gdzie troje małych dzieci siedziało przy stole, szepcząc coś do siebie po cichu.

Na kominku buzował ogień, przyjemnie ogrzewając pomieszczenie. Rozrzucone zabawki i pikowane obicia w żywych barwach powinny stwarzać miłą atmosferę. A mimo to wszystko tu tchnęło sztywnym, oficjalnym nastrojem, bardziej pasującym do salonu niż pokoju dzieciennego.

- Cieszę się, że poczekaliście na mnie z herbatą. Jestem wam szczerze wdzięczny.

Nathaniel uśmiechnął się zachęcająco, choć bez wielkich nadziei na reakcję. I rzeczywiście żadnej nie było. Stłumił westchnienie, odsunął krzesło i usiadł. Mebelki były wprawdzie przeznaczone dla dzieci, lecz podczas poprzednich wizyt przekonał się, że mocne drewno wytrzyma jego ciężar. Było mu niewygodnie siedzieć z kolanami znacznie powyżej blatu, ale zdołał się jakoś skulić na krzeselku, podkurczając długie nogi. W końcu ojciec dzieci robił to prawie codziennie, póki nie zmoęła go śmiertelna choroba.

- Czy... czy mogę ci nalać herbaty, stryju? cicho i niepewnie spytała dziewięcioletnia Phoebe.

Zaskoczony Nathaniel uniósł głowę i z nadzieją spojrzął na swoją bratanicę. Po raz pierwszy próbowała nawiązać z nim rozmowę! Podczas poprzednich wizyt była grzeczna, ale prawie się nie odzywała, a jej niepewne wybąkiwane pod nosem odpowiedzi sprawiały mu żywą przykrość.

- Jeśli wy też zechcecie się napić. - Posłał całej trójce zachęcający uśmiech.

Siedmioletnia Jeanne Marie odwzajemniła go przez krótką chwilę. Drobną dziewczynką z jasnymi jedwabistymi lokami spływającymi na ramiona miała niebieskie oczy okolone gęstymi rzęsami.

- Czy lady Julienne też może się z nami do herbaty?

- Lady Julienne? - zdumiał się Nathaniel. To jej lalka - wyjaśniła szeptem Phoebe.

Wtedy dostrzegł, że Jeanne Marie tuli do piersi zniszczoną szmacianą lalkę - zapewne swoją ulubioną zabawkę, bo lady Julienne brakowało jednego oka i paru paluszków u lewej rączki, a niebieską sukienkę miała brudną i obszarpaną.

- Będzie mi bardzo miło. Phoebe, zrób miejsce dla lady Julienne. Zobaczył, że starsza z dziewczynek odetchnęła z ulgą i ostrożnie postawiła drugą porcelanową filiżankę przed Jeanne Marie.

- Czy Wasza Miłość zechce przyłączyć się do nas?

Gregory Quincy Reginald Bennet, ósmy książę Claridge, odwrócił się, złożył szybko ręce i zasłonił nimi buzię. Pucółowaty, rumiany chłopiec był duży jak na swoje cztery lata. Chociaż między Nathanielem a jego starszym bratem, Robertem, nikt nie doszukałby się większego podobieństwa, dziwnym zrzędzeniem losu mały Gregory wyglądał jak wierna kopia stryja, kiedy ten był dzieckiem.

Świadczył o tym portret w rodzinnej galerii.

Najwyraźniej malec odziedziczył też władcze, zawzięte usposobienie krewnego i jego upór.

- Nie zachowuj się jak brzdąc, Gregory. - Jeanne Marie szturchnęła brata w bok. Chłopiec pisnął i potknął się o brzeg dywanu. Nathaniel chwycił go mocno za ramię, ratując przed upadkiem. Poczul, że ciało dziecka sztywnieje. Gregory spojrział na niego niechętnie.

- Kiedy przyjdzie papa? spytał gniewnie.

Cicho, cicho - upomniała go Phoebe. - Już ci tyle razy powtarzałam, że papa nie może przyjść, bo jest w niebie.

- Razem z mamą - dodała Jeanne Marie. Rozżalony Gregory, ze złością w oczach, tupnął nogą.

- Nie chcę, żeby on był w niebie! Niech tu przyjdzie! Zaraz! - Usta Jeanne Marie zaczęły drżeć. - I mama też!

Nathaniel rozglądał się wokół bezradnie. Wybuch żalu, tłumionego od tak długiego czasu, przyniósłby zapewne dzieciom ulgę, lecz on nie potrafił sprostać tej sytuacji.

W tejże chwili do pokoju wtoczyła się żwawo pani Hutchinson, a za nią wszedł lokaj, niosąc na tacy dzbanek świeżej herbaty i ciasteczka.

- Boże święty, a to co znowu?! - Zaniepokojona gospodyni uklękła i szeroko rozpostarła ramiona. Gregory i Jeanne Marie z łkaniem rzucili się jej w objęcia, a ona przytuliła ich ze współczuciem.

- Przypomnieli sobie o papie i mamie powiedziała spokojnie Phoebe. - Dlatego płaczą.

- Och, moje biedne niewiniątka! - Pani Hutchinson przygarnęła obydwójce jeszcze mocniej, a dzieci ukryły główki w jej objęciach, głośno zawodząc.

Nathaniel spojrział na Phoebe. Przygryzała wargę, a dłonie zacisnęła tak mocno, że pobieleły jej kostki palców. Domyślał się, że pragnie pociechy równie gorąco, jak brat i siostra, lecz uważa, iż jest zbyt duża, żeby otwarcie dać upust uczuciom.

A przecież czuła taki sam żal. Avery nieznacznie przysunął się do niej z krzesłem i położył rękę na stole koło jej dłoni. Nie chciał zawstydząć dziewczynki, otwarcie oferując pocieszenie, choć troska ta była nieco przesadna. Rozpaczliwy płacz Gregory'ego i Jeanne Marie całkowicie pochłonął uwagę służby.

Strata obydwójga ukochanych rodziców jest czymś strasznym. Dzieci, chociaż pełne bólu, nie wszystko jeszcze pojmowały z całej grozy i zawilości tego zdarzenia.

Niepewny uścisk palców wokół nadgarstka przerwał jego posępne rozmyślenia. Phoebe wsunęła drobną, delikatną rączkę w jego dłoń. Nathaniel ujął ją łagodnie w nadziei, że ten prosty gest podtrzyma na duchu dziewczynkę. Ona zaś, jakby w odpowiedzi, wzmogła swój uścisk.

- Wasz tata był nie tylko moim bratem, ale i najlepszym przyjacielem - powiedział półgłosem. - Kocham was z całego serca i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby was chronić.

- Naprawdę? - szepnęła cichutko.

- Zawsze - zapewnił ją solennie. Phoebe zadrżała, ale nie puściła jego ręki.

- No, no, dosyć już, zaraz otrę wam łzy mówiła pani Hutchinson. - Kucharka upiekła wasze ulubione podpłomyki i ptysie. Trzeba je zaraz zjeść. Jeśli zrobicie to później, straciecie ochotę na obiad.

Gospodyni wyjęła z kieszeni czystą lnianą chusteczkę i wytarła buzię Jeanne Marie. Gregory, nie dbając o pomoc, wysiąkał nos w rękaw, a potem zasiadł do stołu razem z siostrami i stryjem.

W większości londyńskich domów herbatę podawano po obiedzie. Nathaniel czułby się nieswojo, wychylając kieliszek trunku przy malcach, dlatego też rytuał picia tego napoju przesunięto

na wcześniejszą porę. W ten sposób dzieci miały przynajmniej jakieś zajęcie.

Cała trójka w milczeniu zgromadziła się przy stole. Emocje już nieco opadły, lecz w spojrzeniach dwojga młodszych z rodzeństwa patrzących, jak Phoebe w skupieniu napełnia porcelanowe filiżanki, wciąż jeszcze tlił się lęk.

Jeśli macie na coś ochotę, wystarczy zadzwonić, a Sanders zaraz to przyniesie pouczyła je pani Hutchinson, uśmiechając się szeroko na odchodnym.

Avery, pozostawiony sam na sam z dziećmi, musiał jakoś nawiązać z nimi rozmowę. Lady Julienne posłużyła mu za znakomity pretekst. Mógł kierować do niej pytania, nie oczekując żadnej odpowiedzi, a cała trójka uznała to za świetną zabawę i szybko dała się w nią wciągnąć.

Nathaniel z niewyraźnym uśmiechem pociągnął parę łyków słabej, letniej herbaty, po czym uznał, że gdyby koledzy z klubu słyszeli jego konwersację ze zniszczoną szmacianą lalką i trojgiem dzieci w pokoju dzieciennym, wydałby się im pomyłką. Jeśli jednak te błazeństwa mogły choć na chwilę złagodzić ból malców, to warte były takiej ceny.

Musiał się już pożegnać. Zabolało go w krzyżu, kiedy wstał od stołu, ale nie okazał tego. W pokoju zapadła nagle trwożliwa cisza. Nathaniel nachylił się i pocałował Phoebe oraz Jeanne Marie w czubek głowy, a potem obrócił się ku Gregory'emu.

Całus nie wydał mu się stosownym pożegnaniem z czupurnym bratankiem, lecz Nathaniel czuł, że nie może odejść, nie okazując chłopcu w jakiś sposób serdeczności. Zmierzwił mu więc lekko czuprynę i wziął go pod brodą. Gregory przyjął to z zadowoleniem.

Nathaniel wyprostował się i z ulgą opuścił pokój dziecienny. Zamknął drzwi i przez długą chwilę stał, patrząc bezmyślnie w głąb korytarza. Ruszył, rozcierając obolały kark. Dwie godziny spędzone z dziećmi okazały się wyczerpujące niczym dziesięć rund w salonie bokserskim.

Choć tęsknił za świeżym powietrzem i mocną whisky, wiedział, że to nie koniec jego rodzinnych obowiązków. Musiał jeszcze porozmawiać z guwernantką, panną Reynolds. Dziwne mu się zresztą wydało, że nie zastał jej tym razem w pokoju dzieciennym. Może miała akurat wychodne?

Gdy jednak zapytał panią Hutchinson o guwernantkę, ta klasnęła w dłonie i pokręciła głową.

- O, to pan nie wie? Dwa dni temu wyjechała. Nathaniel był zaskoczony.

- Nie wiedziałem. Zdawało mi się, że dzieci są z nią bardzo zżyte. Czy nie przygnębiło ich jej odejście?

- Jeszcze jak! - przytaknęła energicznie. - Na szczęście dbają o nie niańki. Ale tak gwałtowna zmiana nie wyjdzie im na dobre po tym, co wycierpiały. Świata poza nią nie widziały, a ona umiała się z nimi obchodzić. Aż się serce ściska, tylu osób im już zabrakło. Toż dopiero przed miesiącem straciły tatę i mamę.

- Czy pannę Reynolds zwolnił mój stryj?

A jakże, lord Bridwell mnóstwo pozmieniał, odkąd tu jest. Gospodyni parsknęła, po czym dodała: - I nie zawsze na dobre, o nie! - Zmieszła się, jakby dopiero teraz spostrzegła, z kim rozmawia. Proszą mi wybaczyć moją śmiałość. Nie chciałam uchybić Jego Lordowskiej Mości.

- Rozumiem, rozumiem. - Nathaniel zacisnął zęby. - Ale jak to się właściwie stało?

- Nie chciałam rozsiewać plotek, ale lordowi chyba nie w smak było, że panna Reynolds tak się upomina o potrzeby dzieci. Ponoć pokłócili się o wynagrodzenie, ale nie daję temu wiary. Pani Hutchinson się skrzywiła. Doszły mnie słuchy, że rozsierdził się, iż za dużo wydała na sukienki dla dziewczynek, buciki dla chłopca, pomoce szkolne i węgiel do pokoju dzieciennego. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, kiedy ją zwolnił bez uprzedzenia. Nie dał biedactwu referencji. Mam nadzieję, że



znajdzie sobie jakieś inne miejsce, bo ona, wie pan, musi pomagać chorej matce.

Nathaniel sposepniał. Trzy dni po pogrzebie Roberta i Bernadette lord Bridwell przybył do Londynu i rozgościł się w rodzinnym pałacu. Była to z jego strony zaskakująca śmiałość, nawet jak na najstarszego krewnego w linii męskiej, ale Nathaniel był wówczas zbyt zboląły, żeby się tym przejąć. Sądził, że kiedy testament Roberta zostanie otwarty i uprawomocni się, właśnie jemu przypadnie w udziale odpowiedzialność finansowa za rodowy majątek oraz opieka nad dziećmi. Uporządkowanie spuścizny po bracie okazało się jednak niełatwą sprawą. Nathaniel znużył się nią szybko i zlecił rozstrzygnięcie doradcom prawnym.

Teraz już wiedział, że jego wcześniejsza niefrasobliwość wpędziła go w kłopoty. Lord Bridwell najwyraźniej nie miał zamiaru opuścić domu, a takie posunięcia, jak wymówienie pracy guwernantce, świadczyły, że poczuł się pewnie w swojej nowej roli i robił wszystko, by inni mu się podporządkowali.

Nathaniel miał nadzieję, że tego wieczoru zdoła uniknąć spotkania ze stryjem, ale wiedział już, że mu się to nie uda. Starszy pan musiał się dowiedzieć, że Nathaniela żywo obchodzi los dzieci Roberta i że chce się nimi zaopiekować.

Gdzie mogę go zastać?

Pani Hutchinson zastanawiała się przez chwilę.

- O tej porze nigdy nie wychodzi z domu. Sanders zaniósł mu nową karafkę whisky do gabinetu. Lord chyba tam właśnie sobie popija. Pójdę więc i rozmówię się z nim.

Myślałam.. znaczy się... miałam nadzieję, że to pan, a nie lord Bridwell będzie opiekunem dzieci. - Gospodyni spojrzała na niego pytająco.

Nathaniel poczerwieniał na jej słowa. Przrzekł umierającemu bratu, że się nimi zajmie.

Nie doszedłem jeszcze ze stryjem do porozumienia, ale stanowczo chcę rozstrzygnąć tę kwestię.

Ja tam wiem tylko tyle, że te trzy niebożątka pana potrzebują i już. Z każdym dniem coraz bardziej to widać - oświadczyła życzliwie. - Panu chodzi o ich dobro, milordzie.

I miała rację. Byłby dla nich o wiele lepszym opiekunem niż stryj. Wciąż martwił się tym, że dzieci zbyt wiele przeszły.

Przeszedł przez hol, nie zatrzymując się przed czerwonym salonem, wyłożoną bawialnią ani nawet przed wyłożoną boazerią biblioteką. Uważał co prawda za bzdurą, że musi zapowiadać wizytę we własnym domu, który znał od dzieciństwa, lecz posłusznie oznajmił lokajowi swoje nazwisko, nim wszedł do gabinetu.

Lord Bridwell siedział rozparty w skórzanym fotelu przed kominkiem. Głowę wsparł na dłoni, a łokieć na oparciu fotela. W drugiej ręce trzymał na wpół opróżniony kieliszek whisky i żarzące się cygaro.

Nie pozdrowił Nathaniela, który zignorował tę oznakę lekceważenia, i siadł w fotelu naprzeciw stryja. Był czujny. Niewiele wiedział o najstarszym bracie ojca, a to, czego się domyślił w ciągu kilku ostatnich tygodni, stanowczo czyniło naturę tego człowieka jeszcze bardziej zagadkową. I niebezpieczną.

Wiedział, że lord Bridwell był kiedyś żonaty, ale pozostał bezdzietny i wcześniej owdowiał. Lubił wyścigi konne, uchodził za dobrego gracza w karty i miał opinię dżentelmena. Choć zbliżał się do sześćdziesiątki, postawna sylwetka i szpakowate włosy nadawały mu wygląd dystyngowanego światowca.

- Dobry wieczór, stryju. Nathaniel przerwał milczenie, zasiadłszy w fotelu.



- Avery? - Lord Bridwell spojrział na niego z niechęcią. Co cię dziś sprowadza?

- Przyszedłem odwiedzić dzieci. Jak zresztą każdego wieczoru.

- Na kredensie są czyste kieliszki. I whisky. Nalej sobie. Od czasu do czasu pijasz chyba coś mocniejszego, prawda? mruknął lord Bridwell, krzywiąc się przy tym.

Dziękuję. - Choć propozycja była bardzo kusząca, Nathaniel nie chciał dać stryjowi satysfakcji. Przyszedłem pomówić o panie Reynolds.

- O panie Reynolds, tej przekłętej guwernantce? Lord Bridwell zaciągnął się cygarem i wydmuchnął obłoczek smrodliwego dymu w stronę bratanka. - Nie pracowała jak należy. Wyrzuciłem ją parę dni temu.

Nathaniel uniósł brwi.

- Moim zdaniem znakomicie wypełniała swoje obowiązki. Poza tym dzieci bardzo się do niej przywiązały.

A ja uznałem, że jest nieokrzesana i niegodna zaufania. - Krewny przymknął na chwilę oczy i z irytacją ścisnął palcami grzbiet nosa. Cały dom łatwiej prowadzić bez niej.

- Skoro troska o dzieci zbytnio ci ciąży, stryju, chętnie zdejmę z ciebie to brzemię. - Nathaniel udawał obojętność.

Lord Bridwell wsparł ponownie ramię na fotelu. W jego wzroku widniało zawoalowane ostrzeżenie.

- Chyba ustaliliśmy to raz na zawsze, Avery. Nie masz prawa do legalnej opieki nad nimi.

- Mój brat...

- Ani trochę nie dbam o to, co ci rzekomo mówił na łożu śmierci! Mężczyzna rzucił cygaro do kominka. - Umierał, był nieprzytomny, bredził w gorączce! Nie można brać dosłownie mająceń człowieka konającego na tę straszną chorobę. Jestem jego najstarszym krewnym w linii męskiej. To ja powinienem dbać o dobro rodziny.

Nathaniel ledwie panował nad sobą. Jak stryj śmiał mówić o jego bracie w taki zimny, nieczuły sposób!

Ja także mam obowiązki wobec rodziny i czuję się za nią odpowiedzialny. Robert chciał, żebym zajął się jego dziećmi.

- W takim razie powinien być wspomnieć o tym w swej ostatniej woli.

I zrobił tak! Nathaniel wiedział, że wezwano prawnika i że brat dokonał zmian w testamencie, zwłaszcza co do opieki nad dziećmi, ale dokument gdzieś się zapodział.

Jesteśmy rozsądnymi ludźmi, stryju, i na pewno razem znajdziemy jakieś zadowalające rozwiązanie.

Nie musisz przede mną udawać szlachetnego, bezinteresownego dżentelmena. - Lord Bridwell nachylił się ku niemu i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Pamiętaj, że ja też jestem młodszym synem. Dobrze wiem, co to znaczy mieć tylko drugorzędny tytuł, żadnych widoków na fortunę, żalostną pozycję i mizerną pensję. Mam zamiar hojnie rozporządzać pieniędzmi, które mi powierzono, i podwoić twoje dochody, ale tylko pod warunkiem, że przestaniesz wsadzać nos w nie swoje sprawy.

Majątek pójdzie w powiernictwo aż do pełnoletności Gregory'ego zaprotestował energicznie Nathaniel.

Jak najbardziej. - Lord pociągnął tęgi łyk whisky. - O pieniądzach i inwestycjach decydować będzie ten, do kogo należy opieka nad potomstwem.

Nie chcę pieniędzy, stryju - zachnął się Nathaniel. - Mnie obchodzi tylko opieka nad dziećmi. Lord Bridwell spojrział na niego ze zdumieniem.

- No dobrze, możesz sobie wziąć dziewczęta, skoro masz ochotę bawić się w błędnego rycerza. - Wysączył resztkę whisky i spojrział chytrze na bratanka ponad brzegiem kieliszka. - Ale chłopca nie dam. Zostanie ze mną.

Nathaniel nagle poczuł przyływ zwątpienia. To z pewnością najhojniejsza ze stryjowskich ofert. Przez chwilę był skłonny ją przyjąć, ale nie mógł się zdobyć na rozdzielenie Gregory'ego z siostrami. Byłoby to zbyt okrutne względem chłopca.

- Rozważę dokładnie twoją propozycję.

Lord Bridwell zaśmiał się z cicha.

- No pewnie. Zwłaszcza tę jej część, która mówi o podwojeniu twojej pensji.

Nathaniel poczuł, że wzbiera w nim furia. Pohamował się jednak i odpowiedział na szyderczy chichot stryja krańcowo aroganckim uśmiechem.

Potem wstał powoli, wyprostowawszy całą swoją imponująco wysoką postać. Złożył stryjowi krótki ukłon i wyszedł ze świadomie przybraną, lekceważącą miną.

Zimne powietrze otrzeźwiło go. Stojąc z gołą głową przed wejściem do pałacu, kilka razy zaczerpnął głęboko tchu. Po chwili przejechał dłonią po włosach i wyszedł na ulicę.

Najwyższy czas, żeby się czegoś napić. Bóg jeden tylko wie, że sobie na to zasłużył.

## 2

Najpierw nad głową usłyszała ciche dreptanie, potem stopniowo odgłos kroków narastał aż do głuchego dudnienia. Harriet Sainthill - wygodnie usadowiona w fotelu, przed miło trzaskającym ogniem na kominku uniosła wzrok znad wyjątkowo nudnej książki, jakby się spodziewała, że lada chwila odłamki gipsowej sztukaterii zasypią idealnie czysty dywan.

Kroki się oddaliły. Chwilę później ponownie usłyszała je w korytarzu, tuż za drzwiami salonu. Harriet zamknęła książkę i przycisnęła ją do piersi w obronnym geście. Drzwi otworzyły się nagle z trzaskiem, uderzając o ściany.

Intruz energicznie wtargnął do środka. Mały chłopiec w mgnieniu oka przemknął przez salon i przycupnął za obitą brokatem sofą.

Harriet odłożyła książkę na stolik. Nim zdołała coś powiedzieć, w salonie pojawił się drugi nieproszony gość. Wysoki, postawny mężczyzna stanął bez słowa na progu, a na jego przystojnej twarzy o wyrazistych rysach widniały gniew i zgryzota.

- Griffin! - krzyknęła, zaskoczona widokiem brata. - Czy coś się stało? Wicehrabia Dewhurst mruknął coś pod nosem i zlustrował pokój spojrzeniem, które zatrzymało się na sofie.

- Czy nie wiesz, gdzie się podział Georgie? Uciekł mi.

Harriet chrząknęła znacząco, ale zanim zdołała odpowiedzieć, w salonie rozległo się zduszone, żalodne pochlipywanie. Zdumiało to zarówno ją, jak i jej brata.

- O co wam poszło? spytała niespokojnym szeptem.

To dotyczy wyłącznie nas dwóch syknął przez zęby. - Widziałaś go czy nie?

Przez ostatnie dwa lata Harriet respektowała autorytet i ojcowskie prawa brata. Choć nie zgadzała się czasem z jego postępowaniem wobec syna, nigdy nie wątpiła, że się bardzo kochają. Mimo to odruchowo chciała osłonić pięcioletniego bratanka przed rzadkim u Griffina wybuchem gniewu.

- Nie zamieniłam z nim ani słowa od śniadania.

Wicehrabia skrzyżował ręce na piersi i spojrział na nią z niechęcią. Nie o to pytałem.

W porządku, ciociu Harriet rozległ się cieniutki głosik nie musisz kłamać. Tu jestem, papo.

Harriet spojrzała na chłopca, który wyprostował się co prawda, lecz nadal stał za sofą. Policzki, zwykle rumiane, miał teraz blade, minę przygnębioną, a w szarych oczach takich samych jak u ojca gdzie zwykle błyskały wesołe ogniki, widniał teraz tylko strach.

Rozpacz chłopca zasmuciła Harriet, tym bardziej że dostrzegła na jego buzi ślad po uderzeniu.

A tuś mi, głuptasku! zawołała wesoło. Czy to może jakaś gra? Bawiłeś się w chowanego? Podeszła do niego z uśmiechem.

Nie osłaniaj go szepnął jej do ucha brat. - Przecież smarkacza nie zjem.

Nigdy nie przypuszczałam, że mógłbyś zrobić coś takiego - odcięła się ale mimo wszystko zostanę tutaj! Brat uśmiechnął się słabo. Potem skupił uwagę na synku.

- Co masz na swoją obronę, młodzieńcze? Cały pokój dziecinny jest wywrócony do góry nogami. Powiedziano mi, że to twoja sprawka.

Nie zrobiłem nic złego! A Emma Kate leżała sobie spokojnie, dopóki ta wstrętna pani Simms nie wbiegła i nie podniosła krzyku!

- Pani Simms mówi, że przyłapała cię przy kołysce - rzekł gniewnie ojciec. - Wiem, że ciekaw jesteś nowej siostrzyczki i lubisz ją przytulać, ale tyle razy ci przecież mówiono, że nie wolno wyjmować jej z kołyski. To niebezpieczne.

- Ja wcale nie chciałem jej wyciągać! - upierał się malec. Emma Kate rozplakała się dopiero wtedy, jak pani Simms zaczęła mnie łajać!

- Co ty tam robiłeś? - Ojciec wyraźnie nie wierzył chłopcu.

- Poszedłem zobaczyć Emmę Kate.

- Tylko tyle?

No, jeszcze coś. - Georgie pociągnął nosem. Chciałem polizać jej paluszki. Te u nóżek.

- Co takiego?! wykrzyknęli jednocześnie Harriet i Griffin.

- Słyszałem, jak ciocia Elizabeth mówiła mamie, że paluszki Emmy Kate są takie słodkie. Chciałem się przekonać, czy to prawda.

- I ugryzłeś ją w paluszek? spytał z niedowierzaniem Griffin. Pewnie dlatego płakała.

- Nie, ja tylko podniosłem kołderkę i chciałem namacać jej nóżki, ale ona zaraz zaczęła nimi wierzgać, a wtedy wpadła pani Simms i Emma Kate się rozplakała.

Najwyraźniej wszystkiemu winna jest pani Simms. - Harriet poklepała współczująco chłopca po ramieniu. Widocznie jej krzyki obudziły dziecko. Harriet! - zaprotestował ostro wicehrabia. Nie wtrącaj się! Wcale się nie wtrącam, po prostu próbuję inaczej spojrzeć na całą sprawę.

Georgie wie, że nie wolno mu wchodzić do pokoju dziecinnego bez pozwolenia. Tak czy nie? Georgie wzruszył ramionami.

Wicehrabia oparł ręce na biodrach i patrzył na niego srogo, ale chłopiec uparcie milczał.

Georgie z pewnością nie zrobił tego złośliwie. - Harriet myślała, że po jej słowach upór dziecka złagodnieje.

Przedtem tam był mój pokój burknął malec. Skrzyczałeś mnie za wejście do mojego własnego pokoju. To nie w porządku.

Harriet spojrzała na Griffina porozumiewawczo. Słusznie sądziła, że chodzi nie tylko o niemowlę.

Och, mój mały. Wicehrabia przykucnął przed synkiem. - Przecież twój nowy pokój jest o wiele

większy i ładniejszy. Chłopiec przestępował z nogi na nogę. Najwyraźniej był innego zdania.

- Georgie potrzebuje chyba trochę czasu, żeby się z tym oswoić odezwała się Harriet. Wicehrabia po raz drugi rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale siostra je zignorowała.

- Nie podoba mi się, że tam teraz śpi Emma Kate - odparł zuchwale Georgie.

- Czy ci się to podoba, czy nie, ona tam zostanie! - Wicehrabia westchnął i przeciągnął dłonią po ciemnych włosach.

Georgie powlókł się smętnie do kąta. Harriet chciała do niego podejść, lecz brat chwycił ją za ramię.

Niech się jakiś czas dąsa. Potem, kiedy mu przejdzie, będzie rozsądniejszy.

Dzieci nie bywają rozsądne. A już na pewno nie możesz tego oczekiwać od urażonego pięciolatka. Griffin przeciągnął dłonią po twarzy.

Nie rozumiem go. Wczoraj urządził scenę przed pójściem do łóżka, przedwczoraj nie chciał jeść obiadu. A przecież był posłusznym, rozumnym dzieckiem.

Wtedy nie miał jeszcze siostry, którą wszyscy rozpieszcząją. Harriet zacięła usta. Georgie boi się, że już cię nie obchodzi, robi więc wszystko, żeby zwrócić twoją uwagę.

Skąd wiesz?

Zapominasz, że aż za dobrze pamiętam, jak to jest, kiedy któreś z rodziców traktuje cię, jakbyś nie istniał.

Do licha! Czy jestem podobny do naszego ojca, który dbał tylko o Neville'a, najstarszego syna i dziedzica? Przecież wiesz, że świata nie widzę poza Georgiem. Jak możesz tak mówić?

Wcale nie myślałam o tobie. Harriet energicznie uniosła podbródek. Owszem, Faith źle się czuje po połogu i jest za słaba, by zająć się chłopcem. Ale on o tym nie wie. Widzi tylko, że traktuje się go inaczej niż Emmę Kate. Już trzy razy mnie pytał, czy znałam jego matkę. Tę rodzoną.

O Boże. Głos Griffina przeszedł w ochrypły szept. Był taki mały, kiedy umarła! Myślałem, że jej nie pamięta.

- A ty? parsknęła gniewnie.

Poczuła zaraz, że przeholowała. Powinna się była ugryźć w język! Georgie był rezultatem przelotnego i nierozważnego romansu brata, kiedy ten był w koloniach, na kilka lat przed swoim małżeństwem. Zresztą nie wiedział nawet o istnieniu dziecka, póki jakaś służąca nie pozostawiła go na pokładzie jego statku. Griffin starał się jednak naprawić swój błąd i zabrał synka do Anglii, kiedy niespodziewanie został nowym wicehrabią.

Tylko najbliżsi znali okoliczności narodzin chłopca, rozumieli jednak, że wcześniej czy później sekret wyjdzie na jaw, zwłaszcza w tak małej miejscowości, jak Harrowby. Griffinie, ja...

Wicehrabia odwrócił się i podszedł do drzwi, lecz po chwili znów stanął twarzą do niej. Harriet dostrzegła, że brat z trudem panuje nad sobą.

- Narodziny córki są dla mnie i dla Faith prawdziwym błogosławieństwem, ale Georgie nic na rym nie traci. On też jest synem moim i Faith. Pamiętasz, jak się ucieszyła, kiedy zaczął do niej mówić „mamo”? Jak możesz sądzić, że go nie kocha?

- Przepraszam za to, co powiedziałam. Wiem, że Georgie wiele dla ciebie znaczy i że Faith go kocha, ale zawsze byłam osobą trzeźwą. W domu jest teraz dwoje dzieci i Faith już nie może poświęcać chłopcu tyle czasu, co przedtem, bo musi się troszczyć o Emmę Kate.

- Faith kochałaby nawet dziewięcioro dzieci. Nawet dwadzieścioro!

- Tak, tak. Harriet spojrzała na bratanka, który stał w kącie twarzą do ściany, a potem

powiedziała już nieco ciszej: To naturalne, że Faith faworyzuje własne dziecko. Tylko tyle.

Trafiła brata w czułe miejsce i wiedziała o tym.

- Tak sądzisz? spytał przygnębiony.

Harriet wzruszyła ramionami. Nie przepadała za Faith, co jasno dała bratu do zrozumienia przed jego ślubem. Griffin jednak mimo wszystko ożenił się z nią, a Harriet trudno się było pogodzić z tym, że teraz Faith jest panią domu, w którym przedtem niepodzielnie panowała ona.

Obydwie starały się nie wchodzić sobie w drogę i tak było najlepiej, lecz Harriet nie zamierzała długo pozostawać pod dachem brata. Zareczyła się i niecierpliwie wyczekiwała założenia własnego domu. Wszystkie jej nadzieje zniweczył jednak krótki incydent podczas ostatniego sezonu w Londynie. Ścisnęło ją boleśnie w gardle na myśl o tym, co utraciła.

- Wiem tylko tyle, że Georgie jest nieszczęśliwy i nie umie sobie z tym poradzić. Faith stara się, jak może, ale trzeba czegoś więcej, żeby nie czuł się rozżalony.

Brat spojrział na nią pytająco. Harriet westchnęła. Prawdomówność i upieranie się przy swoim nie zawsze popłaca. Griffin spodziewał się po niej czegoś więcej, ale Harriet niewiele mogła mu pomóc. Głowiła się właśnie nad jakąś mądrą radą, gdy do salonu weszła jej młodsza siostra, Elizabeth. W prostej domowej sukni z błękitnego muślinu i z węzłem jasnych włosów wyglądała prześlicznie.

- Och, tutaj jesteś, Georgie? Wszędzie cię szukałam! Uśmiechnęła się pogodnie, nieświadoma napiętej atmosfery. - Mama pytała o ciebie. Chodź, pójdziemy do niej.

- Mama chce mnie zobaczyć?! Georgie wybiegł z kąta.

- Ależ tak, kazała mi cię znaleźć i przyprowadzić.

- Gniewa się na mnie?

- Nic o tym nie wiem. Czy zrobiłeś coś złego? Georgie spuścił głowę.

- Wszedłem do pokoju Emmy Kate, a ona przeze mnie płakała. Ale ja tego nie chciałem, naprawdę.

- A więc nie musisz się martwić.

Georgie uśmiechnął się z radością, potem jednak spojrział z obawą na ojca.

- Mogę sobie pójść? Mama o mnie pyta.

Mam nadzieję, że pod koniec wizyty przeprosisz, jak należy, panią Simms.

- Dobrze - powiedział Georgie, ale zaraz potem dodał niechętnie: Jeśli ją znajdę.

Georgie! Przymknij, że przeprosisz panią Simms, jak przystało dżentelmenowi.

To poskutkowało. Georgie traktował swoją rolę dżentelmena bardzo poważnie.

- Przymknę na honor, że przeproszę. Wicehrabia skinął głową z zadowoleniem.

No, to zmiataj. Szybko, póki nie zmienię zdania! Harriet uśmiechnęła się z satysfakcją. Zanim jednak zdołała nachylić się i ucałować bratanek, Georgie wypadł za drzwi z triumfalnym wrzaskiem. Harriet myślała, że siostra pójdzie za nim, lecz Elizabeth zaczęła czegoś szukać na półkach bibliotecznych.

Pomóż mi znaleźć książkę, Harriet! Faith jest już trochę zmęczona, ale uznała, że jeśli poczyta Georgiemu po południu, nie znuży jej to za dużo. Czuje, że powinna spędzać z nim więcej czasu.

Harriet się ucieszyła. Może nie doceniła bratowej? Nie pierwszy raz Faith zaskakiwała wszystkich! Z wielkim zadowoleniem przesuwiała palcem wzdłuż licznych skórzanych grzbietów. Dom mocno podupadł na skutek ojcowskiego egoizmu, lecz Griffin jako nowy wicehrabia dokładał starań, żeby to naprawić. Dzięki temu salon znów stał się biblioteką z ładnie oprawionym

księgozbiorem, wygodnymi meblami i starannie rozmieszczonymi lampami, które ułatwiały czytanie.

O, tę Georgie lubi najbardziej. - Harriet wyjęła gruby tom z dolnej półki. - Mnóstwo w niej bajek, gdzie czarownice, wodniki i złe duchy zawsze spotyka sprawiedliwa kara. Elizabeth stropiła się nieco, lecz milczała.

Faith nie podobają się takie baśnie. Griffin odebrał książkę Harriet.

Nieważne - rzuciła Elizabeth i ku ich zaskoczeniu sięgnęła po nią. Faith wyraźnie mi powiedziała, żeby wybrać coś, co go zaciekawi. Chce, żeby czuł się zadowolony.

- Po tych baśniach źle sypia mruknął wicehrabia. Męczą go koszmary.

Doprawdy? przestraszyła się Elizabeth. Harriet ze smutkiem pomyślała, że młodsza siostra jest doprawdy prostoduszną, niewinną istotą, a po okropnych przejściach w Londynie stała się jeszcze wrażliwsza. Okrutne baśnie, które mogły żywo zainteresować pięciolatek, przejęłyby grozą niespełna dziesiętnastoletnią dziewczynę.

- Georgie przepada za nimi - zdradziła im w zaufaniu. Wciąż mnie prosi, żebym mu je czytała. Chyba się ucieszy, jeśli Faith zrobi to dziś za mnie. Zwłaszcza że spotkała go przykreść.

- Może lepiej byłoby wziąć dwie książki? spytała z troską Elizabeth. Niech Faith rozstrzygnie, która będzie odpowiedniejsza.

- Dobry pomysł przytaknął jej Griffin. - Pomogę ci wybrać tę drugą.

Harriet z trudem stłumiła westchnienie. Niezdolność Elizabeth do stawiania czoła trudnościom szczerze ją martwiła. Siostrze brakowało pewności siebie i nie umiała bronić własnego zdania. Harriet uważała, że nie jest to dobra cecha, zwłaszcza u kobiety. Nie potrafiła jednak wpoić tego przekonania Elizabeth.

Rzecz jasna brat nie ułatwiał jej zadania. A to sprzyjało niezdecydowaniu młodszej siostry. Dziwne, bo jego żona nie bała się głośno wypowiadać swoich opinii, zwłaszcza gdy różniły się od męzkowskich. Harriet podejrzewała, że Griffin, zmęczony lawirowaniem między nią a równie stanowczą żoną, rad jest, iż przynajmniej jedna kobieta w domu zasługuje na miano słabej płci. Och, zapomniałem wam powiedzieć przy obiedzie, że Faith dostała wczoraj list od Meredithów. Jeśli pogoda dopisze, markiza z mężem złożą nam wizytę na początku przyszłego tygodnia. Harriet uniosła brwi z dezaprobatą. Czy nie za wcześnie na gości? Emma Kate ma ledwie parę tygodni, a Faith, jak sam przyznajesz, nie całkiem jeszcze przyszła do siebie po połogu.

Meredithowie to krewni uciał Griffin. - A choć są tylko kuzynami, markiza traktuje Faith jak własną siostrę.

Faith nie jest jeszcze w stanie przyjmować gości z wyższych sfer. Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy. Wicehrabia zwrócił się ku młodszej z kobiet: I twojej też, Elizabeth. Elizabeth zarumieniła się, z czym było jej do twarzy. Chętnie pomogę. Ogromnie lubię lady Meredith, a markiz jest prawdziwym dżentelmenem.

Harriet zaczęło nękać poczucie winy. Wobec skwapliwości Elizabeth jej sprzeciw wydawał się małostkowy. A jednak myśl o ponownym ujrzeniu lady Meredith zirytowała ją. Nic na to nie mogła poradzić. Nie lubiły się od dawna i chociaż niechęć ta osłabła po niesłychanych wydarzeniach ubiegłego sezonu, Harriet nie umiała zdobyć się na życzliwość, a przychylność markiza tylko zwiększała jej rozdrażnienie.

- Pewnie przyjadą z całym tłumem służby mruknęła zgryźliwie. - Markiz Dardington to dziedzic książęcego tytułu, jest bajecznie bogaty, więc wszystko musi mieć w najlepszym gatunku!

Nigdy się z nim osobiście nie zetknąłem, ale nasza gościnność nie może go rozczarować odparł

Griffin. Przyjeżdżają odwiedzić Faith i zobaczyć Emmę Kate, a nie dla rozrywki. Szkoda, że nie możemy należycie ugościć trojga dobrze urodzonych ludzi.

Trojga?! - wyrwało się Harriet.

- Tak... tak. - Griffin potarł w zamyśleniu podbródek. - Pewnie nie wspominałem, ale przyjedzie też młodszy brat lady Meredith.

Ciężka książka z głośnym trzaskiem upadła na podłogę.

Który?! - szepnęła z przestraszonym Elizabeta. - A czy jest ich dwóch? Griffin schylił się i podniósł upuszczony przez Elizabeta tom.

Lady Meredith ma dwóch młodszych braci - wyjaśniła Harriet. Są bliźniakami i wyglądają identycznie, ale różnią się usposobieniem. Nietrudno jednak przewidzieć, który z nich przyjedzie do Hawthorne Castle.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony Griffin.

Wszyscy wiedzą, że podczas ostatniego sezonu Jason Barrington zakochał się bez pamięci w naszej Elizabeta. Pewnie zjawi się z naręczem cieplarnianych róż, bombonierką pełną słodczy i z sonetami, w których sławi jej urodę.

Elizabeta nie przyjęła jednak życzliwie niewinnego żartu siostry. Wydawała się przerażona na samą myśl o tym, że ponownie ujrzy wielbiciela.

- Niczym go nie ośmielałam. Cofnęła się o krok i wsparła całym ciałem o ciężki regał. Słowo honoru!

- Wiem. - Harriet zrobiło się przykro. Ja tylko żartowałam.

Jason Barrington - powtórzył powoli na głos Griffin. Czy to nie on uratował cię przed tym szaleńcem?

- Owszem. - Elizabeta zadrgała wargi.

W takim razie musimy zrobić wszystko, żeby go przyjąć jak najlepiej oświadczył brat. - Jestem mu winien wdzięczność za tak bohaterski czyn.

A jeśli Harriet ma rację? Może on tu przyjeżdża, żeby się do mnie zalecać? - Elizabeta zbladła. Co zrobię, jeśli poprosi mnie o rękę? Nie zgodzisz się, prawda?

- Chyba powinno cię cieszyć, że tak obiecujący młodzieniec okazuje ci wzglądy.

- Nic nie rozumiesz! Ocalił mnie, to prawda, ale kojarzy mi się ze wszystkim, o czym usiłuję zapomnieć. Ze strachem, rozpaczą, bezsilnością. Z porwaniem, więzami, kneblem, z ostrym nożem przystawionym do szyi! Zacisnęła powieki. Błagam, nie zmuszajcie mnie do odgrywania wobec niego roli gospodyni! Nie zniosę tego!

Harriet oniemiała. Wiedziała co prawda, że po dramatycznych wydarzeniach w Londynie siostrę dręczą koszmary, ale nie przypuszczała, iż Elizabeta tak głęboko to przeżywa. Już chciała podejść do niej ze słowami pociechy, gdy nagle Elizabeta zarzuciła rękę na szyję bratu.

- Uspokój się, Elizabeta. Po co płakać? - Wicehrabia objął siostrę i dodał: No cóż, będę musiał jakoś hamować jego zapędy. Obiecuję ci. Elizabeta westchnęła boleśnie i zwiesiła głowę. Harriet poczuła skurcz w gardle.

Lepiej już idź. Faith i Georgie zastanawiają się pewnie, dlaczego tak długo szukasz książki.

- Och, rzeczywiście. - W głosie Elizabeta wciąż jednak pobrzmiwało zwątpienie. Wzięła pod pachę obydwa tomy i ucałowała brata w policzek. Dziękują!

Kiedy wyszła, nastąpiła długa chwila ciszy. Harriet z trudem panowała nad uczuciami. Matka umarła, gdy Elizabeta miała ledwie rok, na nią więc spadł obowiązek opieki nad siostrą. Wypełniała



go bez skargi przez długie lata, gdyż właśnie on nadawał jej życiu sens i cel. Teraz jednak Elizabeth ujrzała obrońcą w Griffynie, co boleśnie uświadomiło Harriet, jak mało jest potrzebna własnej rodzinie.

- Wiedziałam o jej koszmarach, ale nie sądziłam, że kojarzą się jej z osobą wybawcy. Powinnam się była tego domyślić, widząc, jak gwałtownie reaguje na listy od Barringtona.

- Ja też myślałam, że już się otrząsnęła ze złych wspomnień. Może poczuje się lepiej, kiedy wiosną pojedziemy na sezon do Londynu?

- Chyba nie mówisz serio? Elizabeth tonie we łzach na samą wzmiankę o Barringtonie. Jak możesz przypuszczać, że pojedzie tam, gdzie spotkało ją tyle strasznych przeżyć? I że zacznie bywać w towarzystwie jakby nigdy nic?

Przecież jest jeszcze młoda, ma ledwo dziewiętnaście lat. Może teraz wolałaby zostać w domu, ale za rok chętnie wyruszy do Londynu. A ty, nie chciałabyś jeszcze raz spróbować szczęścia?

Harriet zaparło dech w piersiach. Przez chwilę sądziła, że brat pozwolił sobie na okrutny żart, ale najwyraźniej mówił serio.

- Jestem już za stara. A śmietanka towarzyska potraktuje mnie jak wyrzutka. W końcu ostentacyjnie porzucił mnie narzeczony, dzisiaj powszechnie uważany za człowieka bez czci. Żaden mężczyzna z porządnej rodziny nie ożeni się ze mną po takim skandalu.

Słowa Harriet, choć brutalnie szczere, były niestety prawdziwe. Drogo ją kosztowała miłość do Juliana Wingate'a. A choć bardzo pragnęła znaleźć męża, nikt jej teraz nie zechce.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Wingate.

No i dzięki Bogu! Harriet zaśmiała się gorzko. Brat usiłował robić dobrą minę do złej gry, lecz czuła, że brak mu logicznych argumentów, żeby ją przekonać.

- Jeśli koniecznie chcesz odejść, nie będą cię zatrzymywał - westchnął. - Ale musisz mi przyrzec, że przyjmiesz pracę tylko w porządnej, chrześcijańskiej rodzinie.

Harriet skinęła głową. Domyślała się zastrzeżeń brata.

- Mówiłam już z pastorem, a on zgodził się rozejrzeć wśród swoich licznych krewnych, przyjaciół i znajomych za odpowiednim miejscem dla mnie. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby nasz duchowny zaręczył za kogoś?

- Zawsze umiałas pokonać mój sprzeciw.

- Chciałam go po prostu uprzedzić. - Harriet z początku siliła się na rezolutny uśmiech, lecz po chwili powiedziała zgryźliwie: - Dzięki Julianowi uświadomiłam sobie pewną cechę własnego charakteru. Otóż nie lubię żadnych niespodzianek!

### 3

Odgłosy hałaśliwej, tłumnej biesiady, która trwała gdzieś w głębi domu, uporczywie nękały Nathaniela, wrywając go z krótkiej, błogiej chwili nieświadomości.

Uniósł ociężałe powieki, starając się oprzytomnieć. Czerwone aksamitne zasłony łóżka rozsunęły się gwałtownie. Zrozumiał, że nie jest w sypialni sam, a dzięki natrętnej woni ciężkich perfum pojął też, że nie tylko on leży na wielkim łożu z baldachimem. Powoli odwrócił głowę.

- Ach, obudziłeś się - stwierdził ciepły kobiecy głos. - No, nareszcie! Materac ugiął się, gdy naga kobieta o bujnych kształtach wsparła na nim łokieć i przysunęła się bliżej. Nathaniel patrzył na nią bezmyślnie przez dłuższą chwilę. Była bardzo ładna, miała delikatne, miękkie rysy i ciemne, błyszczące oczy. Czarne włosy spływały jej na ramiona, ostro kontrastując z jasną skórą o śmietankowej karnacji. Wargi miała pełne i jaskrawoczerwone, piersi obfite.

Powoli powracały do niego wspomnienia. Zjadł obiad ze starym szkockim przyjacielem, Duncanem McTate'em, a potem wybrali się razem do nowo otwartego domu gry, żeby rozproszyć zły nastrój. Między stolami krążyło tam, jak zwykle, sporo kobiet, drogich kurtyzan i kochanek szukających nowych protektorów, a także kilka niewiast z dobrego towarzystwa o nadszarpniętej reputacji.

Nie brakowało tu pokus. Nathaniel lubił uciechy cielesne, a że był przystojnym mężczyzną i w dodatku arystokratą, zawsze mógł przebierać wśród pań, obojętne, czy to wysokiego, czy niskiego stanu.

Kim jednak była ta krągła brunetka, która patrzyła na niego jak na łakomy kąsek? Nie pamiętał. Zresztą nieważne. Najwyraźniej wylądował w jakimś prywatnym pokoju sam na sam z atrakcyjną kobietą i bez skrupułów skorzystał z jej wdzięków, chcąc zapomnieć o dręczących go problemach. Tyle że mu się to nie udało. - Yvonne? ... rzucił na chybił trafił. Kochanie! - Jego towarzyszka uśmiechnęła się szeroko i uklękła, opierając ręce na materacu. Wydatne piersi niemalże musnęły jego podbródek. Wydała głęboki, gardłowy dźwięk i obróciła się na wznak z figlarną miną. Avery zaklął pod nosem. Najwidoczniej nie usatysfakcjonował jej należycie, choć nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów. Wprawdzie miał szczerą ochotę wstać i wyjść, lecz męska duma nie pozwalała mu pozostawić kobiety niezaspokojonej. Nawet jeśli była mu zupełnie obca.

Dwie godziny później pozostawił ją, pogrążoną w pełnym zadowolenia śnie, po czym przeszedł do wielkiego salonu. Było już dobrze po północy i tłoczyło się tam wielu dżentelmenów skorych do nabicia sakiewki. Nathaniel, który był tu po raz pierwszy, musiał zapytać ubranego w liberię sługę, gdzie może znaleźć swego towarzysza, Duncana McTate'a.

Gdy dokładnie mu opisał krzepkiego Szkota, ten palcem obciążonej białą rękawiczką dłoni wskazał mu salon ze złoceniami. Nathaniel utorował sobie drogę w tłumie i z rozbawieniem dostrzegł wreszcie przyjaciela.

Zastał go, jak się spodziewał, przy stole gry, gdzie piętrzyły się imponujące słupki monet. Chociaż Szkot był już czerwony na twarzy i miał przekrzywiony fular, Nathaniel wiedział, że McTate nie upił się na umór.

- Czy chce pan zasiąść do gry, Avery? spytał jeden z graczy, Kenyon. - Potrzeba nam świeżej krwi! McTate oskubał nas do cna. Szczęście mu dopisuje. Może nowy partner mógłby przerwać tę jego dobrą passę.

Muszę pana uprzedzić, że Szkota nie sposób rozdzielić z jego pieniędzmi odparł z uśmiechem Nathaniel. - Wolałbym raczej grać przeciw komuś innemu, komu też dopisuje szczęście.

Pozostali parsknęli śmiechem, łącznie z samym McTate'em. Na twarzy Kenyona pojawił się rumieniec. Nathaniel pomyślał, że przymrużone oczy i rumiana twarz upodabniają go do wielkiego gryzonia. Kenyon wsparł dłonie na blacie i z jawną wrogością spoglądał na McTate'a, który siedział po jego lewej stronie.

Nathaniel miał świadomość, że wielu ludzi z dobrego towarzystwa gardzi Szkotem jako grubianinem z prowincji, bo niewiele sobie robił z zasad rządzących ich światem. Wiedział też, że jest to człowiek honoru. Wprawdzie McTate przybył do Londynu za późno, żeby wziąć udział w pogrzebie Roberta i Bernadette, ale Nathaniel czuł się szczerze wzruszony tym, iż przyjaciel przebył tak długą drogę w samym środku zimy, chcąc złożyć mu wyrazy współczucia i zaoferować pomoc. Gdybyż tylko udało się załatwić nieszczęsną sprawę testamentu!

McTate poklepał go po ramieniu. Wygrałem czterysta gwinei. Co prawda nie uchodzi wstawac

od gry, kiedy szczęście komuś sprzyja, ale jeśli chcesz stąd wyjść, idę z tobą.

- Czy mam cię pozbawić sposobności do podwojenia wygranej? spytał sarkastycznie Nathaniel. Chyba nie wyglądam na kogoś, komu życie zbrzydło?

McTate odchylił głowę w tył i roześmiał się z uznaniem. Zaraźliwa wesołość udzieliła się też innym graczom. Wszystkim prócz jednego.

Nathaniel uznał, że Duncan świadomie zignorował natrętny wzrok karciarza. Rzucił temu ostatniemu ostrzegawcze spojrzenie, lecz Kenyon udał, że go nie dostrzega.

Myślę, że Szkotom oszustwo wydaje się rodzajem szczęścia wycedził albo może zreczności.

W tejże chwili McTate wstał, chwycił Kenyona za wyłogi surduta i uniósł go do góry.

- Ejże, chłopcze, powtórz mi to w oczy, zamiast mruczeć pod nosem niczym ostatni tchórz!

Twarz Kenyona spurpurowiała, gdy nadaremnie próbował uwolnić się z uścisku.

Karty padły na stół, zatrzeszczały odsuwane krzesła i pozostali czterej gracze zerwali się na nogi. Nikt nie przepadał za Kenyonem z powodu jego ciętego języka i pozerstwa, ale nigdy jeszcze nie znalazł się w takich opałach.

- Pan Kenyon na pewno nie chciał nikomu celowo uchybić rzekł z lodowatym spokojem Nathaniel, stając u boku przyjaciela i patrząc prosto w zaperzoną twarz jego przeciwnika. - Byłoby jednak lepiej zdobyć się na przeprosiny. I to natychmiast.

- Musiał mnie pan źle zrozumieć - wystękał Kenyon.

Szkot chwycił go jeszcze mocniej i uniósł wyżej. Kenyonowi oczy niemal wyszły na wierzch.

- Nie chciałem pana obrazić wykrztusił zdławionym głosem. Proszę mi wybaczyć moje słowa.

Na kilka sekund zaległa pełna napięcia cisza. Wszyscy czekali, czy McTate przyjmie przeprosiny. Dżentelmeni godni tego miana żądaliby satysfakcji w pojedynku, ale szkocki barbarzyńca mógł sobie wszczynać ordynarną burdę. Choć miał kiedyś odziedziczyć dzięki matce angielski tytuł hrabiowski, teraz nie było w nim nic z arystokraty.

Duncan bez uprzedzenia puścił Kenyona. Ten usiłował stanąć na nogi, uczepiony kurczowo brzegu stołu. Oddech miał urywany, jakby dopiero teraz pojął, że cudem uniknął niebezpieczeństwa. Reszta graczy, rozsądnie, nie próbowała spieszyć mu z pomocą.

McTate się wyprostował. Jednym płynnym ruchem zgarnął wygraną i nappełnił nią kieszenie. Potem strzepnął wymaginowany pyłek z ciemnego, wieczorowego surduta i rzuciwszy ostatnie pogardliwe spojrzenie na drżącego ze strachu Kenyona, odszedł od stołu.

Obydwaj przyjaciele kierowali się ku wyjściu, lecz wkrótce zagubili się w labiryncie nieznanym im pokoi. Tylko przypadkiem zdołali jakoś dotrzeć do małego, wykładanego boazerią pomieszczenia o wyglądzie biblioteki, którego ściany pokryte były półkami pełnymi książek. Masywne meble, jawnie dekadencjonalne, miały za wiele ozdób. Na kominku głośno trzaskał ogień.

- Na dworze pewnie teraz zimno jak u czarownicy między cyckami - zabrał głos McTate. Chyba należałoby się najpierw czymś rozgrzać. Nie napiłbyś się czegoś mocniejszego przed wyjściem?

Nathaniel skinął głową z aprobatą. Łyk trunku dobrze by mu zrobił. McTate przyzwał ruchem ręki lokaja:

- Przynieś nam dwa kieliszki i butelkę najlepszego porto.

Drzwi pozostały otwarte i gdy sługa oddalił się po napitek, jakiś cień w przejściu przyciągnął uwagę Nathaniela.

Przez chwilę myślał, że to Kenyon szuka zemsty, lecz cień okazał się kobietą - wysoką, atrakcyjną blondynką. Jedwabna suknia z małymi rękawkami i głębokim dekoltem podkreślała jej piękną cerę

oraz kształtną figurę. Choć nie pierwszej młodości, niewątpliwie była bardzo ładna.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem, a wyraz twarzy świadczył, że wzbudził jej zainteresowanie. Tajemnicza piękność najwyraźniej szukała jakiejś podniety. Nathaniel uznał, że jak na tę noc wystarczy mu kobiecego towarzystwa. Spojrzał prosto w jej znużone oczy i pokręcił odmownie głową.

Blondynka wzruszyła ramionami, lecz i tak weszła do pokoju, kierując się w stronę Duncana. Z kocią gracją objęła go w pasie. Szkot odwrócił głowę. Zmierzył wzrokiem od góry do dołu wydekoltowaną suknię, zatrzymując przez kilka sekund spojrzenie na imponującym biuście kobiety.

Nieznajoma przyłgnęła do niego, rozchylając zachęcająco wargi. Zmrużyła oczy i odrzuciła w tył głowę, pozwalając podziwiać swoją posągową wręcz szyję. McTate zamrugał niebieskimi oczami, a potem przesadnie głośno westchnął.

- Och, dziewczyno, żebym to ja miał czas użyć sobie z tobą - powiedział z udawanym żalem. - Ale, jak widzisz, mam ważną sprawę do omówienia z przyjacielem. Może kiedy indziej.

Żartem klepnął ją po pośladkach i blondynka odeszła, mijając lokaja z tacą. McTate uparł się, żeby pieniędzmi z wygranej zapłacić za trunki, i dał mu spory napiwek. Obydwaj zasiedli z kieliszkami w dłoniach w zacisznym kącie przy kominku, z dala od graczy i łasych na zdobycz kobiet.

Nathaniel poczuł, że Szkot mu się przygląda. - No i co, parę godzin niemoralnych rozrywek poprawiło ci humor, przyjacielu?

- Niespecjalnie. Nathaniel uśmiechnął się blado. - Jakoś nie jestem w dobrym nastroju.

- W dobrym nastroju! - zadrwił McTate. Spodziewałem się, że będziesz zbolaty, przecież wiem, jak kochałeś brata i jego żonę. Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że będziesz aż tak przybity.

- Wszystko przez tę przeklętą sprawę w sądzie. - Już sama myśl o tym go denerwowała. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Dziś rano miałem utarczkę z urzędnikiem sądowym, który najwyraźniej spodziewał się odpowiedniej gratyfikacji od obydwu stron. Chciałem, aby przyznano mi prawo do opieki nad dziećmi, ale mojej prośby nie potraktowano przychylnie. Nathaniel upił łyk wina i po ciele rozeszło mu się miłe ciepło, a potem wyciągnął ku Szkotowi rękę z kieliszkiem. McTate dołączył mu bez słowa. - Wynająłem najlepszego prawnika w całym Londynie i wydałem fortunę, nie licząc tego, co poszło na niezbędne łapówki, ale nadal nie otrzymałem prawa do opieki nad dziećmi Roberta. Adwokaci mówią, żebym był cierpliwy. Z każdym dniem coraz trudniej mi się na to zdobyć. Zwłaszcza że widzę, jak stryj je zaniedbuje.

- Czy źle je traktuje?

- Gorzej, nic go nie obchodzą ich potrzeby, żal czy uczucia. Boję się, że właśnie ta obojętność wyrządza im największą krzywdę.

Duncan McTate gwizdnał przeciągle. - Święci pańscy, chłopcze, mówisz, niby stara baba lamentująca nad bachorami.

- To nie żadne bachory, tylko syn i córki Roberta. Powierzył mi je na łożu śmierci; chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby spełnić daną mu obietnicę. Czy mogę liczyć na twoją pomoc? - Nathaniel spojrzał Szkotowi w oczy i poczuł przykry skurecz w żołądku. Jeśli nawet dobrego przyjaciela nie może przekonać do swojej sprawy, to jakże przekona sędziego? Dlaczego nic nie mówisz? - spytał zgnębiony.

Duncan potarł podbródek.

- Po prostu nie umiem sobie wyobrazić twojej opieki nad trójką dzieci, zwłaszcza nad tymi dwiema dziewczynkami.

Nathaniel się uśmiechnął. Napięcie zelżało. Ujął butelkę i napełnił obydwie kieliszki.

- Czy stryj nie pozwala ci ich widywać? - McTate przysunął się bliżej do ognia.

- Bynajmniej. Co wieczór je odwiedzam, a kiedy zrobi się cieplej, mam zamiar zabierać je do parku albo na spacer po mieście. Może choć trochę się ucieszą.

- To nieźle brzmi. - Duncan powoli obracał w palcach kieliszek. - Odwiedzać je prawie co dzień, pocieszać, budzić w nich przywiązanie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, robisz dużo więcej niż opiekun wyznaczony przez prawo. Niech Bridwell nadal ma je na głowie. Ważniejsze, żebyś ty istniał w ich życiu. Kiedy stryj zrozumie, że czuwasz nad nimi, będzie pewnie zmuszony zachowywać się stosownie.

Nathaniel się zamyślił. Istotnie, czemu nie zostawić wszystkiego po staremu? Stryj nie posunie się chyba do tego, by wyrzucić malcom jakąś krzywdę, tym bardziej że wcale nie sprzeciwia się jego wizytom. A jeśli ścisną mocno sakiewkę, to można przypuszczać, że pieniądze nadal w niej będą, kiedy dzieci dorosną.

Batalia prawna trwała o wiele dłużej, niż się spodziewał, i wymagała dużo większych zachodów. Wygranie sprawy wcale nie było pewne, zwłaszcza że nie odnaleziono testamentu, który usprawiedliwiałby jego pretensje do kurateli nad dziećmi. Rada McTate'a wydawała się dobra. Tyle że trzy bezbronne małe istotki byłyby wówczas zdane na łaskę Bridwella, a to się Nathanielowi nie podobało.

Ścisnęło go w gardle. A gdyby tak jego własne dzieci zostały nagle sierotami i znalazły się pod opieką kogoś, kto dbałby o nie równie mało? Co wtedy zrobiłby brat?

Nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią. Robert bez wahania zabrałby je do siebie i wychował jak własne. Czyż on ma gorzej potraktować jego potomstwo?

- Pozostawienie Bridwellowi opieki zakrawa na tchórzostwo. A jeśli kiedyś zabroni mi dostępu do dzieci? Nie będę mógł zaprotestować. Myślę, że tylko jako wyznaczony przez sąd opiekun zapewnię im bezpieczną przyszłość. I musi się to stać jak najszybciej.

McTate drgnął.

- Skoro dzieci wcale twojego stryja nie obchodzą, to czemu tak zawzięcie chce je zatrzymać? Co się za tym kryje?

- Pieniądze odparł bez wahania Nathaniel. - I cały prestiż, który łączy się z zarządzaniem fortuną Claridge'ów. Jestem drugim synem, ale nie przejmowałem się zanadto moją pozycją. Jeszcze w dzieciństwie otrzymałem tytuł barona Avery'ego. Mój stryj też stał się lordem Bridwellem jako chłopiec. Z obydwoma tytułami łączy się niemała pensja, są też bardzo poważane, na co obydwaj niezbyt zasługujemy. Zdumiało mnie, że stryj czuje się tak boleśnie urażony swoją pozycją drugiego syna.

McTate, nagle czymś zaniepokojony, uniósł się w fotelu.

- Czy twojemu bratankowi, małemu Gregory'emu, mogłoby coś grozić? Nathaniel przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

Myślisz, że coś grozi jego życiu?

- Powiedziałeś, że stryj jest zazdrosny. Jak daleko, twoim zdaniem, może się posunąć, chcąc zostać księciem Claridge'em?

- Dobry Boże, nigdy o tym nie myślałem. Gdyby Robert zmarł bez dziedzica, księciem byłbym ja. Gdyby jego syn zmarł bezpotomnie, tytuł również przeszedłby na mnie, chociaż sądzę, że stryj rościłby sobie pretensje do niego.

- Jeszcze jeden powód, żeby widział w tobie przeszkodę, którą należy usunąć odparował McTate.  
- Rzecz jasna, jeśli jest tak przedsiębiorczy, jak się zdaje, i naprawdę chciałby zagarnąć tytuł, musiałby się pozbyć i ciebie, i bratanka.

Serce Nathaniela załomotało gwałtownie.

- Niech to diabli, McTate, aleś mnie pocieszył! Szkot wzruszył ramionami.

- Ja cię tylko ostrzegłem, przyjacielu. Może lord Bridwell nie jest zdolny do takich czynów, ale skąd można wiedzieć, co się kryje w czyimś sercu, a zwłaszcza w sercu Anglika! Historia pełna jest morderstw w rodzinie. Ten nędznik, Ryszard III, zdobył tron tylko dlatego, że uwięził w Tower dwóch swoich bratanków, księcia Edwarda i księcia Yorku. Był jednak zbyt przebiegły, żeby od razu ich uśmiercić. Z początku widywano więc chłopców przy zabawie za kratami wieży od czasu do czasu, potem coraz rzadziej, aż wreszcie zniknęli na zawsze. Choć wielu domyślało się, co się z nimi stało, nikt nie śmiał otwarcie zarzucić królowi zbrodni. Prawda wyszła na jaw dopiero po dwustu latach, kiedy znaleziono dwa chłopięce szkielety pogrzebane u stóp Tower pod wielkim stosem kamieni.

- Ryszard zamordował ich, żeby zostać królem przyznał z niechęcią Nathaniel. - Mój ród ma wprawdzie niemałą fortunę, lecz daleko mu do bogactw korony angielskiej.

Szkot przymknął oczy.

- Może ponosi mnie wyobraźnia, ale marny byłby ze mnie przyjaciel, gdybym ci nie doradzał większej czujności.

Nathaniel wiedział, że McTate daje mu szczerą i rozsądną radę, ale żałował, że w ogóle poruszył ten temat. Lista jego problemów stała się teraz dłuższa.

- Kiedy wygram sprawę w sądzie, wszystkie kłopoty znikną - odparł tonem pełnym przekonania, choć w gruncie rzeczy wcale go nie czuł.

- A może twoim największym błędem jest właśnie zaufanie do angielskiego prawa? McTate westchnął z pewną ostentacją. - Jeśli masz, jak sądzę, trochę oleju w głowie, posłuchasz rady Szkota. Nie czekaj, aż ci sąd odda dzieci. Zajmij się tym sam, jak najprędzej. Zabierz je i tyle.

Avcry spojrzał na niego ze zdumieniem. Co takiego?

- Słyszałeś, co mówię? Zabierz je, wykradnij Bridwellowi sprzed nosa.

- Czyś ty oszalał? A może jesteś pijany? McTate uniósł brwi, jakby wziął pytanie serio.

- Myślę, że po trosze jedno i drugie, ale przez to mój pomysł wcale nie traci na wartości.

- Co za nedorzeczość!

- Dlaczego? My, Szkoci, jesteśmy rabusiami i rozbójnikami. Zawsze tacy byliśmy, od pokoleń. Zresztą z sukcesem. Jeżeli sąsiedni klan zagarniał coś, co się nam należało, i nie chciał oddać, kradliśmy to z kolei my.

Nathaniel odstawił na wpół opróżniony kieliszek; i tak wypił stanowczo zbyt wiele. Miał też szczerą chęć sięgnąć po ten drugi, tkwiący w mocnej dłoni Duncana. Uznał to jednak za nieroztropne.

- Mówimy o trojgu małych dzieci, McTate, a nie o stadzie bydła. Szkot wydawał się zaskoczony.

- Nie widzę większej różnicy.

Nathaniel zaczął chodzić wielkimi krokami tam i z powrotem po dywanie.

- Powiedzmy, że przez chwilę wezmę pod uwagę twój plan. Ale co pocznę, jeśli stryj zjawi się nagle u mnie z żądaniem zwrotu podopiecznych? Lub, co gorsza, jeżeli przyjdzie razem z policjantem, chcąc mnie aresztować i wtrącić do więzienia? Gdybym nawet zdołał się potem wybronić przez zarzutami, po tak zuchwałym czynie nikt nie uzna mnie za odpowiedzialnego opiekuna.

- Owszem, posunięcie jest ryzykowne, chociaż gdyby sąd widział w tobie dobrego opiekuna, to przychylniej rozpatrywałby twoją sprawę. Sam jednak mówisz, że nawet dzięki łapówkom nie zdołałeś dopiąć celu. - McTate mrużył oczy z chytrą miną. A stryj nie zdoła cię aresztować ani odebrać ci dzieci, jeśli ich nie znajdzie.

Nathaniel zatrzymał się nagle i okręcił na pięcie.

- Co masz na myśli? Chcesz, żebyśmy je ukryli, jak kryminaliści?

McTate odchylił się do tyłu w fotelu.

- Kiedy raz weźmiesz sprawy w swoje ręce, przekonasz się, że będziesz górą. Właśnie to mam na myśli. A Bridwell nie podniesie krzyku, jeżeli mu sprzątniesz dzieci sprzed nosa, bo wyszłoby wtedy na jaw, jakim był nędznym i nieudolnym opiekunem. Do licha, skoro tak mało o nie dba, to nawet nie zauważy, że od kilku dni nie ma ich w pałacu. Zwłaszcza jeśli obmyślimy i wykonamy nasz plan, zapewniając sobie milczenie służby.

Nathaniel zacisnął wargi. Wiedział, że McTate mówi poważnie. Ale czy tak zuchwały zamiar mógł się powieść?

- Dzieci umrą ze strachu, jeżeli wykradnie je ktoś obcy - mruknął.

- Masz słuszość. Właśnie dlatego musisz to zrobić ty. Ciebie znają, tobie ufają, z tobą pójdą bez protestów i bez hałasu.

- A więc mam zostać porywaczem?

- Tak chyba będzie najlepiej.

To nie było rozsądne! Nathaniel poczuł jeszcze gwałtowniejszy skurcz żołądka. Wolałby wszystko załatwić w uczciwy, cywilizowany sposób, lecz w razie niekorzystnego wyroku sądu - nie będzie miał wyboru.

- A co zrobimy, kiedy już wykradnę dzieci?

McTate uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, kontrastującymi z ogorzałą od wiatru twarzą.

- Mam małą, rzadko używaną posiadłość w Highlands. Doskonałe miejsce dla was wszystkich. Ręczę, że Bridwell ani żaden wynajęty przez niego szpicel nie znajdą was tam. Zapewnię ci nawet służbę i doświadczoną guwernantkę.

- A co dalej?

- Później, gdy sprawa przycichnie, dogadasz się ze stryjem. Kiedy zrozumie, że masz nad nim przewagę, będzie bardziej skłonny do ugody. - McTate znów się uśmiechnął, chytrze i groźnie zarazem. - To proste. Powiedz tylko „tak”, a ja się wszystkim zajmę.

Proste? Plan McTate'a był pokrętny, niebezpieczny i... piekielnie sprytny. Nathaniel rzadko miewał wyrzuty sumienia, ale wahał się przed podjęciem tak drastycznych, podstępnych środków. A jednak jakaś niewielka, ukryta część jego osoby rozważała tę możliwość całkiem serio.

#### 4

Oprócz rodziny chyba cała służba - wraz z kamerdynerem, klucznicą, pokojówkami, lokajami i chłopcami stajennymi zebrała się na frontowym dziedzińcu Hawthorne Castle, żeby po raz ostatni ujrzeć pannę Harriet i życzyć jej szczęśliwej drogi. Niebo było bezchmurne, powietrze rześkie i świeciło słońce - wymarzony dzień na podróż.

Harriet uściśnęła wszystkim naokoło dłonie i z miłym uśmiechem przyjęła życzenia. Naciągając rękawiczki, ruszyła ku powozowi, koło którego zgromadziła się rodzina.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nas opuszczasz szepnęła Elizabeth. Jedziesz tak daleko, aż na północ Szkocji. Boże drogi, przecież to na końcu świata!



- Mogło być gorzej - odparła Harriet, odgarniając jasny pukiel z policzka siostry - gdybym na przykład wybierała się do Irlandii.

- Jak możesz tak mówić! Mnie by zgrozą przejęła sama myśl o porzuceniu domu i przyjęciu pracy u obcych.

- Wiem, wiem! - Harriet łagodnie położyła jej dłoń na ramieniu. Mnie natomiast cieszy perspektywa życia poza naszym miasteczkiem. Pamiętaj, że robię to z własnej woli.

Elizabeth zwiesiła głowę.

- Będzie mi cię brakowało powiedziała z przejęciem. Obiecuj, że to nie potrwa długo!

- Wrócę, nim sobie uświadomisz, że wyjechałam. Nie dramatyzuj, siostrzyczko, bo jeszcze Griffin zacznie ze wzruszenia pociągać nosem, i to przy służbie!

Wicehrabia zmusił się do uśmiechu i uściśnął ją mocno, po bratersku.

- Nie uwierzysz, jak trudno mi się z tobą rozstać szepnął jej do ucha. - Pozwoliłem ci podjąć tę głupią decyzję, bo się przy niej upierałaś, ale daj mi słowo, że wrócisz, gdybyś miała choćby najmniejsze kłopoty. Nie wszystko można pokonać siłą woli, nawet tak mocnej, jak twoja.

- Zapewniam, że zachowam należyłą ostrożność - odparła Harriet, nie umiając jednak stłumić lekkiego niepokoju.

Jeszcze dwa dni temu z prawdziwą radością pakowała bagaże. Teraz serce waliło jej gwałtownie. Nie przypuszczała, że pożegnanie okaże się tak trudne.

Prócz kilku nieszczęsnych miesięcy w Londynie całe swoje życie spędziła w tym domu. Czy postąpiła nieroztropnie, godząc się na tak gwałtowną odmianę? Pełna zwątpienia, kurczowo ścisnęła torebkę z listem oferującym jej miejsce guwernantki trojga wychowanków pana Wainwrighta.

Szybko zdecydowała się przyjąć posadę wyszukaną przez miejscowego pastora. List od jego dalekiego kuzyna w Szkocji mówił o zamożnej rodzinie kupieckiej, pilnie potrzebującej wykwalifikowanej guwernantki. Harriet nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. To była wymarzona praca. Z dala od Anglii, od wytwornego towarzystwa, od dobrze urodzonych ludzi. Może zacząć wszystko od nowa. Nikt tam nie zna jej przeszłości, nie wyśmiej, nie wydrwi ani - czego obawiała się najbardziej nie będzie jej współczuł z powodu zerwanych zaręczyn. A także zhańbionego byłego narzeczonego.

Oczywiście sytuacja ta miała również inne zalety. Harriet najbardziej ucieszyło, że ma się opiekować kilkorgiem dzieci, a konkretnie dwiema dziewczynkami i małym chłopczykiem. Dzięki Georgiemu wiedziała, jak sobie z nim poradzi. Czuli, że go zrozumie, w każdym razie bardziej niż gdyby chodziło o jakiegoś podrostka.

Wychowywanie dziewcząt zrównoważy to i urozmaici. A wreszcie rzecz najważniejsza: nie były to własne dzieci pana Wainwrighta, tylko wychowankowie. Będzie miała więcej do powiedzenia. Doprawdy, wszystko zapowiadało się znakomicie.

Dwie dziewczynki i chłopiec! Niegdyś marzyła, żeby Bóg zesłał jej czwórkę własnych dzieci, dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Już sama możliwość posiadania potomstwa budziła w niej podniecenie i ciekawość. A choć Julian raczej skąpił jej pocałunków, Harriet pamiętała każdy z niewiarygodną ostrością. Wspominała delikatne muśnięcie jego ust, kiedy zgodziła się zostać jego żoną, i namiętny pocałunek w przeddzień wyjazdu narzeczonego do Hiszpanii, gdzie się zaciągnął jako niższy oficer armii Wellingtona.

A potem w samotności upływały jej tygodnie, miesiące i lata, aż wreszcie radośnie powitała Juliana po jego niespodziewanym powrocie. Lecz to, co wydawało się zapowiedzią szczęścia,

przyniosło tylko smutek.

Sądziła, że za kilka tygodni pobiorą się i rozpoczną wspólne życie, że będzie miała dom, dzieci, miejsce w społeczności, ale doczekała się skandalu, niesławy i porzucenia. Nie miała wyboru. Przyjęła to, co niósł ze sobą los. Gdzieś na pustkowiach północnej Szkocji dwie dziewczynki z małym braciszkiem czekają na jej przyjazd. - Zapomniałaś o mnie, ciociu Harriet?

Spojrzała z żalem na bratanka. Będzie go jej brakowało, bardziej niż innych; od samego początku kochała go, chroniła i stawiała w jego obronie. Tyle tylko, że w ciągu ostatniego roku coraz mniej owej obrony potrzebował. Może i z tego powodu chciała opuścić dom. Czuła, że chłopiec wkrótce o niej zapomni, jak to zwykle bywa z dziećmi. Przemogła jednak smutek i uściskała go mocno.

- Jesteś wyjątkowym, wspaniałym chłopcem - szepnęła mu do ucha. - Pamiętaj, że bardzo cię kocham!

Georgie zniósł cierpliwie uściski i cmoknął ją kilka razy w policzek wilgotną buzią. Harriet życzliwie pożegnała Faith, ucałowała śpiącą Emmę Kate i jeszcze raz objęła Elizabeth. Odwróciła się szybko, żeby nie słyszeć zduszonego łkania siostry. Powstrzymała cisnące się do oczu łzy i skupiła całą uwagę na okazałym powozie.

Kiedy spuszczone schodki, zebrała spódnicę i wsiadła do środka, starając się nie okazywać wzruszenia i patrzeć prosto przed siebie. Rozległy się ostatnie pożegnalne okrzyki, życzo jej szczęśliwej drogi. Potem powóz ruszył.

- Rada jestem, panno Harriet, że mogę panience towarzyszyć, ale bardzo mi się będzie cknęło za domem! - oznajmił kobiecie głos.

Harriet westchnęła, chcąc zagłuszyć popłakiwanie służącej. Lękała się wybuchu własnych uczuć, lecz gdy powóz skręcił za rogiem ku gościńcowi, była już całkiem spokojna i opanowana.

- Kate, spójrz na tego niedźwiedzia! Pił ze strumienia i nawet nie drgnął, kiedy przejechaliśmy tuż koło niego przy drewnianym mostku. Musi być bardzo zuchwały, skoro nie przestraszył go turkot kół.

Kate niechętnie wyjrzała przez okienko. - Parszywa stwora, pewnie się niedawno nażarła! - parsknęła. - Bo głodny ani chybi rzuciłby się na nas!

- Doprawdy? - spytała rozbawiona Harriet. - Czy niedźwiedź często rzuca się na ludzi?

- O nie, panienko, częściej na konie, bo to dla niego najłatwiejsza zdobycz. Ten to by pewnie rozdarł konia w jednej chwili. Skoczyłby mu prosto do gardła!

- Mnie się wydał tylko potężny i dziki - szepnęła Harriet, odwracając głowę, żeby jeszcze raz dostrzec zwierzę.

- To prawdziwy morderca. Kate pokiwała głową.

Harriet westchnęła. Towarzystwo Kate okazało się uciążliwe. Aż dotąd nie знаła jej dobrze i z pewnym zaskoczeniem odkryła, że ta leciwa już kobieta ma niezwykle posępną wizję życia. Niestety ostatnio Harriet coraz częściej się z nią zgadzała. Narastała w niej niepojęta skłonność do widzenia wszystkiego w najczarniejszych barwach. Chociaż wzięwszy pod uwagę odległość, jaką przebyły, porę roku i pogodę, trudno się było dziwić nastrojom Kate. Na szczęście odeśle ją tuż po przybyciu do Hillsdale Castle, siedziby pana Wainwrighta. Harriet musiała zgodzić się na jej towarzystwo, bo Griffin uparcie twierdził, że niezamężna kobieta z dobrego domu nie może podróżować sama tak daleko, nawet jeśli czeka ją tylko praca guwernantki. Pewnie będzie pierwszą wychowawczynią, która przywiezie ze sobą służącą, ale może pracodawca potraktuje to z przymrużeniem oka albo uzna za ekscentryczne dziwactwo.

- Czy prędko staniemy gdzieś na obiad? Tym nędznym śniadaniem z sera i suchego chleba nawet

mysz by się nie pożywiła!

- Na pewno John zatrzyma powóz przy pierwszej napotkanej gospodzie. Jak zawsze zresztą.

Chociaż niektóre z posiłków jadanych przez nie ostatnimi dniami były doprawdy żałosne, to przynajmniej pozwalały na przerwę w podróży. Harriet rozumiała zgryźliwość Kate. Nawet jeśli nie było zbyt ciemno, gwałtowne wstrząsy pojazdu uniemożliwiały lekturę czy szycie.

Początkowo obydwie chętnie patrzyły na zmieniające się wciąż za oknami wiejskie widoki. Szybko się jednak tym znudziły i próbowały gawędzić. Kate była temu rada, Harriet rozmowy ze służącą przyprawiały o ból głowy.

Gdy wjechały do Szkocji, pejzaż się zmienił i Harriet z zaciekawieniem przyglądała się ośnieżonym szczytom. Zadziwiający majestat i surowe piękno gór szybko wzbudziły w niej wszakże nieokreślony lęk.

Górzyste odludzie, gdzieniegdzie tylko ubarwione zielenią, wznosiło się coraz wyżej i sprawiało wrażenie, że istnieje na przekór wysiłkom matki natury, która zawzięta się, żeby je zniszczyć. Zdaniem Kate kraj był niegościnnie i wrogi. Głośno żałowała wygodnych, płaskich gościńców i cieplejszego klimatu rodzinnych stron. Harriet natomiast, choć ciasno otulała kolana pledem, uznała krajobraz za przejmująco piękny. Żal jej było tylko woźnicy i lokaja, wystawionych na chłód i niepogodę.

Kate zrywała się, że obydwaj piją za wiele trunków na każdym postoju, ale Harriet nie miała serca skąpić im jabłeczniaka czy całych dzbanków piwa, pochłanianych dla rozgrzewki. Musieli być przecież przemarznięci do szpiku kości.

- Hm, nie wygląda mi to na godziwą gospodę, ale pewnie lepszej tutaj nie ma!

Harriet dostrzegła małą oberżę i w duchu przyznała rację służącej. Gospodę stanowiła duża chałupa z dachem krytym słomą i małym sadem. Po podwórzu swobodnie biegały kury.

Zajazd stał w niewielkiej kotlinie otoczonej ze wszystkich stron wysokimi górami. Kiedy Harriet wysiadała z powozu, przemknęło jej przez myśl, że te granitowe kolosy osłonią ich przynajmniej przed dokuczliwym, zimnym wichrem. Żadnych innych gości nie było i przez chwilę młoda kobieta obawiała się, że przez pomyłkę zajechali przed zwykłą, wiejską chatę.

Kiedy jednak obojętny oberżysta ujrzał monety rzucone mu przez Johna, podano im zaraz obiad na cienkich pasterskich plackach oraz piwo. Okazało się też, że Hillsdale Castle leży zaledwie dwadzieścia kilometrów dalej.

Droga wiodła przez wysokie góry, które parę dni wcześniej wydawały się tak odległe. Harriet, wsiadając do powozu, odzyskała dobry humor, lecz po godzinie nie było po nim śladu, a Kate głośno biadała i obskubywała końcami palców wełniane rękawiczki.

Młodsza z kobiet z całej siły zagryzła wargi, nie chcąc powiedzieć służącej czegoś przykrego. Wciąż upominała ją, żeby zrezygnowała z tego wyjątkowo drażniącego nawyku, ale na próżno. Jeszcze raz pomodliła się w duchu, żeby opatrność pozwoliła jej dotrzeć do zamku, nim zgryźliwość i zachowanie Kate przyprawiają o szaleństwo.

Kolejna reprymenda nie miała sensu. Harriet wtuliła się więc w obicie siedzenia, wsparła głowę o jego krawędź i przymknęła oczy, trwając w tym podobnym do transu stanie przez całą wieczór.

Nagły wstrząs sprawił, że oprzytomniała. Konie potknęły się na śliskim gruncie, a ona przywarła do siedzenia, kurczowo ściskając skórzany uchwyt. Wyjrzała przez okno. Blask zachodzącego słońca zaczynał już blednąć. Powóz coraz wolniej posuwał się po lichym trakcie. Na szczęście wkrótce pojawił się księżyc, bo zmyliwszy drogę, z pewnością zabłądziliby na pustkowiu. Łańcuch

niewiarygodnie stromych wzgórz i przepastnych dolin sprawił, że jechali z wielkim trudem. Oblodzony, kamienisty szlak był bardzo niebezpieczny.

Głębokie koleiny krętej drogi stanowiły kolejną przeszkodę. Po lewej wznosiło się potężne górskie zbocze - nieco wyżej porośnięte nagimi drzewami a po prawej ziała głębia wąwozu o poszarpanych, skalistych brzegach.

Jedyną pociechą była pewność, że nie grozi im napaść. Żaden rabuś czy rzezimieszek nie zapuściłby się na te odległe, barbarzyńskie ziemie w pogoni za łupem.

Na szczęście powóz miał doświadczonego woźnicę. Griffin wybrał na tę podróż najbardziej zaufanego ze swoich sług i Harriet była szczerze wdzięczna bratu, że mimo jej protestów postanowił, iż to właśnie John Coachman odwiezie ją do Szkocji.

- Konie zwolniły - oznajmiła. - Pewnie wkrótce będziemy na miejscu.

- Albo wspinają się na następną górę - burknęła Kate. Trzeba nam było zostać na noc w oberży! Któż to widział, żeby puścić się w drogę o tak późnej porze!

Harriet nie zważała na jej słowa. Wiele dni spędzonych wspólnie w zamkniętym powozie zbliżyło do siebie obydwie kobiety, a Harriet musiała przyznać, że droga nie zawsze była wygodna i miła. Zdarzały się wyjątki.

Kate zaszyła się w kąt powozu, ale Harriet przywarła do zimnej szyby. W oddali widniała kolejna grań, a nad nią majaczył niewyraźny zarys czegoś innego. Spojrzała ku górze - zza chmur wyłaniała się potężna, masywna bryła na samym wierzchołku skały, górująca nad całą okolicą. Harriet dostrzegła też mroczne, kamienne baszty narożne, choć ledwie je było widać zza mgły, i strzeliste wieżyczki na tle ciemniejącego nieba. Granitowe blanki oraz archaiczny styl budowli upodabniały ją raczej do twierdzy niż domostwa, lecz Harriet, tknięta przecuciem, miała pewność, że właśnie tam znajduje się cel ich podróży.

- Chyba już się zbliżamy - szepnęła, a jej słowa wyrwały Kate z drzemki. I ona również przysunęła twarz do okienka.

- Gdzież to jest? - spytała bojaźliwie.

- Na tamtym grzbiecie górskim. Harriet wskazała palcem zamek. Kate podążyła za nim wzrokiem. Po chwili milczenia zawołała:

- Ciągle nic nie widzę. Ma panienka na myśli te ruiny na górze?! Przecie to jakaś opuszczona strażnica. Noga moja tam nie postanie! Pewno w niej straszy jakiś szkocki bandyta sprzed wieków!

- Jestem pewna, że to właśnie Hillsdale Castle.

- Co takiego?! - Harriet poczuła, że Kate cała się trzęsie. - Nie może być, panienko! Toż nie świeci się w żadnym oknie ani dym nie idzie z komina. Nora w sam raz dobra dla diabła, a nie porządnej chrześcijańskiej rodziny, której trzeba guwernantki!

- Bzdury! - prychnęła Harriet, choć musiała przyznać, że na pierwszy rzut oka miejsce jej przyszłej pracy robiło dość przerażające wrażenie. - To piękny średniowieczny zamek. Musi w nim być mnóstwo starych sprzętów i wielkie kominki z trzaskającym ogniem. Właściciele na pewno przebudowali go i wygodnie urządzili wewnątrz, ale byli na tyle mądrzy, żeby zachować zewnętrzną sylwetkę.

Służąca spojrzała na nią z niedowierzaniem, lecz zamilkła. Gdy zbliżali się do bramy wjazdowej, zamaznięta mżawka zabębniła po dachu powozu, a dzikie podmuchy wiatru zatrzęsły pojazdem. Obie kobiety ogarnęło zdenerwowanie.

Harriet uchwyciła się skraju welwetowego siedzenia, żeby nie upaść. Kate również. Choć w

powozie było ciemno, Harriet dostrzegła strach w oczach służącej. Miała nadzieję, że w jej własnych, orzechowych tęczęwkach nie widać śladu złych przeczuć.

To tylko podniecenie i ulga, że podróż wreszcie się kończy, powtarzała sobie w duchu. I całkiem zrozumiała obawa przecież rozpoczynam nowe życie w osobliwym otoczeniu!

Słowa Kate, że w zamku nikogo nie ma, wydawały się prorocze. Gdy powóz zadudnił, jadąc po starym zwodzonym moście i zatrzymał się na odkrytym dziedzińcu, nikt nie wyszedł im naprzeciw. Harriet sądziła, że fatalna pogoda każdego rozumnego człowieka zatrzymałaby w ciepłym domu. Nie mogła uprzedzić o dniu swojego przybycia i nie przejmowała się brakiem powitania. Ktoś przecież musiał zauważyć ich przyjazd i wkrótce się pojawi. Wątpliwe, by do tak oddalonej siedziby przybywali nieoczekiwani goście!

Harriet opuściła szybę w okienku i zawołała do woźnicy:

- Kate i ja chcemy wejść frontowymi drzwiami! Proszę odprowadzić powóz do stajni. Biedne konie są tak zmęczone, że z pewnością same tam trafią!

Wolałaby co prawda, żeby to właśnie lokaj zastukał do drzwi. Uznała jednak, że musi działać rozumnie. Woźnica na pewno chciał zająć się zziąjanym zaprzęgiem, a z braku służby będzie chyba zmuszony zrobić to sam.

John podjechał tak blisko do drzwi frontowych, jak tylko się dało. Harriet pospiesznie zapięła płaszcz pod samą szyję i skinęła na Kate, wysiadając z powozu.

Ostry, przenikliwy wiatr z deszczem uderzył w nią z całej siły i niemal przewrócił na ziemię. Zaczerpnęła głęboko tchu, w nozdrzach poczuła cierpką woń wilgoci. Usiłowała zignorować przeraźliwe wycie wichury szalejącej dokoła zamku, gdy szykowała się do wejścia. Otulona wełnianym płaszczem, pochyliła głowę i pobiegła ku kamiennym schodom wiodącym ku potężnym drzwiom. Słyszała biadolenie Kate i poczuła, że służąca desperacko uchwyciła się poły jej palta, jakby w strachu, że Harriet ją zostawi. Ciągnąc Kate za sobą, przez całą drogę walczyła z porywami wichru, aż wreszcie dopadła stopni.

Nie było tam żadnego portyku ani daszka, żeby osłonić się przed żywiołem. Strugi lodowatego deszczu siekły bezlitośnie ich czepki, które zaraz przemokły. Harriet poczuła, że zimne krople spływają jej za kołnierz i ciekną po karku. Nigdy w życiu bardziej nie tęskniła za ciepłym i suchym pomieszczeniem. Jeden rzut oka na twarz Kate powiedział jej, że służąca czuje to samo. Ze złością uniosła ciężki, żelazny pierścień i zakołatała donośnie. Głuchy dźwięk odbił się echem od kamiennych ścian. Niesamowity odgłos sprawił, że Harriet przeszył dreszcz. Wszędzie jednak nadal panowała cisza.

- A mówiłam, że to opuszczona ruina! - jęknęła żałośnie służąca. - Lepiej wracajmy do powozu. Jeżeli woźnica znalazł stajnię, możemy poczekać w niej do rana. Jak postoiemy dłużej na tym zimnie, zaziębimy się na śmierć! - Musi tu ktoś być! upierała się Harriet.

Przemoczona do suchej nitki, znękana i mocno już rozgniewana zacisnęła zgrabiałe mimo rękawiczek palce wokół lodowatej kołatki, podniosła ją jak najwyżej i sześciokrotnie uderzyła nią o drzwi.

Tym razem na łoskot odpowiedziało wściekłe psie ujadanie, początkowo gdzieś z wnętrza zamku, potem jednak coraz bliższe. Obydwie, choć stały za solidnymi drzwiami, odruchowo odskoczyły w tył.

Harriet, nie dbając już o zimno i wilgoć, zastanawiała się gorączkowo, czy zdoła razem z Kate zbiec ze śliskich stopni, nie narażając się na upadek. Ale gdzie się schowają przed rozszalałym

psiskiem? Dziedziniec był zupełnie pusty.

Ciężki zgrzyt zardzewiałych zawiasów oznaczał, że ciężkie drewniane skrzydło drzwi otwiera się na oścież.

Ponure prorocтва i ostrzeżenia służącej podziały na wyobraźnię Harriet. Wiedziała, czego się spodziewać, lecz gdy w drzwiach ktoś stanął, zaparło jej dech z wrażenia.

Był to mężczyzna. Młody, bardzo przystojny, wysoki, szeroki w barach i atletycznie zbudowany. Harriet stwierdziła, że musi mieć mniej więcej tyle lat, co i ona, czyli około dwudziestu ośmiu. Zauważyła też masywny podbródek, silnie zarysowane kości policzkowe, pełne, pięknie wykrojone wargi i wyraziste brwi, równie ciemne jak jego włosy.

W jednej ręce niósł wielką pochodnię, z której strzelały ku górze kłęby czarnego dymu, wirując wokół niego niczym jakiś diabelski nimb. W migotliwym blasku ognia rysy nieznajomego wydawały się tajemnicze i posępne. Ubrany był jedynie w czarne spodnie, buty do kolan i długi szlafrok z jaskrawoczerwonego jedwabiu, przewiązany co prawda w pasie, ale rozchylony na piersi. Harriet poczuła, że się rumieni na widok muskularnego torsu porośniętego drobnymi kędziorami.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć i usiłując zaczerpnąć tchu. Gdy trochę ochłonęła, spojrzała mężczyźnie prosto w twarz. To był błąd. Ich oczy spotkały się, a w niej gwałtownie załomotało serce. Ciemne źrenice zdawały się z niej drwić. Zlustrowały ją tak badawczo, że poczuła się nieswojo. Dreszcz przebiegł jej po mokrym i zziębniętym karku. Nagle zrozumiała, co musi odczuwać bezbronne stworzenie w obliczu niebezpieczeństwa.

Spokój, spokój za wszelką cenę, powtarzała sobie w duchu. Ledwie zdołała opanować popłoch, kiedy dostrzegła, że rzuca się ku niej kłęb rozwichrzonych czarnych kudłów. Zwierzę warknęło ostrzegawczo i skoczyło. Harriet zasłoniła się, ale pies jakimś cudem stanął w miejscu. Spozstrzegła, że mężczyzna chwycił go za kark. Przez długą chwilę mierzył ją pełnym złości wzrokiem. Wsparty o ścianę, usiłował powstrzymać ujadające zażarcie zwierzę, wołając:

- Proszę natychmiast wejść do środka, bo jeśli mi się wyrwie, to nie wiadomo, gdzie popędzi i kiedy wróci!

- Nie wejdziemy! - wrzasnęła rozpaczliwie Kate.

- Musimy! - nalegała Harriet, choć sama nie wiedziała, czy bardziej się boi przejść koło psa, czy koło jego pana.

- Nie mogę! - Z ust Kate wyrwał się dziwny, zdławiony dźwięk. Harriet spojrzała na nią z gniewem. Służąca dyszała i drżała niby zając uciekający przed żarłocznym wilkiem. Twarz miała bladą jak papier.

- Toż to Lucyfer we własnej osobie - wyszeptała. - Jezu, zmiłuj się nad nami! - Oczy uciekły jej w tył głowy i zaczęła osuwać się na ziemię.

- Kate! krzyknęła przeraźliwie Harriet, lecz zachwiała się na nogach przy rozpaczliwej próbie podtrzymania służącej.

- Co ona mamrocze?! - spytał nieznajomy. Harriet uniosła głowę.

- Cóż to ma za znaczenie? Na litość boską, niechże pan mi pomoże, bo inaczej ona runie na posadzkę!

- Może pani nie zdołała zauważyć, ale mam tylko dwie ręce.

- I bardzo mało rozumu! - Gniew i oburzenie kazały jej zapomnieć o strachu. - Jak mu na imię?!

- Przepraszam, komu?

- Psu! Jak się wabi?!

- Brutus, ale co to ma...

- Leżeć, Brutus, leżeć! wrzasnęła z całej siły.

Pies zastrzygł uszami na dźwięk własnego imienia, wydawał się nieco przyjaźniej usposobiony.

- Leżeć! - powtórzyła.

Brutus przysiadł z wolna na zadzie, a mężczyzna stopniowo rozluźniał chwyt. Zwierzę zastygło w miejscu.

- Prędeej, nim pański pies znów się na nas rzuci!

Ostry ton sprawił, że nieznajomy podtrzymał Kate wolną ręką.

- Jest cięższa, niż myślałem - mruknął.

Harriet w jednej chwili wyrwała mu pochodnię. Mógł teraz bez przeszkód podnieść zemdloną Kate. Głowa służącej opadła mu na ramię, gdy unosił bezwładne ciało, żeby wystawić jej twarz na deszcz. Po chwili poruszyła się i zaczęła coś bełkotać.

Ramię Harriet, obolałe od podtrzymywania Kate, opadło ciężko wzdłuż ciała. Weszła za mężczyznę do przedsionka. Gdy znaleźli się w środku, ostrożnie postawił Kate na nogi, opierając ją o drzwi. Potem odebrał od Harriet pochodnię. Ta odszukała dłoń służącej i ścisnęła ją, próbując uspokoić przerażoną kobietę. Na szczęście Kate była jeszcze zdezorientowana i nie zdawała sobie sprawy, że przez chwilę spoczywała w objęciach obcego mężczyzny. Z pewnością zemdlaby powtórnie, gdyby to do niej dotarło.

- Już dobrze, Kate?

Służąca skinęła głową i uchwyciła się drzwi.

Mężczyzna, jakby zapomniawszy o nich, odwrócił się i zawołał:

- Pani Mullins! Hej, pani Mullins! Proszę zaraz zejść na dół!

Czarna, kudłata bestia, która dotąd siedziała spokojnie, uniosła górną wargę i zaczęła warczeć.

- Leżeć, Brutus! - Tym razem rozkaz wyszedł od nieznajomego. Pies ponownie przysiadł na zadzie. Harriet spojrzała na niego wrogo i zwróciła się do mężczyzny ze stanowczym żądaniem, aby natychmiast powiadomiono ojej przyjeździe pana Wainwrighta. Nie potrafiła się jednak powstrzymać od ukradkowego zerknięcia na jego nagi tors.

Rzadko zdarzało się jej widywać niczym nieosłonięte męskie ciało. Wiedziała jednak, że stoi przed nią bardzo przystojny mężczyzna, muskularny, pełen tężyzny i wigoru. Na widok jego szerokiej piersi doznała dziwnego wrażenia, którego nie umiałaby należycie wyrazić słowami.

Kate milczała, wstrząsały nią dreszcze, a woda spływała z odzienia na kamienną posadzkę. Nikt nie zwracał na to uwagi prócz psa, który zaczął zlizywać kałużę. Kate wrzasnęła głośno i zaraz zakryła usta dłonią, żeby stłumić krzyk.

- Brutus, do nogi! Zwierzę spojrzało z ukosa na pana i się cofnęło. Rozumiem, że można się go przestraszyć, ale krzyk tylko go przyciągnie.

- On jest okropny! - wystękała Kate.

- To pies obronny, który chroni wszystkich ludzi w tym domu. Każdego nieproszonego gościa złapie za gardło! Mężczyzna się zirytował.

- Przecież my nikomu nic nie zrobimy! stwierdziła z naciskiem Harriet.

Nieznajomy nie odpowiedział, spojrzał za to na obydwie kobiety z głęboką nieufnością, jakby się spodziewał, że Harriet wyciągnie spod przemoczonego płaszcza pistolet i zastrzeli go.

Poczuła, że włosy jeżą się jej na karku, lecz usiłowała mówić głośno i stanowczo:

- Jestem Harriet Sainthill, przyjechałam do Hillsdale Castle, żeby się zająć dziećmi pana



Wainwrighta. Czy może go pan zawiadomić o moim przyjeździe?

- Pani jest nową guwernantką?!

- Jak najbardziej. - Harriet zaskoczyło jego zdumienie. Ciemne oczy nieznajomego zatrzymały się na Kate.

- A to co za jedna?

- Moja służąca i towarzyszka podróży. - Kate najwyraźniej przeraziły badawcze pytania.

Wargi nieznajomego wykrzywił grymas rozbawienia.

- Pani służąca? Czy muszę płacić pensję także i jej? Oburzenie Harriet zmalowało, gdy to usłyszała.

- Czy pan się nazywa Wainwright? Po chwili zwłoki odparł:

- I owszem.

- Toś ty mnie po to wyciągał z ciepłego wyrka, *laddie*\*/[\* *laddie* chłopcze (przyp. tłum.)].! -

Drobna, siwowłosa kobieta przyczłapała ku nim, zagryzając z irytacją dolną wargę.

- No, wreszcie pani przysła! - zwrócił się do niej Wainwright. - Przybyły do nas niespodziewanie panna Sainthill ze służącą. Mam nadzieję, że bez trudu znajdzie się dla nich sypialnia.

Pani Mullins z powątpiewaniem uniosła brwi i ciaśniej owinęła się wełnianym szalem.

- Toż nie najdę lo nich nic na wieczerzę, ni mom dziewczuch do pomocy. Gospodyni mówiła szkockim dialektem, a przy tym tak szybko i bełkotliwie, że Harriet mimo najlepszych chęci zrozumiała ledwie parę słów.

- Nie trzeba żadnego jedzenia, pani Mullins, czysty pokój i ogień na kominku, to wszystko. - Wainwright westchnął i zwrócił się do Harriet.

- Pani woźnica pewnie trafił już do stajni. Poślę służącego, żeby mu pomógł i wskazał, gdzie ma nocować. Pani Mullins odprowadzi was do sypialni. Dobrej nocy.

Kate spojrzała nieufnie w głąb mrocznego korytarza.

- Można sobie wszystkie gnaty połamać, ciemno tam jak w grobie. Harriet była tego samego zdania. Jeden rzut oka na gospodynię i Wainwrighta przekonał ją że musi okazać stanowczość.

- Z pewnością pani Mullins da nam świece, żebyśmy nie musiały iść po ciemku.

Gospodyni wymamrotała coś z niechęcią ale w końcu wyciągnęła z kieszeni ogromnego fartucha dwa ogarki. Wainwright zapalił je.

- Rano pomówimy o pani pracy. Śniadanie punkt ósma.

Harriet miała szczerą chęć rzucić mu w twarz, co myśli o nim i o śniadaniu punkt ósma, ale zdołała się pohamować. Pracodawca był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Zważywszy na zaskakujące powitanie, jakie ich spotkało w tym dziwnym domostwie, jego właściciel bez wahania wyrzuciłby stąd i ją i Kate - mimo szalejącej burzy - gdyby go czymś rozgniewała.

Wiedząc, że nie ma wyboru, zrobiła obojętną minę.

- Dobrej nocy, panie Wainwright. Mam nadzieję, że zobaczymy się przy śniadaniu.

Skinął głową i odwrócił się tyłem. Osłaniając ogarki przed podmuchami przeciągów, Harriet i Kate szły potulnie za gospodynią póki ta nie stanęła przed potężnymi drewnianymi drzwiami.

Harriet pierwsza weszła do pokoju, Kate tuż za nią. Wnętrze było bardzo obszerne, w dwóch ścianach miało przedzielone kolumnkami okna. Mimo półmroku Harriet zauważyła, że wszystko pokrywa warstwa kurzu. Zignorowała niewielkie lustro w topornej ramie i swoje zniekształcone odbicie. W zamyśleniu zlustrowała wzrokiem niedobre sprzęty: krzesła nie do pary i komody. Ogień na kominku ledwie się tlił, wszystko tu tchnęło chłodem. Gospodyni, wyczuwając jej

dezaprobatę, zabrała głos: - Co, nie w smak ci kwatery? No to proś o niszę i lo siebie, i lo twoi sługi!

Harriet westchnęła. Tym razem wszystko zrozumiała. Wrogość gospodyni i jej niechętnie spojrzenia rzucone na Kate mówiły same za siebie.

- Kate będzie spać ze mną. Gdyby pani zechciała przynieść nam siennik, czystą pościel i opał, na pewno poczujemy się tu bardzo wygodnie.

Starła się zachować uprzejmy wyraz twarzy, dopóki gospodyni nie wyszła, lecz potem skrzywiła się na samo wspomnienie swoich słów. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek zdarzyło się jej powiedzieć tak skandaliczne kłamstwo.

Nathaniel zamknął drzwi sypialni, delektował się błogim spokojem i samotnością. Choć nawet na prowincji nikt nie kładzie się spać o tak wczesnej porze, każdego dnia przychodził tu tuż po obiedzie. Prócz deszczu bębniącego w okna i dach oraz sapania psa, który nie opuszczał go ani na krok, żaden dźwięk nie zakłócał jego myśli.

Gdy odchyłał głowę w tył i przymykał powieki, zdawało mu się, że znowu jest w Londynie i siedzi wygodnie we własnym, kawalerskim mieszkaniu na St. James Street. Kiedy jednak otwierał oczy i apatycznie spoglądał na wielki kamienny kominek, gdzie ledwie tlił się ogień, wiedział, że znajduje się bardzo daleko od wygod, które od dawna przywykł uważać za coś oczywistego.

Odkąd przyjechał do Szkocji, wciąż padał deszcz zazwyczaj lodowata ulewa. Sypał też śnieg. I było zimno. Ostre nieubłagane zimno przenikało wszystko. Nigdy nie uważał się za rozpieszczonego słabeusza, ale natura tego kraju przygnębiała go. Służba McTate'a całkiem wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że z Anglii nie mogło przybyć do Szkocji nic dobrego, a już na pewno nie mógł to być *Sassenach laird*, angielski dziedzic, chociaż McTate kazał go traktować gościnnie.

Tego dnia mijał drugi tydzień jego wygnania, co zamierzał uczcić kąpielą w balii pełnej po brzegi gorącej, parującej wody. Ustawi ją koło kominka, gdzie rozpali ogień, na którym dałoby się upiec parę wołów. A dla rozgrzewki opróżni butelkę doskonałej szkockiej whisky.

Nagromadzony przez niego stos drewna wystarczyłby do spalenia czarownicy, a Nathaniel zamierzał zużyć ten opał aż do najmniejszego patyczka.

Przynajmniej dziś nie będzie dygotał z zimna w lodowatych górach północnej Szkocji.

Rozbierając się, dostrzegł swoje odbicie w małym lustrze stojącym na kredensie i z westchnieniem pomyślał, jak rozumnie postąpił, pozostawiając służącego w Londynie. Pedantyczny sługa chyba by się rozplakał na widok garderoby swego pana, nie mówiąc już o jego wyglądzie. Powinien był się ostrzyć i porządnie ogolić. A ubranie? Niechłujnie poskładane i zmiętoszone. Wczoraj spostrzegł, że u jego ulubionej koszuli brakuje guzika. Z pewnością ubiorom nie służyło również tutejsze pranie.

Jego myśli zaprzętało jednak coś ważniejszego. Musiał dbać o dobro dzieci. To przekonanie dodawało mu sił. Choć minął już cały miesiąc, wciąż nie mógł się nadziwić, że zuchwały plan McTate'a tak łatwo dał się urzeczywistnić.

Dzięki życzliwości pani Hutchinson udało mu się zabrać dzieci z domu, nie zwracając niczyjej uwagi. Uznały to zresztą za wspaniałą przygodę. Jeszcze teraz pamiętał ich radosne ożywienie i wesoły śmiech.

Jeśli można było wierzyć informacjom zebranych przez McTate'a, nikogo nie zaniepokoiło nagłe zniknięcie maluchów. Nathaniel zastanawiał się nawet, czy stryj w ogóle wie, że od czterech tygodni nie ma ich w jego domu.

Choć ciągle nakazywał sobie czujność i nie uważał sprawy za wygraną, zaczął wierzyć, iż bliski jest sukcesu. W końcu chciał tylko, aby dzieci były bezpieczne. Miał zamiar ukryć je, póki nie nadejdzie odpowiednia chwila, by rozprawić się ze stryjem.

Ciesząc się z góry na kąpiel, zdjął żakiet, kamizelkę i koszulę. Na wpół nagi rozpalił ogień. Niecierpliwie czekał, aż woda w wielkim kotle nad paleniskiem zacznie wrzeć. Kiedy się wreszcie

zagotowała, ostrożnie wlał kilka wiaderek ukropu do miedzianej balii stojącej w rogu pokoju, jak najdalej od przeciągów.

Nagle jego uwagę zwrócił gwałtowny hałas. Zamkowy pies dzika bestia nieokreślonej rasy o upiornym wyglądzie - uniósł wielki łeb, przechylił go na bok i nasłuchiwał, lecz po chwili się uspokoił.

Wlał kolejne wiaderko wody do balii, gdy zwierzę nieoczekiwanie zerwało się i podbiegło do drzwi, o mało go nie przewracając. Zdołał zachować równowagę tylko dzięki temu, że upuścił puste już wiaderko i chwycił za drewniany słupek podtrzymujący baldachim nad łóżkiem.

Pazury psa zazgrzytały po pokrytych parą płytach posadzki. Drzwi otworzyły się na oścież, kiedy uderzył w nie całym ciałem. Głuche powarkiwanie przeszło w serię ostrych szczęknięć i pies wypadł na korytarz. Z nastawionymi uszami i wywieszonym jęzorem pobiegł do przedsionka.

- Niech to diabli! zaklął głośno Nathaniel. Narzucił na siebie ulubiony szlafrok z czerwonego jedwabiu i popędził w ślad za zwierzęciem. Wiedząc, że w korytarzu panuje mrok - świadczyły o tym liczne siniaki na jego kończynach musiał posłużyć się jedynym źródłem światła, jakie miał do dyspozycji.

Było to ogromne polano, stosowniejsze raczej do rozpalenia ogniska pod gołym niebem. Nathaniel czuł się głupio, dźwigając tę wielką, prymitywną pochodnię, z którą jak dobrze wiedział - wyglądał niczym rozjuszony średniowieczny wojownik. Chciał jednak jak najszybciej dotrzeć do wejścia i nie miał czasu rozejrzeć się za czymś poręczniejszym.

Pies już od dłuższej chwili niecierpliwie drapał ciężkie, drewniane drzwi i skomlał, a potem spuścił łeb i nieufnie wietrzył. Na szczęście jedno ostre spojrzenie wystarczyło, żeby się uspokoił i schował za Nathanielem.

Drzwi skrzypiały i trzeszczały przeraźliwie, gdy je otwierał. Spodziewał się, że zobaczy za nimi któregoś ze służących. Wiedział, że służba zamkowa ma licznych krewnych w pobliskiej wiosce.

Zamiast tego ujrzał dwie przemoczone kobiety, wstrząsane dreszczami i niezdolne wyrzucić słowa. Tak pobladłe i przerażone, jakby goniło je stado wilków. Krój i jakość strojów wyraźnie świadczyły, że nie należą do okolicznej ludności. Kim w takim razie były?

Czyżby odebrało im mowę? Patrzyły na niego w głuchym milczeniu. Starsza ubrana była jak służąca, inaczej się też zachowywała niż młodsza i wyższa dama. Nathaniel przyjrzał się jej bystro i nieoczekiwanie poczuł rozbawienie. Bezwstydnie wpatrywała się w jego odkrytą pierś!

Nie było mu jednak dane snuć tych ciekawych rozważań, bo Brutus akurat rzucił się do ataku. Nathaniel spodziewał się krzyków, łez i przerażenia, ale obydwie kobiety nadal stały bez ruchu, jakby nie mogły ruszyć się z miejsca.

Może zaniemówiły ze strachu? Miał na szczęście dość przytomności umysłu, by złapać psa za kark, nim ten zdołał zwalić z nóg przybyłe. Podczas gdy borykał się z rozwścieczonym zwierzęciem, obydwie patrzyły na nich niczym na parę szaleńców. Rozzłoszczony Nathaniel kazał im wejść do środka, co spotkało się z gwałtownym sprzeciwem starszej. Wtedy się pokłóciły. Obserwował to zaskoczony, nie mając zresztą wątpliwości, że młodsza postawi na swoim. Nagle służąca coś wymamrotała, zbyt cicho, żeby mógł dosłyszeć jej słowa, i przeżegnała się nabożnie. A potem zaczęła osuwać się na ziemię.

Chciał się ku niej rzucić, żeby uchronić ją przed upadkiem, lecz w jednej ręce miał rozżarzone polano, a drugą trzymał psa za kark. Na szczęście młodsza zdołała podtrzymać służącą, a potem z furią spytała... oimię psa. Nathaniel o mały włos nie parsknął śmiechem. Co za scena! A ta idiotka

chce wiedzieć, jak się wabi pies!

Kiedy obydwie znalazły się już w środku, uważnie przyjrzał się młodszej. Mimo mroku zdołał dostrzec jej rysy, widoczne spod mocno przekrzywionego mokrego czepka. Miała jasną cerę, nieco wystające kości policzkowe, impertynencki, lekko zadarty nosek i bystre, trzeźwe oczy w ładnym orzechowym kolorze.

Przez dłuższą chwilę nękało go niejasne wspomnienie, aż wreszcie doznał olśnienia. Aż mu dech zaparło ze zdumienia, gdy zrozumiał, kim jest nowo przybyła. Znał ją.

Wiosną zeszłego roku znalazła się w samym centrum niesłychanego skandalu. Była porzuconą narzeczoną jakiegoś mężczyzny bez czci i wiary, wplątanego w znajomość z szaleńcem, który mordował niewinne kobiety. W wytwornym towarzystwie krążyło na ten temat mnóstwo plotek, a jeśli choć połowa z nich odpowiadała prawdzie, chodziło o coś krańcowo szokującego.

Co, na Boga, przywiodło ją na zapadłą szkocką prowincję? Pełen podejrzeń i wątpliwości czekał, zaciskając pięści tak mocno, że mrowiło go w palcach. Przez chwilę się wahał. Może to nie ona? Widział ją tylko z daleka, nigdy nie byli sobie formalnie przedstawieni. Któryś z przyjaciół wskazał mu ją pewnego razu w teatrze, tuż przed wybuchem całej afery. Była arystokratką, siostrą jakiegoś wicehrabiego, to niemożliwe, żeby musiała zarabiać na swoje utrzymanie. A może rodzina się jej wyrzekła? Niemal jęknął, kiedy wymieniła swoje nazwisko. Nie było mowy o pomyłce! Zresztą tylko kobieta z towarzystwa mogła przyjechać do domu, w którym będzie pracować w towarzystwie służącej. Panna Harriet Sainthill! Dobrze sobie! Jakim cudem McTate popełnił tak kolosalny błąd i zaangażował do opieki nad dziećmi najmniej odpowiednią osobę?

Przyjechała ze służącą! Ledwo zdołał powściągnąć irytację. Z trudem do niego dotarło, że pyta, kim on jest! Dopiero po chwili zdołał wybąkać swoje fałszywe nazwisko, wymyślone przez McTate'a.

Nigdy nie przypuszczał, że widok chuderlawej pani Mullins, z jej skręconymi jak korkociągi siwymi lokami, wymykającymi się spod zbyt obszernego czepca, sprawi mu taką ulgę. Kwaśna mina gospodyni była dla niego błogosławieństwem. Celowo nie wspomniał, że panna Sainthill ma być guwernantką, bo wcale nie zamierzał jej zatrudniać. Ostrożność okazała się zbędna; pani Mullins ani się śniło życzliwie przyjmować o tej porze jakichkolwiek gości.

Niemalże współczuł pannie Sainthill, kiedy zauważył, jak usiłuje się wsłuchać w szkocki dialekt gospodyni, niezrozumiały zwłaszcza wtedy, gdy wpadała w złość. Sądził, że guwernantka zamilkła, bo nie rozumie pani Mullins. W przedsionku zapanowało kłopotliwe milczenie.

Kiedy służąca zaczęła narzekać na ciemności, dostrzegł w tym isierkę nadziei. Może wszystko skończy się dużo szybciej, niż myślał? Sklepią kamienną sień ziała mrokiem i przejmowała lękiem. Może guwernantka z własnej woli podejmie rozsądną decyzję i od razu zrezygnuje?

Mimo to jej spokojna prośba o świece rozbawiła go i wbrew swej woli poczuł pewne uznanie. Panna Sainthill okazała się osobą odważną. Mimo wyczerpania i piętrzących się przed nią kłopotów okazała zimną krew! Chociaż obszedł się z nimi okropnie, jakby były kobietami o podejrzaną reputacją, zdołała pohamować gniew i zachować godność. Nie pozwoliła się zbić z tropu, mimo że potraktowano ją po grubiańsku.

W szorstkich słowach poinformował ją o porannej rozmowie i dostrzegł w jej orzechowych oczach cień irytacji. Spodziewał się wściekłości i wybuchu gniewu. Zamiast tego usłyszał chłodne, lecz uprzejme „dobranoc”. Był mile zaskoczony.

Świadomie ruszył w przeciwnym kierunku, choć w tej części zamku musiało się roić od pajaków

i innego robactwa. On jednak szukał tam samotności. Bardzo jej teraz potrzebował.

Kiedy wreszcie znalazł się zupełnie sam, odetchnął głęboko. Po dwóch tygodniach spędzonych w zamku nie miał wielkich złudzeń w opiece nad dziećmi musi mu ktoś pomagać. Wiedział wystarczająco dużo o charakterze Harriet Sainthill i jej manierach, by zrozumieć, że stanowiłaby znakomity wybór. Niestety, nie mógł jej tutaj zatrzymać.

Zdołał ją przecież rozpoznać i chociaż wątpił, by ona mogłaby zrobić to samo, być może udałoby się jej później odkryć jego prawdziwą tożsamość. A przecież musiał zachować ją w sekrecie, aby nie narażać swego planu na niepowodzenie. Czułby się nieswojo wobec kogoś tak bystrego jak Harriet Sainthill.

Zdołał trafić na dobrze znane schody i wspinał się po nich powoli, dumając, jakby się tu pozbyć nowej guwernantki bez wzbudzenia w niej jakichś podejrzeń. Wreszcie uśmiechnął się z satysfakcją. Kiedy panna Sainthill się dowie, że w zamku wcale nie ma dzieci, bez wahania spakuje manatki i wyniesie się z powrotem do Anglii.

Harriet podejrzewała, że nie najlepiej wyśpi się tej nocy. A kiedy słaby brzask zaczął przenikać przez szpary okiennic, rażąc ją w oczy, stwierdziła, że jej przypuszczenie wcale nie było mylne. Głowę miała ciężką z braku należytego wypoczynku, a usta i gardło zaschnięte. Nawet w sprzyjających okolicznościach źle się sypia w obcym otoczeniu. Niestety powitanie, jakie zgotowano jej w Hillsdale Castle, trudno byłoby uznać za sprzyjające okoliczności.

Poniechała wszystkiego, co zwykle robiła przed położeniem się do łóżka; stu pociągnięć szczotką po rozpuszczonych włosach czy urywka ulubionej książki czytanego przed otuleniem się kołdrą. Gdy tylko bagaże znalazły się w sypialni, narzuciła na siebie nocną koszulę i weszła do łóżka, usiłując nie myśleć o tym, co ją czeka następnego dnia, i nie snuć żadnych planów na rano.

A rano wreszcie nadszedł. Harriet usiadła na łóżku, usiłując osłonić się kołdrą przed panującym w pokoju zimnem. Z zazdrością spojrzała na Kate pogrążoną w głębokim śnie, o czym świadczyło regularne posapywanie, na szczęście już bez donośnego chrapania, które przez całą noc odbijało się echem od gołych kamiennych ścian. Mimo przykrych przejść najwyraźniej nic nie zakłócało jej odpoczynku.

Harriet wolała nie budzić Kate. Postanowiła, że ubierze się sama, bez wysłuchiwania narzekań i skarg służącej. A poza tym Kate miała przecież za dzień czy dwa wrócić do Anglii. Należało przyzwyczajać się do samodzielności, co oznaczało również ubieranie się co rano i rozbieranie wieczorem bez żadnej asysty.

Z lekkim westchnieniem wstała z łóżka. Z łatwością znalazła sakwojaż, gdzie spakowała najskromniejsze i najpraktyczniejsze stroje. Ulegając namowom Elizabeth, zabrała też co prawda dwie wyjątkowo twarzowe suknie wieczorowe. Mogła się w końcu spodziewać zaproszenia na jakiś rodzinny wieczorek. Na przykład z braku odpowiedniej liczby gości na uroczystym obiedzie lub gdyby potrzebowano dodatkowej partnerki do kart.

Tylko że tak by się działo, rzecz jasna, jedynie w normalnym domu! Harriet o mało nie parsknęła śmiechem na myśl o „życiu towarzyskim” w osobliwym zameczysku. Już prędzej mogłaby spodziewać się cudu.

Ze zmarszczonym z obrzydzenia nosem zwilżyła czubki palców zimną wodą czekającą od wczoraj w porcelanowej umywalce i umyła nią twarz oraz ręce. Zręcznie upięła włosy w ciasny kok i spięła go szpilkami.

No i po wszystkim. Była gotowa. Gdy jednak spojrzała na swoje odbicie w zmętniałym lustrze,

ogarnął ją bezbrzeżny smutek. Nigdy nie była piękną ani nie rościła sobie pretensji do wielkiej urody. Ale kobieta, która wyrzała ku niej ze zwierciadła, wyglądała tak staro! Surowa, powściągliwa, bezbarwna, słowem - guwernantka i nic więcej.

Czy o takim życiu marzyła? Przedtem była niewzruszenie pewna słuszności podjętej decyzji, ale rzeczywistość okazała się bezlitosna. Gdzie są te miłe, grzeczne, podporządkowane dzieci, które widziała w wyobraźni wokół siebie? Pracodawca okazał się arogancki, służba zgryźliwa, a lokum pozostawiało wiele do życzenia.

Co prawda przybyły tu w niesprzyjających okolicznościach, późną nocą i podczas burzy, dom okazał się najzupełniej nieprzygotowany na ich przyjęcie, a dzieci nie widziała nawet z daleka. Może jednak za wcześnie na surowe sądy?

Nieco pocieszona owinęła się najcieplejszym szalem i cicho wyszła z sypialni. Nie oczekiwała, by ktoś ze służby wskazał jej drogę do jadalni. Odważnie wyruszyła tam na własną rękę. Deszcz, którym rozpoczął się ranek, przerodził się teraz w burzę. Za oknami co chwila migotały błyskawice, oświetlając widmowym blaskiem mroczny korytarz.

Harriet nerwowo spojrzała za siebie. Zastanawiała się nawet, czy nie wrócić do sypialni, lecz gdy spojrzała na przypięty do sukni zegarek, zrozumiała, że spóźni się wówczas na śniadanie. Całkiem wyraźnie ujrzała oczami wyobraźni niezadowoloną minę pana Wainwrighta i przyspieszyła kroku.

Kiedy skręciła w kolejny korytarz, poczuła się nieswojo. Czyżby w tym skrzydle zamku nikt nie mieszkał? Szła już od dobrych dziesięciu minut, a jeszcze nikogo nie spotkała. Nawet zgryźliwą twarz pani Mullins powitałaby teraz z radością.

Wreszcie dotarła do schodów. Nie była pewna, czy właśnie tędy przechodziła zeszłej nocy, ale wiedziała, że jadalnia musi się znajdować na dole, zeszła więc po nich, kurczowo uczepiona poręczy w obawie przed potknięciem. Nadal jednak nękała ją świadomość, że nie ma pojęcia, jaki obrać kierunek.

Zdawało się jej, że dostrzega jakiś ruch. Zamajaczyła przed nią postać w prostym, brązowym odzieniu, które niemal zlewało się z barwą kamiennych ścian. No, wreszcie ktoś ze służby!

- Dzień dobry! zawołała. - Jestem nową guwernantką! Czy mogę prosić o wskazanie drogi do jadalni? Pan Wainwright czeka tam na mnie ze śniadaniem!

Podbiegła bliżej w oczekiwaniu na odpowiedź, lecz w tejże chwili gwałtowny powiew zdmuchnął świecę w kinkiecie i sługa w brązowym stroju rozplątał się bez śladu.

Harriet stanęła jak wryta, wyjęzając w półmroku wzrok. Czyżby oczy, wyobraźnia lub brak snu spletały jej figła? A jednak miała pewność, że naprawdę coś zobaczyła.

Nagły, przeraźliwy trzask gromu przejął ją dreszczem. Błyskawica rozświetliła korytarz i w tejże chwili Harriet ujrzała przed sobą srogiego Szkota ze wzniesionym mieczem.

Otworzyła usta, lecz krzyk przerażenia zamarł jej w gardle. Zrozumiała, że patrzy na portret, namalowany co prawda na płótnie, lecz tak prawdziwy, że każdego widza mógł zdjąć strach. Niepotrzebnie dała się ponieść wyobraźni! Z natury była rozumną, logicznie myślącą kobietą, ale niesamowita atmosfera zamku nadszarpnęła jej nerwy.

Chociaż nie potrafiła się przemóc, by podejść bliżej do obrazu, próbowała porównać rysy nowego pracodawcy z powierzchownością jego przodka. Nie znalazła dużego podobieństwa między nimi.

Obydwaj mogli jednak wzbudzić żywe zainteresowanie w kobiecie.



Jakiś dziwny odgłos przerwał jej rozmyślenia. Zaczęła nadśłuchiwać, nie wiedząc, skąd pochodzi dźwięk. Potem rozległ się on ponownie. Ktoś nadchodził.

- Dzień dobry, panno Sainthill.

Harriet znów otworzyła szeroko usta, lecz zaraz zakryła je szybko ręką i się odwróciła.

- Och... och... przestraszył mnie pan. Dzień... dobry.

Nie poznawała własnego głosu i tylko siłą woli zdołała się opanować. O mało też nie dygnęła przed nim, choć był tylko jej pracodawcą, a nie jakimś lordem. Spoglądał na nią surowo, ale w głębi oczu czaił się jakby cień rozbawienia.

Najwyraźniej chciał ją świadomie przestraszyć! Ale po co? Czy bawiło go dokuczanie pracownikom? A może się do niej uprzedził?

- Panno Sainthill, już pięć po ósmej, a pani, zamiast spieszyć do jadalni, traci czas na oglądanie mojej galerii portretów. - Wainwright założył ręce za plecy i zrobił groźną minę. - Proszę sobie zapamiętać, nie toleruję spóźniałstwa!

Harriet sztywno skinęła głową, spuszczając z pokorą oczy. Aż się w niej gotowało ze złości i upokorzenia, lecz okazywanie prawdziwych uczuć byłoby nieostrożne i niewłaściwe.

- Czy nie zechciałby mi pan wskazać drogi? Pańskie śniadanie nie powinno czekać powiedziała. - Na nieszczęście nie dostałam zeszłej nocy planu zamku i nie wiem, jak znaleźć jadalnię dodała uszczypliwie, czując, że nie ścierpi niezасłużonych uwag.

Wainwright przechylił nieznacznie głowę na bok i się uśmiechnął. Nie wiedziała, czy z irytacją, czy też z rozbawieniem. W dodatku uparcie się w nią wpatrywał. Było w tym coś dziwnie poufalego. Harriet poczuła się niepewnie i oblał ją rumieniec. Miała nadzieję, że w półmroku nie będzie go widać.

Nie zaofiarował jej ramienia, co zrobiłby prawdziwy dżentelmen, lecz tego Harriet nie mogła krytykować. Była w końcu tylko guwernantką, nie gościem, a pan Wainwright bynajmniej nie okazał się wzorem dżentelmena.

Nie zamienili już ani słowa. Harriet powoli oswajała się z nową sytuacją. Kiedy dotarli do sklepionego korytarza, który wiódł do długiej wąskiej jadalni, Wainwright zatrzymał się i przepuścił ją przodem.

Niemal się o niego otarła i mimo woli poczuła zapach jego ciała. Teraz, z bliska, spostrzegła, że był smukły, muskularny i odziany w wykwintny ubiór - z pewnością szyty przez biegłego londyńskiego krawca, ale bardzo źle utrzymany, co było dość zagadkowe. Po co wydawać krocie na wytworne stroje, a skąpić pieniędzy na garderobianego, który by o nie należycie zadbał?

Harriet nie знаła dotąd ludzi interesu prócz skromnych kupców z Harrowby, ale mimo to Wainwright wydawał się niepodobny do nikogo, z kim się przedtem zetknęła, obojętne, jakiego stanu.

Usiadła na wskazanym jej krześle; mogła go teraz widzieć z bliska, gdyż zajął miejsce po jej lewej ręce. Jadalnia także miała przedzielone kolumnkami okna. Wysoko pod krokwiami sufitu wisiało kilka wyblakłych chorągwi, a ściany zdobił gobelin ze sceną wojenną.

Meble były ciemne, ciężkie i liczyły sobie co najmniej ze dwieście lat. Od dawna stały wciąż na tych samych miejscach. Harriet łatwo mogła sobie wyobrazić posadzkę posypaną ciętym sitowiem, psy czatujące na resztki jadła oraz rycerzy grających w kości albo popijających wino w kącie.

Brak było wprawdzie kredensu, lecz Harriet nie musiała długo czekać na posiłek. Do jadalni wszedł służący z dwoma nakrytymi półmiskami i postawił je przed nią oraz przed Wainwrightem. Po chwili powrócił z dwoma wielkimi cynowymi kuflami pełnymi piwa.

Harriet drgnęła, kiedy napitek z hałasem postawiono na stole, rozchlapując go przy okazji. Może dlatego nie było tu obrusa? Z myślą, że przydałby się jej choć jeden sojusznik w tym domu, podziękowała słudze. Wypiął wtedy z dumą cherlawą pierś, ona zaś usiłowała nie zwracać uwagi na to, że był szczerbatym, łysym jak kolano dziadygą z wielkimi, krzaczastymi siwymi brwiami. Miał na sobie pospolite, wiejskie ubranie, a zniszczone i zabłocone buty lepiej by pasowały do pracy w polu.

Z przyjemnością zauważyła jednak, że ma czyste ręce i paznokcie. Nie spodziewała się tutaj służby w liberiach, ale szczerze ją zdumiała jego nędzna odzież.

- Jakby trza było czegoś więcej, można wołać panią Mullins. Będzie w kuchni.

Harriet podziękowała mu skinieniem głowy. Wainwright w ogóle nie zwrócił uwagi na sługę ani na jego słowa, koncentrując swoje zainteresowanie na kuflu piwa. Harriet chciała zdjąć pokrywę z półmiska, lecz się zawahała. Poszła spać o pustym żołądku, była więc głodna, ale i ostrożna. Jedzenie, chociaż podane na srebrze, pachniało dosyć osobliwie. Kto wie, jak dziwacznych dań należało się tu spodziewać?

Za przykładem Wainwrighta pociągnęła spory łyk piwa. Mocny napój rozgrzał ją, choć wcale tego nie potrzebowała. Pospiesznie odstawiła kufel, nie chcąc pić więcej na czczo, uniosła w końcu pokrywę i oniemiała na widok nieapetycznej, zimnej już potrawy zakrzepłej na półmisku. Częściowo była przypalona, częściowo niedogotowana, zapach miała okropny, a składała się nie wiadomo z czego. Na skraju półmiska dostrzegła szarawą, na wpół płynną papkę, podobną z grubsza do owsianki.

Spróbowała zjeść jedną łyżkę, potem drugą. Owsianka okazała się lepka, prawie bez smaku i legła jej kamieniem na żołądku. Po trzeciej próbie Harriet ostrożnie odłożyła łyżkę i skrzyżowała ręce na podółku. Zauważyła, że Wainwright nie tknął owsianki i jadł tylko owsiane podplomyki.

- Ma pani dosyć dziwną minę, panno Sainthill. Czyżby coś się stało? Nie wiedziała, od czego zacząć, lecz uznała, że ma prawo do kilku szczerych pytań.

- Chciałabym się dowiedzieć, jakie są moje obowiązki. Dzieci jedzą pewnie śniadanie u siebie? - Wainwright wzruszył ramionami, ale Harriet odniosła wrażenie, że uznał jej pytanie za zasadne. - O jakiej porze zaczynają zwykle naukę? - ciągnęła. - Skoro zajmowały się nimi dotąd niańki, pewnie jeszcze nie nawykły do ściśle rozplanowanego rozkładu zajęć? Choć chciałabym go jak najprędzej ustalić tak, aby nie zaczynać od zbyt gwałtownych zmian. Muszę też wiedzieć, czy wolno im chodzić po całym zamku. Uważam, że dzieci dużo szybciej i lepiej się rozwijają, kiedy nie przebywają wyłącznie w pokoju dzieciennym. Nie dziwiłabym się jednak, gdyby w tak starym domostwie były niedostępne dla nich miejsca.

Wainwright uniósł brwi ze zdumieniem. - Czy ma pani duże doświadczenie jako guwernantka?

Harriet zacisnęła wargi. Cóż miała odpowiedzieć? Nigdy nie ukrywała, że go nic posiada.

- W liście napisałam wyraźnie, że to moja pierwsza posada, ale zajmowałam się różnymi dziećmi w rozmaitym wieku.

- Jest pani bardzo pewna siebie, ale przypominam, że to ja będę oceniał pani kompetencje.

Doprawdy, był nic do zniesienia! Chętnie trzepnęłaby go kantem złożonego wachlarza po palcach. I to mocno! Zamierzała powiedzieć coś przykrego, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Wainwright patrzył na nią z jawną satysfakcją, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z jej gniewu i świetnie się bawił.

- Zamierzam dowieść swojej wartości, sir, wywiązując się należycie z obowiązków.

- Proszę mi więc powiedzieć, jaki program nauki zamierza pani wdrożyć, zważywszy na różnicę

wieku, zdolności i zainteresowań dzieci? spytał, przymykając oczy. I natychmiast zadał jej wiele pytań, najwyraźniej chciał wyprowadzić ją z równowagi. Z taką samą determinacją próbowała zachować spokój. Po paru minutach stwierdziła, że znużył się jej zwięzłymi odpowiedziami. Jeśli jednak nadal zamierzał ją nękać, postara się to wytrzymać.

Tak prowadzona rozmowa mogłaby trwać w nieskończoność, ale Wainwright rozwiązał patową sytuację, zadając jej całkiem niestosowne pytanie.

- Zdumiewające, że kobieta o pani zdecydowanych przekonaniach nie jest szczęśliwą żoną z tuzinem własnych dzieci. Dlaczego? - Przyglądał się jej uważnie przez dłuższą chwilę. Czemu nie wyszła pani za męża?

Harriet nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. - Jest pani przecież dobrze ułożoną kobietą obdarzoną urokiem, gracją, ładną twarzą i zgrabną figurą. Pomyślałbym o kimś pani pokroju, gdybym zamierzał rozejrzeć się za żoną. Czy mężczyźni w Anglii nie mają oczu? A może rozumu?

- Co takiego?!

Przysunął się bliżej. Poczwała ciepło jego oddechu na policzku, pełnego woni piwa i owsianych placków, które dopiero co jadł. Dziwne, ale nie był to wcale zapach przykry, przypominał raczej, że był mężczyzną z krwi i kości, a w dodatku bardzo atrakcyjnym.

- Pomijanie kobiety z taką umysłowością, nie mówiąc już o witalności, graniczy ze zbrodnią - szepnął.

Harriet z najwyższym trudem opanowała zdumienie. Zdziwiła ją nie tyle treść jego słów, ile raczej sposób, w jaki je wypowiedział. Z tą świetną, płynną wymową mógłby nawet grać w Drury Lane! Skarciła się w duchu za to, że pozwoliła mu zdobyć nad sobą przewagę. Tego już było za wiele. Starając się wyglądać na obojętną, zadała mu chłodnym tonem pytanie: - Czyżby pan ze mną flirtował?

## 6

Nathaniel wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu. Nareszcie! Zabrało mu to sporo czasu i wymagało wielu zabiegów, ale w końcu zdołał sprawić, że panna Sainthill straciła zimną krew. Nie poszło mu tak łatwo, jak myślał, a jej reakcja też nie okazała się dokładnie taka, jakiej sobie życzył. Spodziewał się raczej znając jej pochodzenie - że wypali mu reprimendę i wybiegnie z jadalni, a potem szybko się spakuje i po godzinie zniknie z zamku. Właśnie tego się spodziewał. Tymczasem wciąż siedziała i wpatrywała się w niego prawie bez śladu emocji w orzechowych oczach. Najwyraźniej była o wiele mądrzejsza, niż przypuszczał. Intrygujące! - Czyżby pan ze mną flirtował? - powtórzyła.

- Tak pani sądzi? - odpowiedział pytaniem na pytanie, celowo ścisząc głos niemal do szeptu.

Spojrzał na nią z ukosa, przenikliwie, a potem zdobył się na uśmiech, który mógł złamać kobiece serce. Teraz, kiedy już wiedział, że nie zniechęci jej tak łatwo do pracy w zamku, pozwolił sobie na szczerą. Jeszcze nigdy w życiu lord Avery nie spotkał kobiety odpornej na męski urok i flirt. Spodziewał się, że panna Sainthill skromnie spuści oczy, ale ona nadal wpatrywała się w niego.

- Pan chyba ze mną flirtuje. - Odsunęła się nieco. - Dlaczego?

- Myślę, że nie trzeba wyjaśnień. - Nathaniel nachylił się ku niej jeszcze bliżej. Jest pani absolutnie urocza.

Kiedy to mówił, poczuł, że w jego słowach kryje się trochę więcej prawdy, niżby sobie życzył. Mimo prostego uczesania i skromnej, praktycznej sukni naprawdę miała w sobie wiele uroku. Nie wyróżniała się klasyczną urodą, ale za to była pełna witalności i w jakiś, jej tylko właściwy, sposób

pociągająca. Widział jej wyraziste i wcale niebrzydkie rysy, kształtny biust i pełne wargi.

Uznał, że jest typem kobiety, której atrakcyjność rośnie z wiekiem mimo upływu lat. Obserwując jej żywą twarz, zatrzymał wzrok na lekko rozchylonych wargach, spoza których widać było rąbek białych zębów, i poczuł nieoczekiwany przypływ pożądania.

- Urocza? Sądzi pan, że jestem urocza? - Panna Sainthill spojrzała na niego podejrzliwie i prychnęła gniewnie, wydając najbardziej niestosowny dla damy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Dziwna rzecz, ale uznał go za wzruszający.

- Nie lubię kobiet, które się wdzięczą, chichoczą i zachwycają wszystkim, co powiem - odparł. - Lubię inteligencję i dojrzałość.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Zagryzła wargi z irytacją. - Dobrze wiem, jaki to wdzięk mężczyźni wielbią u kobiet, wiem także, że wcale go nie mam. Zdarza się zapewne, że guwernantka łatwo daje się omotać przystojnemu i wymownemu chlebodawcy, ale zapewniam pana, że ja nie należę do takich kobiet, nigdy też nie byłam głupią gąską.

- Co za szkoda westchnął ostentacyjnie, zdając sobie nagle sprawę, że świetnie się bawi. Nie zapomniał jednak o prawdziwym celu tej pogawędki. Jeśli dzieci mają być bezpieczne, panna Sainthill musi zniknąć z zamku. I to bez zwłoki.

Ciekawiło go, co by zrobiła, gdyby nachylił się i ją pocałował? Uderzyłaby go w twarz? A może rozchyliłaby wargi i przyjęła pocałunek? Była to olbrzymia i trudna do zwalczenia pokusa, ale miał jeszcze na tyle honoru, żeby się jej oprzeć. Niezależnie od okoliczności lord Avery przynigdy nie będzie uwodził niechętniej mu kobiety.

Tylko czy rzeczywiście niechętniej?

- Sądzę, że koniecznie musimy ustalić, czym mam się tutaj zajmować. - Oczy panny Sainthill zwięzły się niebezpiecznie. Jestem guwernantką, która ma pod opieką trójkę pańskich wychowanków. Nie zamierzam być pańską igraszką ani przedmiotem drwin. Czy wyraziłam się jasno?

Zaskoczył go ton gorzkiego rozczarowania. Uważał swoje postępowanie za nieszkodliwą grę. Chciał pozbyć się jej stąd jak najszybciej i jak najmniejszym kosztem. Nie myślał o romansie, nawet przelotnym. Hm, czy rzeczywiście?

Potał podbródek i w zamyśleniu utkwiał wzrok w oknach po przeciwnej stronie jadalni.

Choć ten krótki i, co tu kryć, jednostronny flirt sprawił mu satysfakcję, poczuł się teraz nieswojo. Zwłaszcza że w jej głosie, prócz niedowierzania, pobrzmiwało też rozżalenie. Przypomnił sobie, co spotkało ją w przeszłości.

Porzucił ją narzeczony, doznała zatem krańcowego upokorzenia, a towarzystwo nie bywa w takim przypadku wyrozumiałe dla kobiety. Przeszła bardzo ciężką próbę, zwłaszcza że robiła wrażenie osoby dumnej.

Chętnie by jej powiedział, że narzeczony był ostatnim głupcem, że nie zasługiwał na jej względy ani na miłość jeśli rzeczywiście go kochała. Nie mógł jednak zdradzić, że cokolwiek o niej wie.

- Nie pochwała pani nawet najbardziej niewinnego flirtu? Chciałem się tylko przekonać, co się kryje za pani chłodem... Rzuciła mu ostre spojrzenie. Ale skoro pani sobie tego nie życzy, przestanę się narzucać. Choć przyjdzie mi to niełatwo.

Przez dłuższą chwilę siedzieli bez słowa. Nie wyglądała na przekonaną, ale Nathaniel uznał, że tak będzie lepiej. Może zmieni zdanie o swojej atrakcyjności, zmuszona do poniesienia posady z powodu lubieżnych zapędów chlebodawcy? W każdym razie był to całkiem dobry sposób, żeby się jej pozbyć.

- A więc uzgodniliśmy, że będą nas łączyć jedynie oficjalne stosunki?

- Dopóki nie zmięknie pani serce pozwolił sobie dodać, zaskoczony jej pojednawczym tonem. Musiał się jej wydać bardziej szczerzy, niż sądził, albo też za nic nie chciała stracić posady.

- Chcę robić to, do czego się zobowiązałam, i mam nadzieję, że będzie się pan wobec mnie zachowywał z szacunkiem, jak przystało uczciwemu pracodawcy. - Tu uśmiechnęła się lekko. - Skoro to pierwszy dzień mojego pobytu, spodziewam się, że wolno mi będzie spędzić trochę czasu z dziećmi, co z pewnością wyjdzie im na dobre. Najlepiej byłoby, gdyby właśnie pan mnie z nimi zapoznał, ale mogę też wziąć na siebie ten obowiązek. Czy ktoś wskaże mi drogę do pokoju dzieciennego?

Była to znakomita sposobność, żeby ostatecznie odesłać guwernantkę. Poczekał jednak, póki nie uniosła ku wargom kufła z piwem. Dopiero wtedy mruknął:

- Cała rzecz w tym, panno Sainthill, że w tej chwili dzieci tutaj nie ma. A szczerze mówiąc, nie wiem też pani dokładnie powiedzieć, kiedy przybędą do Hillsdale Castle.

Harriet w pierwszej chwili sądziła, że wybuchnie gniewem. Na szczęście miała usta pełne cierpkiego piwa - nie mogła krzyknąć i przełknąć go jednocześnie. Ten krótki moment wystarczył, by zdołała powściągnąć swoją złość.

Przez cały ranek sobie z nią igrał. Najpierw chciał ją nastraszyć w korytarzu, potem udawał despotę, a wreszcie zabawił się w uwodziciela. Jakby kiedykolwiek dała się wziąć na lep tak fałszywych pochlebstw!

Kobiet w jej typie mężczyźni nie uważali za piękne czy pożądane. Wokół młodszej siostry zawsze kręcił się rój wielbicieli, bo Elizabeth była słodka, niewinna i śliczna, zupełnie inna niż Harriet.

Myślała, że zdecydowana, lodowata odprawa położy wszystkiemu kres, lecz najwyraźniej pan Wainwright wciąż chował dla niej w zanadrzu nowe niespodzianki. Z jawnym zadowoleniem oczekiwał jej reakcji na swoje ostatnie słowa. No cóż, trochę się rozczaruje.

- Nie wspomniał pan dotąd o tym ani słowem. Co za zdumiewające przeoczenie!

Usadowiła się wygodnie przy stole, przywołując na pomoc całą silną wolę i należyte wychowanie. Uniosła serwetkę i wytarła wargi. Potem odsunęła krzesło, które zgrzytnęło ostro o płyty posadzki, i z wysiłkiem zdobyła się na chłodny uśmiech.

- Skoro nie mam się dziś kim zająć, wolno mi chyba spędzić resztę dnia według własnego uznania? Spojrzała mu prosto w oczy. Po dłuższej chwili skinął jej głową. Ledwo dostrzegalnie. - Doskonale. Sądzę więc, że mogę się teraz oddalić. Chciałabym, żeby lunch zaniecono mi do pokoju o drugiej. Czy zechce pan o to zadbać?

Znów nieznacznie skinął głową.

- Dziękuję. Zobaczymy się przy obiedzie. Czy jada się go o ósmej? - Wpół do siódmej.

- Doprawdy, życie toczy się tu w iście prowincjonalnym rytmie. Ciekawe! A więc o wpół do siódmej. Co do minuty.

Wyszła z jadalni bez pośpiechu, z godnością, choć bardzo ją kusiło, żeby się obejrzeć za siebie.

Gniew i upokorzenie kazały jej przyspieszyć kroku. Dzięki wrodzonemu zmysłowi orientacji bez trudu odnalazła sypialnię. Z ulgą stwierdziła, że jest pusta. Kate widocznie już wstała i wyszła, szukając czegoś na śniadanie. Uśmiechnęła się krzywo. Bóg raczy wiedzieć, co też znajdzie do jedzenia w kuchni osobliwego domu, gdzie najlepsze kąski rezerwowano dla jego pana.

Westchnęła głośno i wsparła się o jeden ze słupków baldachimu nad masywnym łóżem. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niej, jak bardzo przejęła się rozmową z zagadkowym Wainwrightem.

Nie wiedziała, czy ma ochotę śmiać się, płakać, czy może cisnąć czymś z całej siły o ziemię. Chyba wszystko naraz.

Przecież to przechodziło najśmielsze wyobrażenia! Czy warto było podejmować ryzyko, kiedy rozumiała, że znajduje się na życiowym rozdrożu? Przekonała samą siebie, że dobrze robi, rozpoczynając nowe życie. Puściła mimo uszu ostrzeżenia bliskich, pragnąc niezależności. Przyjęła w dobrej wierze zaoferowaną jej pracę. I wykonując ją, chciała dać z siebie wszystko. Sądziła, że w ten sposób znajdzie cel w życiu i odzyska poczucie własnej wartości; utraciła je, kiedy Julian ją porzucił. A tymczasem utknęła w osobliwym zamczysku!

Westchnęła ponownie i z rozdrażnieniem skarciła się w duchu za głupotę. Niełatwo jej przyjdzie wrócić do brata, ledwie zdążyła go opuścić, pokonanej i przegranej. Nie mogła jednak zostać w tym dziwnym domu, gdzie nie ma żadnych dzieci do wychowywania.

Nie, nie może wyjechać stąd jeszcze dziś. Służba i konie muszą wypocząć przed trudami powrotu do Anglii przynajmniej jeden dzień. Ruszą w drogę jutro, kiedy tylko się przejaśni.

Sięgnęła po torebkę, gdzie schowała list z ofertą zatrudnienia, a także ten drugi, z referencjami od pastora. Mimo że adresowany był do Wainwrighta, bez skrępowań złamała pieczęć.

Pastor wychwalał jej charakter, obowiązkowość, odpowiedzialność, wzorowe maniery. Co prawda wszystko to tchnęło nudą, ale pasowało do wyobrażeń o guwernantce. Gdyby Wainwright zażądał okazania referencji, zrobiłyby chyba na nim wrażenie.

W liście z ofertą pracy wszystko było jasne i jednoznaczne. Prócz podstawowej nauki czytania, pisania i rachunków miała dawać trojgu osieroconym dzieciom lekcje rysunku, haftu i dobrych manier. Powinna podjąć obowiązki od zaraz, bo innej guwernantki nie było. Wynagrodzenie mogło uchodzić za hojne - dwa funty tygodniowo. Przysługiwało jej też raz w miesiącu pół dnia wychodnego.

Włożyła listy z powrotem do torebki. Poczowała się nagle wyczerpana i znużona. Długa uciążliwa podróż oraz brak snu zrobiły swoje. Wielkie łóżko, choć niezasłane i z rozrzuconą pościelą, zapraszało do odpoczynku. Rozebrała się więc i wsunęła pod kołdrę. Pokój był mroczny i smutny, ale bębnienie deszczu podziałało na nią jak kołysanka.

Zbudziło ją mlaskanie. Usiadła na łóżku z bijącym gwałtownie sercem, przyciskając kołdrę do piersi. Spodziewała się tarmoszącego jej rzeczy Brutusa, lecz ujrzała tylko Kate, która zajadała właśnie coś, co zapewne było lunchem. Harriet zażądała przecież, żeby przyniesiono jej posiłek do pokoju.

- Dzień dobry, Kate. Zmieszana służąca upuściła kawałek sera, który upadł na posadzkę. Dzień dobry, panno Harriet. Przespała się pani?

- Owszem. Wreszcie czuję się trochę przytomniejsza. Która godzina?

- Wpół do trzeciej. Zaczęłam wyjmować pani rzeczy, ale nie wiem, które z nich będą potrzebne, a nie chciałam pani budzić. Była pani bardzo zmęczona.

- Istotnie, dziękuję - ucięła sucho, widząc na wpół opróżniony półmisek. No, przynajmniej tym razem nie musiała się domyślać, co jej podano. Ukroiła spory kawał ostrego sera. Smakował wspaniale. Szybko poradziła sobie z następną porcją oraz cienką kromką razowca. Prócz tego były tam jeszcze suszone jabłka i ogórki, a na wyszczerbionym talerzu placek z agrestem.

Harriet zjadła wszystko do ostatniej okruszyny. Wypoczęta i najedzona, odsunęła pustą tacę. Humor się jej poprawił. Wciąż nie mogła zapomnieć o porannym starciu z Wainwrightem, ale nie czuła się już bezradna. Oczywiście, nie może pozostać w zamku, ale też nie odjedzie po cichu i

potulnie.

Oszukano ją i zwabiono tutaj pod fałszywym pretekstem. Pan Wainwright jeszcze pożałuje, że ją wystrychnął na dudka. Najwyraźniej był doświadczonym uwodzicielem i chciała dać mu solidną nauczkę, której długo nie zapomni.

Jej też zresztą co nieco zostanie w pamięci. Mimo licznych irytujących cech Wainwright był przystojnym i pociągającym mężczyzną. Mimo wszystko zrobił na niej pewne wrażenie, choć wolałaby, żeby było inaczej.

Wiedziała wprawdzie, że nie jest osobą stworzoną do namiętności, ale przydałoby się jej nieco więcej spontaniczności. Miała też serdecznie dość poprawnych manier, które prezentowała przy śniadaniu. A gdyby tak spędzić z nim wieczór jako kobieta, nie dama? Oczywiście łączyło się to z pewnym ryzykiem. Nie wiedziała, czy zdoła dorównać mu sprytem, ale inteligencją i poczuciem godności - bez wątpienia.

Wymagało to jednak mnóstwa zachodu. Musiała dzisiejszego wieczoru wyglądać wytwornie, co - zważywszy na okoliczności - nie było łatwe. Ale w odpowiedniej sukni, twarzowym uczesaniu i przy świetle świec zdoła chyba przeistoczyć się w atrakcyjną osobę. Do licha! Skoro wzbudziła rzekome zainteresowanie Wainwrighta w tej szkaradnej, burej sukieneczynie, to jakie zrobi na nim wrażenie w jedwabiach i koronkach?

Niechętnie zmarszczyła nos na widok porcelanowego dzbanka i miski stojących w kącie. Dziś wieczór trzeba jej było czegoś więcej niż zimnej wody. Potrzebowała prawdziwej, gorącej kąpeli. Służąca nie kryła zwątpienia.

- Jakżeż panienka tego dopnie? Toż nawet stajnie za zamkiem są czystsze niżli niektóre z tych pokojów! A wszyscy tutejsi słudzy boją się pewnie mydła i wody jak zarazy!

- Muszą tu jednak mieć miedzianą wannę, bo pan Wainwright wygląda całkiem schludnie.

Harriet cierpliwie czekała, aż wreszcie Kate wzruszyła ramionami i opieszale wyszła z pokoju, mamrocząc coś przy każdym kroku. W godzinę później wróciła z dwoma kościstymi młodzieńcami, którzy taszczyli ogromną wannę.

Pod czujnym okiem służącej napełniono ją gorącą wodą. Kiedy chłopcy wyszli, Harriet szybko rozebrała się i otuliła szlafrokiem. Kate rozpałiła ogień na kominku. Harriet wlała do wanny trochę olejku lawendowego i wciągnęła w płuca ostrą woń, która wypełniła pokój.

- Niech się pani pospieszy, bo woda wystygnie ostrzegła ją służąca. Choć w pokoju nadal było zimno, Harriet pozwoliła Kate zdjąć z siebie szlafrok. - Najpierw sprawdziła palcem temperaturę wody, a potem ostrożnie usiadła w wannie. Poczwała się wprost cudownie.

- Chyba posiedzę tak parę minut i się namydlę. Poszukaj mojej sukni z zielonego jedwabiu. Jeżeli rozwiesimy ją przy ogniu, załamania się wyprostują.

- Zielony jedwab? zdumiała się Kate. - Czy to stosowne?

- Dziś owszem.

- Cóż to, na bal się panienka wybiera? A może na proszony obiad?

- Zielona suknia, Kate! Harriet nie powiedziała już ani słowa więcej. Kate z pomrukiem niechęci odsunęła się, a Harriet zanurzyła w wodzie ręcznik i zaczęła się myć. Na szczęście usłuchała siostry i wzięła ze sobą kilka kawałków ulubionego, lawendowego mydła. Znajomy aromat uspokoił ją i pocieszył.

Wkrótce cały brud i fatyga kilku ostatnich dni zniknęły bez śladu. Harriet poczuła się nie tylko czystsza, ale i odrodzona. Siedziała w wannie, póki stygnąca woda nie zmusiła jej do wyjścia z

kąpieli. Przedtem szybko natarła mydłem włosy i uchwyciła się mocno brzegu balii, gdy Kate wylała jej wiaderko dość chłodnej wody na głowę. Harriet, szczelnie owinięta w ogrzany przy ogniu ręcznik, podbiegła na czubkach palców do kominka, żeby się osuszyć.

Boże, jak zimno w tym pokoju! Nawet tuż przy ogniu wstrząsały nią dreszcze. Może to nerwy, a nie tylko chłód? Szybko włożyła świeżą koszulę i czyste pończochy, a potem wycisnęła w ręcznik resztę wody z włosów. Kate rozczesała je, zaplotła i przewiesiła przez poręcz krzesła, żeby wyschły przy ogniu. Harriet siedziała cierpliwie, starając się z całej siły, żeby zdrowy rozsądek i wpojona jej skromność nie popsuky jej zamiarów.

- Niech panienka siądzie przy oknie, to ją uczeszę - powiedziała Kate. Muszę mieć do tego odrobinę światła, bo inaczej wyjdzie istny kołtun.

Mimo protestów służącej Harriet uparła się, żeby Kate upięła jej włosy w wytworny węzeł na czubku głowy. Jedno pasmo loków pozostało wolne, spływając swobodnie z prawego ramienia. Była to jedyna w swoim rodzaju fryzura, a Harriet wiedziała, że takie uczesanie podkreśla jej wyjątkowo zgrabną, długą szyję. Zrezygnowała też z wszelkich ozdób, które mogłyby przesłaniać dekolt.

Nic była pewna swego wyboru, lecz kiedy Kate włożyła jej suknię przez głowę i mocno ją zapięła, Harriet stwierdziła, że nie pomyliła się ani trochę. Uszyta według najnowszej mody, okazała się najszykowniejszym strojem, jaki kiedykolwiek miała, z godnymi podziwu, haftowanymi złotą nicią rękawami, wysokim stanem i dużym dekoltem w karo, obrzeżonym kremową koronką.

Krawcowa dopasowała ją do figury z wielką starannością - suknia świetnie leżała i z przodu, i z tyłu. Kolor podkreślał zielonkawe punkciki w orzechowych oczach, a biel skóry i złoty haft sprawiały, iż suknia migotała blaskiem przy każdym ruchu.

Kiedy Harriet spojrzała w lustro, poczuła się naprawdę piękna. Zwłaszcza że nie było teraz przy niej Elizabeth.

Choć całkiem gotowa, czekała, póki wskazówki zegara nie zbliżyły się do szóstej trzydzieści. Jeśli nie będzie punktualna, zirytuje Wainwrighta, a za nic nie chciała popsuć tego wieczoru. Dobrze wiedziała, że nie będzie to łatwe. Gdy zdoła go zaintrygować, zyska nad nim przewagę, której - była tego pewna - bardzo potrzebuje.

Tuż przed samym wyjściem zapaliła lampkę. Ostatni rzut oka w lustro dodał jej pewności siebie. Wyglądała znakomicie.

- Ostrożnie, panienko! - przestrzegła ją Kate.

Harriet skinęła tylko głową, biorąc uwagę serio. Udało się jej jednak przejść przez mroczny korytarz do jadalni bez żadnego potknięcia. Szelest sukni podniósł ją na duchu, bo - jak zwykle - w zamku panowała głucha cisza.

Czemu w tak rozległej siedzibie nie było odpowiednio licznej służby? Ten osobliwy brak świadczył o zaniedbaniu. Radość Harriet rosła, w miarę jak zbliżała się do celu. Mimo to w pewnym momencie młoda kobieta zatrzymała się, usiłując zebrać całą swoją odwagę, nim weszła do jadalni.

Wainwright stał w drugim końcu pokoju, przy ogniu buzującym w kominku. Nie włożył wizytowego stroju, miał na sobie surdut koloru ciemnego wina, Wykrochmalona białą koszulę bez wysokiego kołnierzyka, jednorzędową kamizelkę z popielatego jedwabiu i szare spodnie. Stroju dopełniała skromna chustka na szyi.

W dłoni trzymał niedbale kieliszek z czerwonym winem. Harriet mimo woli dostrzegła, że ręce, choć mocne i męskie w charakterze, były również zgrabne i subtelnie zarysowane.

Cały ten efekt zepsuło jednak surowe spojrzenie, jakie jej posłał.



- Spóźniła się pani, panno Sainthill. - Czyżby?

Wzruszyła lekko ramionami i usiadła przy długim stole. On, z pewną irytacją, ruszył w jej stronę. Odczekała, póki nie usiadł, patrząc na nią uważnie, i celowo pozwoliła szalowi ześlizgnąć się z ramion.

Uniósł brwi. - Muszę przyznać, że suknia jest piękna, ale czy w tak skąpym odzieniu nie będzie pani zimno?

Musiała zagryźć wargi, żeby się nie uśmiechnąć, słysząc ten wyważony ton.

- Dzięki kominkowi czuję się całkiem dobrze, a od przeciągów chroni mnie szal. - Dotknęła dłonią jego rękawa. - Och, zapomniałam podziękować za komplement. To miłe, że podziwia pan mój strój.

Zesztywniał, kiedy poczuł dotknięcie, a Harriet ogarnęło przewrotne podniecenie. Tym razem to ona uśmiechnęła się lekko. Stwierdziła, że chcąc zachować kontrolę nad sobą, musi mu wciąż patrzeć prosto w oczy.

Wainwright odwrócił wzrok, zdołała jednak zauważyć jego zaskoczenie. Wspaniale! Zadowolona z takiego początku, sięgnęła po stojący przed nią czysty kryształowy kieliszek i podała go mężczyźnie.

Wainwright uniósł rękę i służący zbliżył się, żeby nalać wina do kieliszka. Dopiero teraz Harriet zauważyła, że w głębi sali stoi też drugi sługa i przygląda się jej, wyciągając szyję. Powstrzymała się jednak od jego przywołania.

Świadoma, że Wainwright ją obserwuje, upiła łyk wina, a potem starannym ruchem odstawiła kieliszek. Zauważyła, że stół nakryto lnianym obrusem i zastawiono go naczyniami z cienkiej porcelany, a srebra wyczyszczono do połysku. Najwyraźniej obiad miał robić wrażenie bardziej cywilizowanego posiłku niż śniadanie.

- Czy spędziła pani miło dzień, panno Sainthill? spytał, gdy podano pierwsze danie.

- Miałam zamiar zwiedzić kilka komnat tej niezwyklej siedziby, lecz niestety, musiałam się zająć czym innym. Poczekała, póki nie zjadł odrobiny zupy, nim sama jej nabrała. Nawet po trzeciej łyżce nie zdołała rozpoznać, co właściwie je, ale ciepłe danie rozgrzało ją i było łagodne w smaku. Czy mógłby mi pan opowiedzieć historię zamku? Pewnie od całych pokoleń należy do pańskiej rodziny?

- Nie.

- Och, a więc kupił go pan niedawno?

- Nie jestem jego właścicielem.

- A zatem rezyduje pan w nim tylko?

- Wynająłem go.

- Co, mieszka pan tutaj z własnego wyboru? Mimo że starała się mówić cicho i powściągliwie, nie potrafiła ukryć zaskoczenia po jego ostatnich słowach.

Wzruszył ramionami i ponownie wziął się do jedzenia.

- Jak widzę, to miejsce pani nie odpowiada?

- Zamek stoi na uboczu i wydaje mi się barbarzyński. Mnie się podoba.

- Owszem, ta budowla w jakiś sposób do pana pasuje. Teraz rozumiem, czemu nie ma pan szkockiego akcentu. Gdzie się pan wychował?

Wainwright odłożył łyżkę i spojrział na nią z wyraźną irytacją.

- Dlaczego to panią interesuje?

Harriet przysunęła się do niego. Oparła się jednak chęci zatrzepotania rzęsami, bo wysłaby

wtedy na głupią gąskę.

- Uważam, że wszystko, co dotyczy tak atrakcyjnego mężczyzny, jak pan, jest w najwyższym stopniu interesujące.

Zakrzuszył się i zaczął kasłać tak mocno, że aż zadrgał płomień świecy w lichtarzu na rogu stołu. Harriet już zamierzała uderzyć go w plecy, żeby mu pomóc przełknąć, ale Wainwright spojrział na nią w taki sposób, że zrezygnowała.

- Dziś rano oznajmiła pani bardzo stanowczo, że nic nas nie powinno łączyć poza pani obowiązkami wykrztusił wreszcie ochryplym głosem.

Harriet uśmiechnęła się prowokacyjnie i z wdziękiem wytarła usta serwetką.

- Owszem, tylko że nie wyszczególniłam, co wchodzi w ich zakres. Doskonale zgrała w czasie swoje uwagi ze zmianą talerzy. Wainwright spojrział na nią pytająco, ale nie chciał nic mówić w obecności służącego, właśnie tak, jak sobie życzyła. Jediną oznaką jego rosnącego rozdrażnienia było nerwowe bębnienie palcami po stole, tuż przy kieliszku.

Harriet zmieniła taktykę i kiedy podniesiono pokrywę półmiska z rybą, poruszała tylko neutralne, błahe tematy. Wstrzymała oddech. Czy rzeczywiście Wainwright pozwoli jej przejąć pałeczkę? Po chwili wahania i groźnym ostrzegawczym spojrzeniu odpowiedział na jej pytanie dotyczące okropnej pogody, a potem dodał, że ze wszystkich pór roku najbardziej lubi wiosnę.

Tymczasem podano drób i obydwójce zaczęli prowadzić zwykłą rozmowę. Po dwóch pierwszych daniach, które okazały się znakomite, Harriet mimo nerwowego napięcia oczekiwała z ciekawością na trzecie. Drób się jednak nie udał. Najwyraźniej wstawiono go do pieca w ostatniej chwili, bo miał ledwo przyrumienioną skórkę i wyciekał spod niego różowawy płyn.

- Hm, przynajmniej nie jest przypalony rzucił z grymasem niechęci Wainwright.

- Niewielka pociecha. - Harriet nakłuła mięso widelcem. - Wie pan, moja służąca zawsze mi mówi, że nabawię się robaków, jedząc na wpół surowy drób. Czy sądzi pan, że to możliwe?

- Wątpię, ale nie miałbym ochoty sprawdzać na sobie prawdziwości tej teorii.

- Może powinniśmy kazać pani Mullins, żeby to zjadła, i poczekać, czy coś się jej nie stanie?

- Lepiej już zawołałam psy i rzucę im mięso pod stół. Nie będą grymasić, uznają to za ucztę!

- A fe, czyż panu nie wstyd wystawiać biedne stworzenia na takie niebezpieczeństwo? - odcięła się z ironią.

Obydwójce wybuchnęli śmiechem, lecz kiedy ich spojrzenia się spotkały, serce Harriet zabiło niespokojnie. Wainwright był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną! Coś ją do niego przyciągało, jakieś erotyczne emocje wręcz nie do pomyślenia zaczęły się kłębić wokół niej. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że jej ciało czegoś pragnie.

Odchrząknęła, a potem odwróciła wzrok, chcąc ukryć te uczucia. Czowała jednak, że on czyta w jej myślach.

Wainwright nakazał gestem, żeby drób zabrano ze stołu, i rozmowa urwała się na chwilę. Harriet próbowała ją podjąć, lecz w głowie się jej mąciło.

- Ma pani wręcz niezwykle wyraz twarzy, panno Sainthill - rzekł spokojnie. - Zupełnie jakby dopiero teraz do pani dotarło, że przebywanie sam na sam z mężczyzną może być dla kobiety niebezpieczne.

Odetchnęła głęboko, ale i tak poczuła, że kręci się jej w głowie. Może to efekt zbyt silnych emocji? A może wina?

- To chyba zależy od samej kobiety. Wyłącznie.

- Niewątpliwie. - Oczy mu nagle pociemniały i dostrzegła w nich tak jednoznaczne zainteresowanie, jakiego nigdy się nie spodziewała.

Patrzył na nią tak, że poczuła się nieswojo. Puls zaczął jej bić mocniej i szybciej. Ten mężczyzna był urodzonym uwodzicielem. Mógł pozbawić kobietę mowy, rozumu, zdrowego rozsądku.

I choć starała się wyrwać spod jego wpływu, dotarła do niej w końcu ukryta dotąd prawda. Nim jeszcze skończył się wieczór, miała ochotę skraść pocałunek prawdziwy pocałunek - temu tajemniczemu mężczyźnie.

7

Nathaniel w zamyśleniu upił łyk wina, pozwalając, żeby jego smak rozszedł mu się po języku, choć w gruncie rzeczy ledwie czuł, co pije. Zajął się trunkiem tylko po to, aby powstrzymać się od zrobienia czegoś, czego bardzo pragnął.

Chciał pocałować pannę Harriet Sainthill. Pragnął nachylić się nad nią i nakryć jej usta swoimi. Musnąć jej dolną wargę językiem, zagłębić go w ustach, poddać się pragnieniu, które tak nagle się w nim obudziło.

Kobieta, którą zobaczył przy stole tego wieczoru, nie miała nic wspólnego z przemoczoną do suchej nitki istotą, jaka pojawiła się tutaj zeszłej nocy. Nie była też podobna do sztywnej, pruderyjnej guwernantki, która starła się z nim przy śniadaniu. Nie sprawiły tego jedynie wymyślna fryzura i twarzowa suknia. Tu chodziło o coś więcej.

To jej prowokacyjny flirt, dwuznaczne uwagi i żarty wytrąciły go z równowagi. Jedwabista skóra połyskiwała w świetle świec, miękkie i pełne wargi aż się prosiły, żeby ich spróbować, i mimo wszelkich wysiłków poczuł się zniewolony jej zmysłowym, hipnotycznym spojrzeniem.

Wątpił, czy miała jakieś doświadczenia z mężczyznami, bo otaczała ją aura czystości, której żadne namiętne spojrzenia nie mogły zamaskować. Z drugiej strony dawno już przekroczyła wiek stosowny dla niewinnej panienki, a przez kilka lat była narzeczoną znanego jako niepoprawny kobieciarz hultaja. Może dały znać o sobie jej ukryte tęsknoty?

Co za niebezpieczna myśl.

Deszcz znów się rozpadał, bijąc zaciekle w okna. Nathaniel wiedział, że guwernantka rozkazała woźnicy być gotowym do wyjazdu o świcie. Kiedy o tym usłyszał, z początku poczuł zadowolenie, lecz teraz przyłapał się na myśli, że dobrze byłoby, gdyby niepogoda zatrzymała ją w zamku. Na następny dzień. I na następną noc.

- Spróbuj pan groszku w śmietanie?

Nathaniel, wyrwany nagle z rozmyślań, spojrzał na nią. Trzymała wazę pełną groszku w gęstym sosie. Musiała wziąć ją od kogoś ze służących, bo żadnego nie widział teraz przy stole.

- Może choć odrobinę? - spytała miękko, spoglądając na niego spod spuszczonej powiek.

Zrobiło to na nim wrażenie. Nigdy jeszcze nie słyszał zwykłego, grzecznościowego pytania wypowiedzianego w sposób tak sugestywny. Podobnie musiał się chyba czuć Adam w raj, kiedy Ewa podała mu jabłko.

- Dziękuję, nie odpowiedział uprzejmym tonem. - Nie lubię groszku pod żadną postacią. Pewnie dlatego, że moja guwernantka zawsze zmuszała mnie do niego, kiedy byłem dzieckiem.

- Ależ groszek wyjdzie panu na zdrowie - skarciła go z lekkim uśmiechem.

- Droga panno Sainthill, odkąd tylko dorosłem, pociągało mnie akurat wszystko to, co wcale nie wychodzi mi na zdrowie.

Uśmiechnęła się.

- A to dobre!

O mały włos, a byłby się zadławił kawałkiem mięsa. Kiedy patrzyła na niego w taki sposób, trudno mu się było opanować. Jak i kiedy ich role uległy odwróceniu? No i skąd ta nagła zmiana zachowania?

Nagle przebiegł go zimny dreszcz. Czyżby domyślała się prawdy, poznała jego tożsamość, wiedziała, dlaczego zaszył się na dzikim szkockim odludziu?

W zamyśleniu udawał, że odkrawa kolejny plasterek wołowiny. Nie, chyba ponosi go wyobraźnia. Panna Sainthill była kobietą prostolinijną. Gdyby podejrzewała, z kim ma do czynienia, natychmiast stawiałaby mu czoło.

Chyba że wyczekuje właściwej chwili. Może właśnie stąd ta zmiana zachowania i wyglądu? Ogarnęła go nagle podejrzliwość i poczuł skurcz w żołądku.

- Dziś rano natarła mi pani uszu z powodu niewinnego flirtu, a wieczorem sama go pani próbuje. Czy zechce mi pani wyjaśnić tę nagłą przemianę?

- O czym pan mówi? spytała ze spokojem. Wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał, choć w oczach mignęło przelotnie coś w rodzaju poczucia winy.

- Mówię o pani sukni, uśmiechu, wymownych spojrzeniach. Jestem dorosłym mężczyzną, ale przez całe trzydzieści trzy lata mojego życia żadna kobieta nie próbowała mnie nękać groszkiem w śmietanie, mówiąc równie dwuznacznym szeptem.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że żyje pan w takim odosobnieniu. - Bynajmniej.

- Niech i tak będzie. Znowu się uśmiechnęła, wyglądała z tym zuchwale i bardzo kobieco. - Rano powiedział pan, że jestem czarująca. Może uwierzyłam, że mówił pan szczerze?

- Proszę spróbować jeszcze raz.

Spojrzała na niego z rozbawieniem, nie unikając jego wzroku. Mógł ujrzeć własne odbicie w jej źrenicach. Potem jednak zrobiła zamyśloną, niemal poważną minę.

- Czy może pan sobie wyobrazić, co to znaczy przez całe życie naginać się do cudzych oczekiwań? Zawsze być kimś rozumnym, praktycznym, nudnym i odpowiedzialnym?

- Mogę się domyślić.

- Cóż, tak wyglądało całe moje życie. - Zaczepnęła tchu. - Byłam starszą siostrą w domu, gdzie zabrakło matki. Służba oczekiwała, że to ja nią pokieruję, bo ojciec nie interesował się ani domem, ani dziećmi. Dbał wyłącznie o pierworodnego syna, a my byliśmy mu obojętni. Mój brat Griffin, młodszy syn, opuścił Anglię, gdy tylko dorósł, ale ja jestem kobietą, nie miałam więc okazji, żeby stanowić o sobie.

- A co by pani zrobiła, będąc mężczyzną?

- Hm, nie wiem. - Palce Harriet zacisnęły się wokół kieliszka. Może wyjechałabym do kolonii, jak mój brat, może kupiłabym patent oficera w wojsku albo wyruszyłabym w długą, kształcącą podróż po różnych kontynentach. A może podjęłabym studia artystyczne.

- Ma pani takie inklinacje?

- Niekoniecznie. - Wyprostowała się i uniosła podbródek. Nathaniel podziwiał jej opanowanie. Z tego, co widziała i słyszała, mogła wnosić, że talent artystyczny nie jest czymś niezbędnym dla ludzi, którzy wiedzą podobne życie.

Przypomniał sobie o nocach szaleńczych pijatyk, o hulankach, o kobietach, jakie hołubił podczas własnych podróży, i musiał przyznać, że trafiła w sedno. Spojrzał na jej profil, gdy podnosiła

kieliszek do ust, i zrozumiał, że całkowicie się pomylił co do panny Sainthill.

Reputacja pedantki nie wynikała z uzasadnionego poczucia wyższości, lecz była rezultatem dzieciństwa. Ukształtowało to ją jako kobietę, ale nie zabiło w niej całkowicie ducha ciekawości i przygody. Może nawet i wybór porywczego, lekkomyślnego narzeczonego płynął z potrzeby wymknięcia się swojemu przeznaczeniu?

- A więc stąd to zachowanie dzisiejszego wieczoru? Sposobność okazania się spontaniczną, a nie umiarkowaną i wyważoną?

- Częściowo. - Uniosła kieliszek, ale nie upiła z niego wina. Swoją drogą muszę przyznać, że chciałabym wiedzieć, jakbym się czuła, gdybym mogła zerwać wszystkie krępujące mnie więzy. Często o tym myślałam, ale nigdy nie pozwoliłam sobie na coś takiego. - Zaśmiała się, spoglądając na niego z łagodnym wyrzutem. - Chyba ma pan na mnie zły wpływ.

- Trudno mi w to uwierzyć. Nie uważam pani wcale za osobę, na którą łatwo wpłynąć. - Poczekał, aż służba zabierze półmiski, nim odezwał się ponownie. - Może moje towarzystwo uczyniło panią bardziej otwartą na własne pragnienia. W końcu jesteśmy tylko ludźmi o tych samych potrzebach, choć uświadomienie sobie tego może być nieco upokarzające.

Próbowała ukryć uśmiech, ale bez skutku.

- A zatem tylko utarte zwyczaje zapobiegają temu, by iskra między mężczyzną a kobietą nie przerodziła się w płomień?

- Bez wątpienia społeczeństwo, które hołduje tym zwyczajom, uważa naturalne skłonności za coś niestosownego. - Nathaniel zanurzył łyżeczkę w biszkoptach z winem i kremem. - Sztuczne konwencje rządzą ludzkim zachowaniem.

- Albo powstrzymują przebiegłego, zdeterminowanego mężczyznę, który racjonalnie i z pełną premedytacją dąży do celu.

- Proszę mi wierzyć, panno Sainthill, prawdziwa namiętność wyzuta jest z wszelkiej racjonalnej myśli. Nathaniel skrzywił się lekko, zaskoczony nieoczekiwanym przyływem pożądania. Dziwne, że to przekomarzanie się tak go podnieca. Czyżby tak długo nie miał kobiety, że dlatego byle rozmowa może burzyć w nim krew? - Czy nie ufa pani swojej płci? Czy kobietę tak łatwo może doprowadzić do bezwstydnego zachowania przystojna twarz albo zuchwała mowa?

- Doprawdy, zdarza się coś takiego? Prowokacyjnie spuściła oczy. Zdaje mi się, że pan lepiej potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie.

- Doskonale wiem, że w towarzystwie damy nie należy mówić o innych kobietach.

Wstała, jej kolano musnęło jego udo. Mimo ubrania jego ciało zareagowało natychmiast. Wiedział, że ona musiała odczuwać tę wibrację między nimi, lecz starał się opanować.

- Choć mężczyźni mogliby utrzymywać, że ich rola jest nudniejsza, kobiety często czują się niepewnie na tym gruncie - ciągnęła. - Niełatwo przekroczyć tę cienką linię, chroniącą poczucie przyzwoitości. Na szczęście górujemy pod tym względem nad mężczyznami.

- Czy dlatego, że kobiety wychowuje się na damy?

- Nie, my mamy po prostu wiele tego, czego brakuje mężczyznom. Tu zrobiła pauzę. Zdrowego rozsądku.

Nathaniel roześmiał się, po chwili Harriet dołączyła do niego. Na jednym z jej policzków zarysował się uroczy dołeczek. Mężczyzna poczuł szaloną chęć, żeby nachylić się i ucałować właśnie to miejsce. Siedział tak blisko, że czuł bijący od niej zapach lawendy. Otaczał go całego jak ponętna chmurka. Drażnił jego zmysły.

Prowadzili bardzo poufałą rozmowę, ale nie byli sami. Rozmawiali przy służbie. Służący zaś, ciekawi przyjezdnych, obdarzeni byli znakomitym słuchem. Zadźwięczały srebro i porcelana. Nathaniel nagle otrzeźwiał i z zaskoczeniem stwierdził, że niemal opróżnił talerz. Prawda, że biszkopty z winem i kremem były jego ulubionym deserem, ale nawet nie zauważył, kiedy je zjadł. - Może przejdziemy do biblioteki? Kazałem pani Mullins napalić tam w kominku, będzie nam więc ciepło i wygodnie.

Nie wspomniał, że w bibliotece stoi również obszerna sofa, w sam raz dla dwojga. Mogliby tam do woli ciągnąć rozmowę, siedząc tuż obok siebie.

Wstrzymał oddech i czekał na jej odpowiedź z takim napięciem, jakby był niedoświadczonym młodzikiem. Czy da się tam zwabić? Niestety panna Sainthill wstała i odmownie pokręciła głową. - Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę do siebie.

- Czy mogę panią odprowadzić? - wyrwało mu się.

Pytanie najwyraźniej wytrąciło ją z równowagi. Jej oczy rozszerzyły się, a usta zacisnęły, kiedy namyślała się nad odpowiedzią.

- Owszem, jeśli odpowie mi pan na pewne pytanie. Skinął twierdząco głową.

- Czy naprawdę ma pan troje wychowanków, którym potrzeba guwernantki?

- Tak.

- A więc gdzie oni są? Czemu nie tutaj, razem z nami?

Kusiło go, żeby powiedzieć jej prawdę. Nie całą, rzecz jasna, nieco okrojoną i uproszczoną. Wiedział jednak, że ryzykowałby wtedy zbyt wiele. - To już trzy pytania, panno Sainthill - upomniał ją łagodnie.

Spodziewał się, że spojrzy na niego z wyrzutem, odwróci się i pójdzie do siebie. Tymczasem wzruszyła lekko ramionami, jakby ze zrozumieniem, i z gracją wyciągnęła ku niemu rękę. Uścisnął ją mocno, splatając jej palce ze swoimi.

Choć miała na sobie wytworny strój, nie włożyła rękawiczek. Poczuł jej ciepłą dłoń w swojej. Wzmogło to jego pragnienia. Nie wiedział, czy panna Sainthill czuje to samo, ale zarumieniła się nieznacznie.

Szli korytarzem, nie zamieniając słowa. Sądził, że lepiej będzie nic nie mówić, choć kierował nim nie rozsądek, ale oczekiwanie na to, co się stanie, kiedy już staną pod jej drzwiami. Pewnie ją pocałuje, i to niejedną raz. A potem... licho wie, co będzie.

Zazwyczaj był cierpliwy w kontaktach z damami, ale to nie były zwykłe okoliczności. Nie miał czasu, żeby ją uwodzić, a to sprawiło, że jego pragnienia przybrały nierealne proporcje. Młodsze, ładniejsze, milsze kobiety nie potrafiłyby wzbudzić w nim takiego zainteresowania ani podniecenia. Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn tej właśnie udało się rozbudzić jego wyobraźnię bardziej niż każdej innej.

- Zdumiewa mnie rozległość tego zamku. Choć szłam tędy już kilkakrotnie, ani razu nikogo nie spotkałam - stwierdziła, kiedy byli już przy samych drzwiach. - Gdzie się podziewa służba?

- Chcą się znaleźć jak najdalej od pani Mullins odparł żartobliwie.

Błysk rozbawienia w jej oczach dodał mu odwagi. Objął ją w pasie i odwrócił, tak że stała teraz plecami do ściany. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale nie usiłowała wyrwać się z jego ramion. Zachęcony tym, przyciągnął ją do siebie.

Ujął ją pod brodę i zwrócił lekko jej twarz ku sobie. Zaczęła szybciej oddychać. A gdy się nachylił i ją pocałował, mroczny korytarz rozblęsnął nagle barwami.

Najpierw nachylił ku niej usta. Zmysłowość zawsze budziła w Harriet ekscytację, ale nigdy jeszcze nie doświadczyła jej w pełni. Aż dotąd. I nie umiała oprzeć się temu, co ten pocałunek niósł ze sobą. Zareagowała w zgoła niestosowny sposób, chwytając za klapy jego surduta i przyciągając go bliżej. Pocałunek stał się teraz głębszy, zmuszając ją do rozchylenia warg. Krew pulsowała w niej gwałtownie. Mrowiło ją w piersiach i musiała naprężyć uda, żeby stłumić nagły ból. Czowała sztywność jego stwardniałych mięśni, ciepło ciała i woń wody kolońskiej. Całował teraz jej skronie, policzek, podbródek. Kiedy pochyliła głowę, pocałował ją w szyję, dotykając jej miękko ustami.

- No i gdzie się podział ten sławetny kobiecy zdrowy rozsądek, panno Sainthill? wyszeptał urywanym głosem.

Na te słowa oprzytomniała. Z pewnością nieokiełznane zachowanie miało coś wspólnego z szaleństwem. Nie mogła sobie dłużej na to pozwolić. Z ociąganiem wysunęła się z jego ramion.

- Chwilowo mnie opuścił, ale na szczęście pojawił się z powrotem.

- Na szczęście? Głos mu zmatowiał. - A może powinienem przepędzić go precz i wrócić do tego, co robiłem? Przrzekam, że spełnienie, jakiego zaznamy, będzie tego warte.

Wyciągnął ku niej rękę, ale Harriet zrobiła krok w tył. Choć tak bardzo ją pociągał, wiedziała, że nie wolno jej stracić głowy.

- Dobranoc, panie Wainwright. - Westchnęła wyraźnie i głośno. - Chyba nie będzie dla pana niespodzianką, że postanowiłam opuścić tę posadę. Moja służba i ja wyjeżdżamy jutro z samego rana.

- Proszę zatem zostać ze mną na noc.

Końcami palców przechylił jej głowę, tak że musiała spojrzeć mu prosto w oczy. Widniały w nich pragnienia gwałtowne i dojmujące, ale dziwnie szczerze. Ze zdumieniem stwierdziła, że był pierwszym mężczyzną, który tak otwarcie dał jej do zrozumienia, że budzi w nim namiętność.

To nie była gra. Nie zamierzał jej oszukać. Wzbudziła jego pragnienia - uśmiech, który rysował się na jego twarzy, był po prostu grzeszny.

Słyszała głośne bicie własnego serca i przez chwilę obawiała się, że nie znajdzie w sobie dość siły, żeby mu się oprzeć. Uniosła powoli dłoń i pogładziła go po ogolonym policzku. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, walcząc z pokusą. O tak, to była wielka pokusa.

W swoich dwóch najważniejszych relacjach z mężczyznami zawsze czuła, że usiłuje zdobyć coś, co leżało poza zasięgiem jej możliwości. Miłość i dbałość ojca. Miłość i dbałość narzeczonego.

Propozycja Wainwrighta powinna była wprawić ją w zakłopotanie i obrazić. A tymczasem sprawiła tylko, że poczuła się wspaniale. Jak kobieta. Przynajmniej tym razem miała do czynienia z mężczyzną, który nie odwracał się od niej. Przynajmniej raz została uznana za osobę godną pożądania.

Od bardzo dawna nie zachowałam się tak odważnie, mignęło jej w myśli. Nie mogła jednak zapominać, że kobiety krępowane są przez pewne ograniczenia. I konsekwencje.

- Dobranoc, panie Wainwright. Powiedziała to głosem stłumionym, ale zdecydowanym.

Wainwright nie oczekiwanie skłonił przed nią głowę i ucałował dłoń, którą wciąż dotykała jego policzka. - Złamała mi pani serce, panno Sainthill.

Żartobliwy ton, jakim to powiedział, sprawił, że napięcie zelzało. Nawet odwrócona tyłem czuła na sobie jego gorące spojrzenie. Wiedziała, że wystarczyłyby nikły gest zachęty, żeby go przywołać z powrotem. Nigdy nie przypuszczała, że tkwi w niej potężna, kobieca broń. Tylko że, niestety, nie była to odpowiednia pora, żeby robić z niej użytek.

Zatrzymała przez chwilę dłoń na klamce, nim weszła do środka, ale drzwi zatrzasnęła szybko, niemal przed samym jego nosem. Oparła się o nie, przyciskając plecy do masywnego drewna. Gdy nerwowym gestem przygładziła włosy i doprowadziła do porządku suknię, nad słuchiwała odgłosu kroków. Długo musiała na nie czekać, a kiedy wreszcie się rozległy, z piersi wyrwało się jej głębokie westchnienie. Po raz pierwszy w życiu przeklinała swoje zasady moralne i zdrowy rozsądek.

Choć pora nie była jeszcze późna, z kąta dobiegło ją pochrapywanie i zrozumiała, że Kate już śpi. Nie zapaliła świecy, bojąc się ją zbudzić. Była zresztą tak wzburzona, że nie miała ochoty odpowiadać na jej pytania o wieczorny obiad.

Zdjęcie zielonej jedwabnej sukni w ciemnym pokoju bez niczyjej pomocy okazało się katorżniczą pracą, ale Harriet dała sobie jakoś radę. Starannie składała każdą część garderoby, w miarę jak zdejmowała je z siebie, a potem włożyła stos odzieży do otwartego sakwojażu. Kate spakowała już większość rzeczy, był więc mocno wypchany, lecz Harriet udało się wcisnąć tam resztę stroju.

Nim zamknęła sakwojaż, musnęła palcami miękkiej, zielonej jedwab na samym wierzchu. Westchnęła na myśl, że za każdym razem, kiedy będzie wkładać suknię, przypomni sobie tę noc. I tego mężczyznę.

Służąca położyła jej koszulę nocną na łóżku, tak że nic musiała szperać po bagażach, Harriet włożyła ją przez głowę. Zdumiała się, że ma tak bezkształtny fason i nie dodaje jej bynajmniej urody. Uszyta ze zwykłej białej bawełny, miała długie rękawy i sięgała pod szyję. Rękawy były obszyte koronką.

Jedyny barwny motyw stanowił haftowany szlaczek z różowych i niebieskich kwiatuśków biegnący wzdłuż obydwu mankietów. Trudno to było uznać za uwodzicielski strój, lecz Harriet nękała ciekawość, jakby zareagował Wainwright, widząc ją w tym neglizju.

Dosyć! niemal krzyknęła na głos. Takie myśli to czyste szaleństwo! Podjęła już decyzję wyjazdu i nie odstąpi od niej.

Żeby zakończyć wieczorną toaletę, naląła do umywalki zimnej wody z obtluczonego dzbanka. Oplukała nią obficie twarz i wytarła ją do sucha. Wyjęła z fryzury szpilki i rozpuściła włosy. Rozczesała je starannie, ale ten codzienny rytuał nie przyniósł jej żadnej ulgi. Zniechęcona rozdzieliła włosy na dwie równe części i przewiązała je na końcach zwykłymi wstążkami. Tak było trochę lepiej. Potem wsunęła się do łóżka i naciągnęła kołdrę pod samą brodę.

Czas włókł się powoli. Słuchała deszczu bębniącego o szyby i z otwartymi oczami wyczekiwała świtu.

Rankiem pogoda się nie zmieniła. Deszcz nadal bił o szyby, a w pokoju panował mrok. Przez moment Harriet pragnęła odwrócić się na drugi bok i otulić pościelą, lecz wiedziała, że tego jej zrobić nie wolno. Musiały wyjechać stąd jak najwcześniej, bo bez wątplenia na drodze pełno jest kałuż i błota; podróż będzie się więc dzisiaj wlokła bez końca.

Ogień na palenisku dawno już wygasł i Harriet drżała na samą myśl o wyjściu z ciepłego łóżka. Usiadła, podciągając kolana pod piersi, i szczelnie objęła je ramionami, owinięta kołdrą.

To jej ostatni ranek w Hillsdale Castle. Targały nią sprzeczne uczucia. Nie mogła postąpić inaczej, a jednak myśl o porzuceniu tego zagadkowego miejsca bez wyjaśnienia jego licznych tajemnic sprawiała, że czuła się nieswojo. Ogarnęła pokój spojrzeniem. Zaskoczyło ją, że Kate wciąż leży na posłaniu i najwyraźniej stęka przez sen. Służąca wstawiała zwykle o wiele wcześniej od niej. Od przyjazdu do zamku nieustannie narzekała, że w ogóle przestąpiła jego progi, i Harriet



spodziewała się, że zastanie ją rano całkowicie ubraną, w czepku i rękawiczkach. Radą, że wyjeżdżają z powrotem do Anglii.

Wiedziała, że podróż będzie męcząca, postanowiła więc pozwolić służącej na nieco dłuższy spoczynek. Wyciągnęła swobodnie nogi, poruszając nimi pod kołdrą. Zastanawiała się, co zjeść na śniadanie. Czy posłać Kate do kuchni po tacę, kiedy się obudzi? A może lepiej byłoby zejść do jadalni na ostatni wspólny posiłek z byłym chlebobdawcą?

Co zrobi Wainwright, jeśli nie przyjdzie na śniadanie? Czy chciałby ją jeszcze zobaczyć? Może nastąpi tam długie, a przy tym całkiem niestosowne pożegnanie? Jeśli nie zejdzie straci tę sposobność, ale czy to mądry pomysł?

Zirytowana własnym niezdecydowaniem, odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Kiedy pod bosymi stopami poczuła zimne płyty posadzki, szybko otrząsnęła się z resztek senności. Skulona zaczęła rozpalać ogień. Kiedy żywo zamigotał, rzuciła okiem na bagaże i stwierdziła, że Kate pod wieloma względami jest istnym utrapieniem, ale jako służąca nie ma sobie równych.

- Kate, czas wstawać! - zawołała. - Mamy jeszcze mnóstwo do roboty przed odjazdem!

Zużyła resztkę zimnej wody, usiłując umyć twarz. Przydałoby się jej więcej, i to cieplej, żeby dokończyć toaletę, zawołała więc ku służącej:

- Kate, proszę cię, wstań wreszcie!

Czekała niecierpliwie z pustym dzbankiem w ręce, lecz Kate nawet nie uniosła głowy znad poduszki.

Zaniepokojona Harriet podeszła bliżej. Służąca leżała bez ruchu, wydając dziwne, chrapliwe dźwięki. Miała nienaturalnie bladą skórę i szczękała zębami. Harriet dotknęła dłonią jej czoła. Było rozpalone od gorączki.

Służąca wydała głuchy jęk i usiłowała zrzucić z siebie kołdrę. Dobry Boże! Kate była ciężko chora. Zdjęta przerażeniem Harriet pobiegła po pomoc.

## 8

Harriet bez tchu wpadła do jadalni. Ku swojej konsternacji zastała ją pustą, bez śladu Wainwrighta czy śniadania. Może już je zjadł i poszedł sobie, a może dopiero wstawał. Przybyła albo za wcześnie, albo za późno.

Pełna desperacji przebiegła szybko wzdłuż całego pokoju, szukając drugiego wyjścia. Nie było go wcale. Odwróciła się więc na pięcie i popędziła ku tym samym drzwiom, którymi weszła. Potem się zatrzymała. Zaczepnęła gwałtownie tchu raz i drugi.

Gdzie teraz ma iść? Usiłując się skoncentrować, niemalże nie zauważyła niesionej przeciągiem woni, póki nie odetchnęła ponownie. Śniadanie! Skoro pachnie tu jedzeniem, muszą je przecież gdzieś gotować! Bez wahania ruszyła w tamtą stronę, chcąc jak najprędzej znaleźć źródło zapachów, a także kucharkę.

Udało się jej. Kuchnia okazała się przepastną salą, rozległą i wydłużoną, z wysokim, kamiennym sklepieniem. Było w niej kilka palenisk, garnki, dwa piece i cztery długie stoły na kozłach. Z pułapu zwisały pęki suszonych ziół, w kątach stało pełno koszyków z warzywami, na ławie leżała świeżo ubita zwierzyna. Gdy tylko przestąpiła próg, wszystkie jej przypuszczenia, że w zamku brakuje służby, szybko się rozwiały.

W kuchni wręcz się roiło od służących, gdyż sądząc z odzienia i manier, ludzie ci nie mogli być nikim innym. Siedzieli sobie wygodnie, jedząc, pijąc i gadając między sobą, całkiem jakby trwała tam właśnie jakaś biesiada. Był to zdumiewający kontrast z ponurą i zapuszczoną resztą zamku.

Nikt się nie przejął nagłym i niespodziewanym wtargnięciem Harriet, zupełnie jakby zatopieni w rozmowie ludzie wcale jej nie zauważyli. Na szczęście jedną z osób zdołała rozpoznać.

- Och, pani Mullins! Trzeba natychmiast posłać po lekarza! Harriet podbiegła bliżej. Moja służąca zachorowała!

Pani Mullins odwróciła się powoli ku niej. Kilkakrotnie przenosiła wzrok z twarzy Harriet na jej stopy, nim wreszcie parsknęła wzgardliwie, tonem godnym arystokratycznej wdowy.

- A cóżeś ty hysia dostała, *lass* \*/\* *lass* dziewczyno (przyp. tłum.), żeby latać po zamku w samy koszuli, jakby czart za tobą gnał? W łepiecie ci się pomieszało czy co?

- Proszę o pomoc! Przerażona Harriet niewiele pojęła z uszczypliwej reprimendy gospodyni. Gwar naokoło zaczął jednak stopniowo cichnąć, aż w końcu zapadła cisza. Harriet nie musiała się rozglądać, żeby zrozumieć, że wszyscy na nią patrzą.

Spojrzała w dół. Dobry Boże! Nic dziwnego, że się na nią gapią jak na wariatkę. Boso, z włosami w nieładzie, stoi w nocnej koszuli pośrodku kuchni pełnej ludzi! Nie zarzuciła niczego na siebie, żeby zachować odrobinę godności.

Chcąc jak najprędzej pomóc Kate, przybiegła tutaj w bieliźnie! Skóra na niej ścierpła z zażenowania, lecz nie była to odpowiednia chwila, żeby się użalać nad sobą. Kate zachorowała i potrzebowała lekarza. A choć strój Harriet okazał się krańcowo niestosowny, to przynajmniej okrywał ją całą, z pewnością o wiele dokładniej niż wspaniała suknia wczoraj wieczór.

Zwróciła się znów do pani Mullins, unosząc energicznie podbródek.

- Trzeba natychmiast wezwać lekarza!

Gospodyni skrzywiła się, lecz nim zdołała wypowiedzieć kolejną kąśliwą uwagę, do kuchni wszedł Wainwright. Widocznie ktoś ze służby miał tyle przytomności umysłu, żeby wezwać swego pana. - Co się tu dzieje?

Obydwie spojrzały na niego jednocześnie. Harriet czuła jego wzrok na sobie, ale Wainwright ani słowem nie skomentował jej stroju. Była mu szczerze wdzięczna za tę powściągliwość. Chwyciła się za rozczochraną głowę.

- Niech pan zaraz pójdzie ze mną! Coś się stało Kate!

- Kate?

- Mojej służącej! Ma okropną gorączkę. Boję się, że to coś groźnego. Koniecznie trzeba wezwać lekarza! Wainwright podszedł do niej i mocno ujął ją za rękę.

- Doceniam pani troskliwość, ale może to tylko zwykłe przeziębienie. Nie należy od razu wpadać w panikę.

Harriet już otwierała usta, chcąc wyniośle dać mu do zrozumienia, że potrafi odróżnić ciężką chorobę od przeziębienia, lecz uścisk palców na ramieniu powstrzymał ją. Powiodła wzrokiem po kuchni. Ujrzała zaniepokojone twarze wpatrzone w nią z najwyższą uwagą. Zrozumiała milczące ostrzeżenie.

- Przepraszam, nie chciałam nikogo przestraszyć powiedziała głośno, chcąc, żeby każdy ją usłyszał. Potem ze zwieszoną głową szepnęła do niego: Kate ciężko zachorowała. Niech pan jak najprędzej pośle po pomoc! - Zajmę się tym.

- Dziękuję.

Odwróciła się i wybiegła z kuchni, licząc na to, że w słabym świetle nie ujrzą jej ciała prześwitującego przez cienką bawełnianą koszulę.

W sypialni Kate nadal leżała rozpalona i bez przytomności. Harriet ubrała się pospiesznie,

narzucając na siebie strój podróżny, choć dobrze wiedziała, że dzisiaj stąd nie wyjedzie. Po prostu najłatwiej było go znaleźć. Porządkowała pokój, nie mogąc usiedzieć bezczynnie. Zaczęła też rozpakowywać bagaże, lecz marnowanie ciężkiej pracy Kate wywołało w niej poczucie winy. Bóg jeden wie, kiedy służąca znów będzie zdolna do takiego wysiłku.

Pukanie do drzwi przerwało jej chaotyczne rozmyślenia. Wolałaby wprawdzie ujrzeć lekarza, ale widok Wainwrighta wcale nie sprawił jej przykrości.

- Wysłałem Douglasa po medyka, lecz zanim tu przybędzie, minie kilka godzin. Mieszka daleko stąd, a deszcz na pewno mu przeszkodzi.

- Wcale się go prędko nie spodziewałam. - Zmarszczyła czoło. - Chyba byłoby jej wygodniej w moim łóżku, ale brak mi siły, żeby ją tam przenieść.

- Ja to zrobię. Nachylił się nad niskim, skromnym posłaniem, gdzie służącą nieustannie wstrząsał kaszel. Gdy na nią spojrzął, twarz mu się gwałtownie zmieniła.

Harriet podeszła bliżej.

- Chyba się jej bardzo pogorszyło! Wzruszył bezradnie ramionami.

- Dopiero teraz mogę się jej lepiej przyjrzeć, ale widzę, że jest blada i ma wysoką gorączkę. To dobry pomysł, przeniosą ją.

Harriet rozsunęła zasłony łoża, nie dbając o to, że uniósł się z nich obłok kurzu. Ciężka tkanina osłoni Kate przed przeciągami. Odrzuciła kołdry, zła, że nie przyszło jej wcześniej na myśl ogrzanie posłania szkandela.

Wainwright jednym energicznym ruchem wziął służącą na ręce. Na chwilę jakby się zawahał, lecz potem przeniósł ją przez cały pokój. Harriet okryła Kate stertą kołder.

Wyciągnięta na wielkim łożu służąca była blada i nie dawała znaku życia, Harriet poczuła, że strach ścisła jej gardło.

- Czy to jakaś groźna choroba? szepnęła.

- Być może. Tylko raz widziałem chorego w takiej gorączce.

- Co się z nim stało?

- Zmarł. Harriet milczała. Zaskoczyło ją, że Wainwright wypowiedział te słowa z przejęciem. Kim mogła być tajemnicza osoba, której cierpienia tak nim wstrząsnęły?

- Proszę mi wybaczyć, panno Sainthill. Poczula jego dłoń na ramieniu. - Nie zamierzałem sugerować, że Kate może spotkać podobny los.

- Rozumiem. Cenię sobie pańską szczerłość, ale czuję się bezradna. Zagryzła wargi, bo coś zaczęło dławić ją w krtani.

- Możemy tylko czekać na lekarza i modlić się, żeby zdołał ją wyleczyć. Chyba nic więcej?

- Nie wiem. Może dać jej herbaty? Podobno pomaga w chorobach.

- Zaraz każę jej przynieść. - Podeszedł do drzwi. Harriet nadal klęczała przy Kate. - Kiedy tylko zjawi się lekarz, natychmiast go tu przyślę. Gdyby mnie pani potrzebowała, będę w bibliotece.

Podziękowała skinieniem głowy. Czas upływał powoli. Czekwała. Przemierzała pokój wzdłuż i w szerz, a potem znów czekała, siedząc bez ruchu. Słudzy, lękając się zarazy, którą przywlokła ze sobą *Sassenach woman*, jak nazywali Angielki, odmówili wchodzenia do sypialni. Stawiali tacę z jedzeniem za drzwiami, a potem umykali, zanim zdążyła je otworzyć.

Kiedy nie krążyła po pokoju, siadała przy Kate, ocierając jej twarz zwilżoną chusteczką. Uspokajało to chorą, ale tylko na krótko. Po chwili znów zaczynała się miotać i jęczeć w malignie.

Wreszcie zjawił się lekarz. Wainwright, zgodnie z obietnicą, przyprowadził do sypialni i

przedstawił jej pana MacLeoda. Korpulentny jegomość ze szpakowatymi bokobrodami i życzliwym spojrzeniem nawet nie zdjął zabłoconego kapelusza i poplamionego płaszcza podróżnego. Harriet szczerze wzruszyła ta gorliwość.

- Pan Wainwright mówił mi, że ktoś ze służby zachorował. Jakie są objawy?

- Gorączka, dreszcze, maligna. Raz trzęsie się z zimna i błaga, żeby ją przykryć, a raz odrzuca kołdry i narzeka na gorąco. - Harriet westchnęła i potarła palcem czoło między brwiami. Chyba się jej pogorszyło od rana.

- Hm, hm. - Doktor pokiwał głową z powagą, a potem zdjął wreszcie kapelusz i palto.

- A czy pani dobrze się czuje? Wainwright stanął przy niej.

- Boli mnie głowa.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Może zaraziła się pani od niej?

- Nigdy nie choruję. - Harriet energicznie potarła skronie, usiłując złagodzić dotkliwy ból, ale poniechała tego, widząc, że Wainwright przypatruje się jej uważnie.

- Nic mi nie jest. Zmęczyłam się tylko i prawie nie spałam tej nocy. Pewnie stąd ten ból.

- Mimo to chciałbym, żeby pan MacLeod zbadał i panią. Zirytowana Harriet machnęła ręką, uważając jego niepokój za zbyt uczynny, ale mimo wszystko poczuła wdzięczność. Jeszcze żaden mężczyzna nie okazał jej tyle troski.

- No, teraz spróbujemy pani ulżyć, zacna kobieto. - MacLeod, podchodząc do łóżka, zatoczył się i o mało nie upadł na chorą.

- Ależ on jest pijany! krzyknęła zgorszona Harriet. Silna woń trunku sprawiła, że musiała się cofnąć.

- Myślałem, że pani nie zauważy. - Lekarz był mocno zakłopotany.

- Przecież to niemożliwe!

- Tylko bez obaw! Jestem dyplomowanym absolwentem Kolegium Chirurgicznego w Edynburgu. No, prawie dyplomowanym... MacLeod z niejakim wysiłkiem usiłował utrzymać się na nogach. Wąsy mu się zjeżyły, na wargi wypełził niewyraźny uśmiech. - Dobrze wiem, jak się obchodzić z chorymi. Toż robię to od dwudziestu lat! I nie wstydzę się powiedzieć, że wielu z moich pacjentów pierwszorzędnie wyzdrowiało!

Harriet odciągnęła Wainwrighta w kąt, choć wątpiła, czy lekarz byłby w stanie ją podsłuchać.

- Prosiłam o pomoc. Co pan najlepszego zrobił?

- Prawda, sam bym go do siebie nie wezwał przez twarz Wainwrighta przemknął cień ale to niestety jedyna osoba z wykształceniem medycznym w okolicy. Chyba nie mamy wyboru.

- Prędzej ją uśmierci, niż wyleczy!

Wainwright westchnął i przejechał dłonią po i tak już rozwichrzonych włosach.

- Obydwoje wiemy, że Kate jest ciężko chora i pilnie potrzebuje lekarza. Pozwoli pani, żeby ją zbadał, czy nie? A może woli pani zająć się nią sama? Przecież to pani służąca, nie moja. Proszę się zdecydować.

- Niech ją zbada, ale w mojej obecności - rozstrzygnęła w końcu. - Nie zgodzę się jednak na żaden lek, póki należycie nie wyjaśni, jaki to medykament.

Wainwright skinął głową i zwrócił się do MacLeoda:

- Proszę robić, co należy, byle ostrożnie.

Lekarz ze zwieszoną głową stanął przy łóżku. Wyciągnął z torby kilka buteleczek, odkorkował je,

powąchał, a potem ustawił kilka z nich na stoliku nocnym.

- Proszę o miskę, wodę, czyste płótno i butelkę najlepszej szkockiej whisky.

- Ależ ona od rana wypila tylko parę łyków słabej herbaty. Nie zniesie żadnego alkoholu, jestem pewna!

Lekarz odwrócił się ku niej z przyjaznym uśmiechem.

- W porządku. Pacjentowi w ostrym stanie wolno podać trochę płynu razem z odpowiednim lekarstwem. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i mrugnął okiem. Whisky będzie dla mnie. Na wzmocnienie nerwów.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Harriet wybuchnęłaby śmiechem.

- Proszę mi przyrzec, że nie wypije pan ani kropelki, póki moja służąca nie wróci do zdrowia.

MacLeod wydawał się urażony tą uwagą. Podeszedł do łoża, powłócząc nogami, niczym nadąsane dziecko, i nachylił się nad chorą. Kiedy skończył badanie, sporządził z ziół mieszankę o przykrej woni i dodał do niej nieco wody, po którą posłał Wainwright.

- Pacjentka musi przyjmować przynajmniej dwie pełne łyżki tego leku co cztery godziny - oznajmił.

- Co to takiego?

- Specjalne lekarstwo, które pozwoli jej zasnąć, oczyści nerki i zmniejszy gorączkę.

- Po prostu cudowny środek - mruknął sarkastycznie Wainwright. Lekarz nie obraził się, wręcz przeciwnie, z uśmiechem przytaknął, jakby poczytywał sobie te słowa za pochwałę.

- Jeśli choć połowa tego odpowiada prawdzie, lek na pewno jej pomoże. - Harriet wzięła się pod boki. - Ale żebym się całkowicie pozbyła obaw, niech pan sam przyjmie dozę tego cudownego eliksiru, nim zażyje go moja służąca.

- Co takiego? - Doktor z lękiem zakrył usta.

Harriet pozwoliła sobie na lekki uśmieszek, rada, że zapijaczony medyk zrozumiał ją, jak należy.

- Musi pan sam to wcześniej zażyć i tyle.

- Przecież ja jestem zdrowy!

Harriet nie przejęła się ani trochę jego protestem. MacLeod przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem, jakby rozważał w myśli jej słowa. Wreszcie z gestem rezygnacji szybko przełknął całą łyżkę leku, wykrzywiając się przy tym pociesznie, ale nie wypluł go.

W miksturze nie było więc niczego, co mogłoby zaszkodzić Kate. Harriet kiwnęła głową z aprobatą. Trzeba jednak było połączonych wysiłków wszystkich trojga, żeby wlać zbawczy środek w gardło służącej. Harriet opadła potem na krzesło, zastanawiając się, czy zdoła należycie czuwać nad Kate przez okrągłą dobę.

Nie miała jednak wyboru. MacLeod wyjaśnił jeszcze kilka rzeczy i odszedł. Harriet doglądała więc Kate przez cały kolejny dzień i noc, usiłując wmusić w nią przepisaną dozę leku i trochę wody. Kładła jej chłodne kompresy na czoło, gdy służąca zrywała z siebie koce, i okrywała ją stertą kołder, gdy wstrząsały nią dreszcze.

MacLeod przyszedł z kolejną wizytą następnego ranka. Najgorsze obawy Harriet się potwierdziły. To była ostra influenza, a terapia prawie nie pomagała. Lekarz sporządził nową ziołową mieszankę, lecz nadzieje Harriet słabły.

Wyczerpana, zniechęcona i przerażona mimo wszystko podwoiła wysiłki. Kate nie mogła umrzeć! Choć służąca nigdy nie budziła w niej żywej sympatii, myśl o utracie osoby, za którą była odpowiedzialna, ciążyła jej na duszy.

Stukanie do drzwi oznaczało, że przyniesiono obiad. Harriet z ciężkim sercem wniosła tacę do pokoju, żalując, że służący odszedł tak prędko. Przez blisko dwa dni nie widziała nikogo poza MacLeodem i Wainwrightem, a ich wizyty były krótkie.

Kate nieustannie przewracała się z boku na bok. Harriet zamknęła drzwi i postawiła tacę przy łóżku. Nie miała ochoty na obiad. Zje go później, kiedy Kate nieco się polepszy. Okryła wstrząsaną dreszczami chorą dwoma kocami, wkładając brzegi głęboko pod materac, żeby Kate, miotając się w gorączce, nie wypadła z łóżka. Służąca wymamrotała coś w malignie, ale nie mogła jej zrozumieć.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Harriet. Wciąż do niej mówiła. Częściowo w nadziei, że sam dźwięk czyjegoś głosu uspokoi Kate, ale też po to, by samej nie popaść w odrętwienie. - Może napijesz się wody? Usta i gardło będą cię mniej piekły.

Harriet uniosła Kate do pozycji siedzącej i przysunęła jej filiżankę do warg, ale ta odtrąciła naczynie i woda wylała się jej na rękę.

- W porządku, nie będę już więcej dawać ci wody. Może później. Harriet starła krople z sukni. Dobrze, że prysnęły na nią, a nie na łóżko.

Nie potrafiłaby zmienić przemoczonej pościeli, skoro Kate tak się rzuca. A służba nadal nie chciała wchodzić do pokoju.

Chętnie poprosiłaby o pomoc Wainwrighta. Myśl o tym wcale nie była przykra, Harriet rozumiała, że zrobiłaby to bez wahania.

Usłyszała jakiś ruch za drzwiami i odgłos kroków. Ktoś się zbliżał.

- Jakże ma się Kate? - spytał Wainwright, wchodząc do pokoju.

- Nie gorzej niż rano. Dwukrotnie dałam jej lekarstwo, ale chyba niewiele pomogło.

Stał przy niej w milczeniu i z uwagą przyjrzał się chorej.

- Na pewno opiekuje się nią pani z oddaniem, ale teraz trzeba odpocząć, panno Sainthill. Kazałem posprzątać i wywietrzyć sypialnię na dole, tak żeby mogła tam pani spać wygodnie, całkiem sama.

- Nie mogę zostawić Kate. Jest zbyt słaba. Harriet wspięła się na czubki palców i wygięła plecy w łuk, usiłując ulżyć napiętym mięśniom. - Odpocznę, kiedy jej spadnie gorączka.

- To może potrwać wiele godzin, a nawet dni. Będzie pani ledwie żywa ze zmęczenia.

- Ależ ja się dobrze czuję.

- Choroba Kate nie jest pani winą.

- Jak pan... Harriet ugryzła się w język, potem westchnęła ciężko. - To moja służąca i moja wina. Nie powinnam była zabierać leciwej kobiety w męczącą podróż ani pozwalać, żeby spała na samym sienniku. Posadzka jest przecież zimna i ciągnie od niej wilgocią. Pewnie dlatego się przeziębila.

- Wątpię. Kiedy tu przybyłem, spałem w gorszych warunkach, a nie zachorowałem. Skoro jednak nie da się pani przekonać, zostanę tutaj i będę czuwał nad Kate, a pani prześpi się w jednym z foteli.

- To bardzo niestosowne przebywać w zamkniętej sypialni razem ze mną, w dodatku przez długi czas.

- Chyba może sobie pani darować troskę o zachowanie pozorów, panno Sainthill. Nie, Harriet. Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd Kate zachorowała. Znów ją uderzyło, jak bardzo jest przystojny - i życzliwy.

- Nie pozwoliłam panu zwracać się do mnie po imieniu.

Cóż, zrobiłem tak, nie pytając o zgodę. - Znów to aroganckie spojrzenie z ukosa! W końcu przyjdzie nam spać razem. - Jak pan śmie! - Krew uderzyła jej do głowy.

- Niechże pani będzie rozsądna. Już próbowałem zapłacić kilku młodszym służącym za pielęgnowanie Kate, ale wszystkie boją się zarazić. Mógłbym je zmusić, tylko że nie byłoby to uczciwe ani wobec nich, ani wobec Kate.

Harriet westchnęła ciężko.

- Ma pan rację. Wątpię, by ją należycie pielęgnował ktoś, kto się boi przebywać z nią w jednym pokoju.

- Właśnie. Niechże się pani prześpi przez kilka godzin albo będziemy się tu musieli troszczyć o dwie chore kobiety. - Oczy znów błysnęły mu złośliwie. - Prócz tego już za późno, by się martwić o pozory, skoro przyszło mi panią oglądać w nocnej koszuli.

Serce zabiło jej gwałtownie, kiedy się do niej uśmiechnął. Czując, że musi jakoś kontrolować sytuację, spojrzała na niego z wyrzutem, lecz nie dało to większego rezultatu. Zrozumiała, że jest zbyt zmęczona na kłótnię, i pozwoliła mu się zanieść na wyściełany fotel. Usiadła w nim, podwijając nogi, a potem skuliła się w kłębek i okryła przyniesionymi przez niego kocami.

- Wobec pańskich nalegań prześpię się nieco - powiedziała sennie. - Ale proszę mi obiecać, że zbudzi mnie pan, jeśli jej się pogorszy. - Obiecuję. Podał jej pękata poduszkę.

Kiedy tylko przyłożyła do niej głowę, poczuła, że oczy się jej zamykają. Ostatnią zapamiętaną rzeczą był widok jego budzącej zaufanie przystojnej twarzy. Poczuła się bezpiecznie.

Zbudziło ją donośne chrapanie i towarzyszące mu posapywanie. Jedno i drugie było męczące i zarazem dobrze jej znane. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego te dźwięki wydają się jej też... kojące.

Otworzyła oczy. Pokój zalany był słońcem, po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała. Wainwright leżał, w bardzo nieeleganckiej pozie, na fotelu przysuniętym do łóżka Kate. Zdjął surdut i fular z szyi, koszulę miał rozpiętą na piersi, a rękawy podwinięte do łokci.

Najbardziej ją jednak zaskoczył widok jego nogi w samej pończosze, wspartej o krawędź łóżka. W tym niedbałym stroju wyglądał nieco śmiesznie. Uniosła głowę, szukając wzrokiem Kate. To ona chrapała tak głośno. Harriet pełna nadziei podbiegła do łóżka.

Służąca wciąż leżała na wznak, ale rysy miała o wiele mniej ściągnięte. Harriet ostrożnie dotknęła jej czoła. Było nieco spocone, ale na szczęście chłodne.

Nie powiedziała ani słowa, lecz Wainwright musiał wyczuć, że stała w pobliżu, bo otworzył oczy i spojrzał prosto na nią.

- Dobra wiadomość - powiedziała z uśmiechem. Kate już nie ma gorączki.

- Wiem. Kryzys przyszedł nad ranem. Zdjął stopę z krawędzi łóżka i wstał.

Brak mi wprawdzie doświadczenia pana MacLeoda, ale myślę, że najgorsze minęło i że teraz szybko wyzdrowieje.

Potem uniósł rękę, objął ją za szyję, przyciągnął do siebie i mocno, władczo pocałował.

9

Nathaniel wyczuł jej zaskoczenie, ale właśnie świętowali triumf nad chorobą, a on za wszelką cenę chciał wykorzystać każdą jego chwilę. Uniósł rękę i pogładził Harriet delikatnie po policzku.

- Dobrze jest wygrać ze śmiercią, prawda? spytał, muskając nozdrzami jej miękką skórę tuż pod uchem.

- Cudownie! - westchnęła. Przesunął rękami po jej plecach, talii i biodrach. - Już dosyć - upomniała go, choć w jej głosie brak było szczerego przekonania.

- Jeszcze chwilę.

- Jeśli pan zaraz nie przestanie, Kate ocknie się i zobaczy, co robimy.

- Taka jest niewinna? Zgorszyłyby ją nasze igraszki?

- Z wrażenia mogłaby dostać ataku serca i mielibyśmy wtedy dużo poważniejszy kłopot niż ten, który zdołaliśmy przezwyciężyć.

Uśmiechnął się, chociaż nie miał ochoty rezygnować. Zmagania z chorobą zbliżyły ich do siebie, potrafili już dobrodusznie żartować. Podobało mu się to.

- No, no - szepnął jej do ucha. Nie chce pani chyba, by Kate zbudził i przestraszył hałas?

Harriet odsunęła jego dłoń. Służąca jęknęła głośno, budząc się, i cały czar prysnął. Nathaniel z żalem wypuścił Harriet z objęć. Odsunęła rękę, którą chciał ją podtrzymać. Potem jednak, kiedy się odwróciła i rzuciła mu spojrzenie, dojrzał w nim błysk rozbawienia.

- Jak się czujesz, Kate? spytała, poprawiając okrycia na łóżku.

- Jakby cała armia Wellingtona przemaszerowała po moich starych gnatach jęknęła, unosząc z wolna powieki. Co się ze mną działo?

- Byłaś bardzo chora, miałaś dreszcze i wysoką gorączkę. Nie, nie próbuj siadać na łóżku, bo dostaniesz zawrotu głowy!

Podłożyła jej kilka strzepniętych poduszek pod plecy. Służąca usiłowała unieść się na łokciach.

- Naprawdę było ze mną tak źle?

- Twoja choroba trwała kilka dni - wyjaśniła Harriet, pomagając jej położyć się ponownie na wznak.

- Na szczęście panna Sainthill okazała się znakomitą pielęgniarką - odezwał się Nathaniel.

- To panienka mnie doglądała? - spytała z niedowierzaniem Kate.

- Tak, ja, a prócz mnie także pan Wainwright i tutejszy doktor. - Harriet nalala wody do szklanki i objęła Kate ramieniem. Służąca piła chciwie, a potem wyczerpana znów opadła na poduszki. Tyle że niezły z niego typek!

- To raczej szarlatan niż lekarz mruknął Nathaniel ale skoro cudem zdołał cię uratować, Kate, nie powinienem go chyba krytykować. Służąca zaskoczona zamrugła oczami.

- Czy mnie wzrok myli, czy naprawdę świeci słońce?

- Owszem odparła z uśmiechem Harriet aż trudno uwierzyć, że jesteśmy w Szkocji, prawda?

Kate, również z uśmiechem, skinęła głową. Harriet raz jeszcze poprawiła pościel. Uwagę jej zaprzętała teraz wyłącznie służąca, tak że Nathaniel mógł się jej przyglądać do woli. Miała na sobie ciemnozieloną suknię zapiętą pod szyję, ale dopasowany strój pozwalał dostrzec szczupłą talię i krągłe, bujne piersi. Mimo braku snu i trudów ostatnich kilku dni wyglądała pociągająco. Pasma ciemnych włosów spływały jej na ramiona, przesłaniając nieznacznie policzki.

Choć ciężka próba, jaką przeszła, budziła w nim współczucie, był też rad, że dzięki temu Harriet musiała zrezygnować z wyjazdu i zostanie pod jego dachem a także w jego towarzystwie jeszcze przez jakiś czas. Ale teraz, gdy stan Kate się poprawił, Harriet wkrótce go opuści. Dobrze, że nastąpi to dopiero za kilka dni. A może nawet dopiero za tydzień.

W pokoju rozległ się nagle głośny dźwięk.

- O, to dobry znak powiedział Nathaniel. Kate najwyraźniej zdrowieje, skoro wraca jej apetyt.

Harriet chrząknęła zmieszana.

- Przecież ona już zasnęła, to mnie burczy w brzuchu.

Była nieco zażenowana, tak jak przypuszczał. W końcu damy nie wspominają o potrzebach ciała w obecności dżentelmena. Ale ani się nie zaczerwieniła, ani nie odwróciła wzroku.



- Zejdę do kuchni.

- Nie trzeba. Nie tknęłam wczorajszego obiadu. Zupełnie mi wystarczy.

Zaciągnęła kotary łóżka i usiadła przy stoliku. Dopiero gdy Nathaniel spostrzegł, że nie zostawiła ani kęsa, zrozumiał, jak bardzo musiała być wygłodniała. Potrawy pichcone przez panią Mullins rzadko kiedy nadawały się do zjedzenia nawet wtedy, gdy były całkiem świeże.

- Może coś więcej? spytał. Jeśli poczeka pani parę minut, każę przyrządzić coś ciepłego.

Harriet starannie złożyła serwetkę i wstała.

- Chyba nie powinien mi pan wypominać, że mam zbyt duży apetyt. Raczej spodziewałabym się komplementów, że jadam tyle co ptaszek.

- Hm, zdaje mi się, że ten ptaszek okazał się istnym sępem!

Roześmiała się z całego serca, na co miał cichą nadzieję. Ileż w tej kobiecie tkwiło sprzeczności! Była pełna dumy, wyniosła, rygorystyczna, a jednak miała przewrotne, zabarwione autoironią poczucie humoru. Nathaniel znał aż za wiele godnych szacunku dam. Kiedy po raz pierwszy ją ujrzał, wydała mu się jedną z nich zarozumiałą panną z towarzystwa. Ale teraz odkrył, że ogromnie się różniła od tych samozwańczych wzorów cnoty!

Pielęgnowała, sama jedna, służącą podczas ciężkiej choroby, ryzykując własne zdrowie. Z natury była powściągliwa, ale bynajmniej nie zimna. Potrafiła być uparta cecha nie do przyjęcia u prawdziwej damy lecz łagodziła to inteligencją.

Z pozoru nie należała do kobiet zdolnych wzbudzać namiętność. Gdyby dane mu było spotkać się z nią gdzieś w towarzystwie, uznałby, że jest osobą nudną, zgorzkniałą, zarozumiałą, i z miejsca stałaby się mu zupełnie obojętna.

- Skoro nad Kate nie trzeba już czuwać przez całą dobę, moglibyśmy przenieść pani rzeczy do innej sypialni. Mówiłem już, że wczoraj kazałem przygotować pokój, ale nie chciała pani z niego skorzystać.

- Naprawdę posprzątał pan dla mnie pokój?

- Rzecz jasna nie własnoręcznie.

- Nie spodziewałabym się tego.

Nathaniel nie wiedział, czy powinien się roześmiać, czy zirytować.

- Z pewnością nie sprostą on pani wygórowanym wymaganiom, ale służące wymiotły przynajmniej pajęczyny, starły kurze i zmieniły pościel na czystą.

- Wygląda na to, że będzie mi tam o wiele wygodniej niż w mojej obecnej kwaterze.

Z trudem zapanował nad wyrazem twarzy, nękanym poczuciem winy. Wcześniej uważał swoje postępowanie za uzasadnione, lecz teraz czuł, że zachował się wobec niej po grubiańsku, każąc jej mieszkać w tak niestosownych warunkach.

- Czy nie chce pani obejrzeć nowej sypialni? - Przekonałaby się w ten sposób, że tym razem naprawdę zadbał o jej wygodę.

- To chyba zbędne. Jeśli przeniesie pan tam mój sakwojaż, rozpakują się, jak tylko pan MacLeod zbada Kate. Spodziewam się go za jakąś godzinę.

- Znakomicie. Jestem ciekaw tego, co powie. Gdy lekarz już skończy, niech pani do mnie przyjdzie, będę w bibliotece. Proszę wziąć płaszcz i czepek.

Sakwojaż był cięższy, niż się spodziewał, ale duma nie pozwoliła mu tego okazać. Nie minęła godzina, a przyszła do biblioteki, z płaszczem i czepkiem, jak zażądał. Zadowolony, otulił ją ciepłym paltem i czekał cierpliwie, póki nie zawiązała wstążek czepka, a potem podał jej ramię.

- Gdzie idziemy? - spytała.

- Do ogrodu, odetchnąć świeżym powietrzem.

Przeprowadził ją przez wielką bramę na dziedziniec. Wiosna jeszcze nie zawitała do Highlands, ale koło różanych rabat z ziemi wyzierały już zielone kiełki. Widać było, że o ogród od dawna nikt nie dbał, podobnie jak i o resztę zamku. Zachwaszczony i zdziczały, porośnięty był kępami wrzosu i lawendy od strony północnej, lecz gdyby mu poświęcono więcej starań, z powrotem mógłby się przeistoczyć w miejsce pełne kwiatów, aromatów i barw.

Główna, wysypana żwirem alejka wciąż jeszcze znajdowała się w dobrym stanie. Przeszli nią aż do samego krańca, gdzie nieoczekiwanie strome, skaliste wzgórze, niemal zupełnie pozbawione roślinności, prócz kilku zeschniętych krzaków uparcie czepiających się zbocza, ostro opadało w dół.

- Ach, tam jest wioska! - zawołała Harriet, podchodząc ku krawędzi. Kilka kilometrów niżej rozciągała się dolina rzeki, której szum dawał się słyszeć nawet tu, w ogrodzie na niedostępnym wzgórzu. Dzika, urwista, ale przepiękną dolinę ze wszystkich stron otaczały strzeliste turnie, górując majestatycznie nad osłanianą przez nie wioską.

Na polach licznych farm było niewiele zieleni, choć niektóre z nich niedawno zaorano. Grupki zabudowań i pojedyncze domki stały rozrzucone tu i ówdzie, a całemu widokowi dodawały sielskiego uroku łąki, na których pasły się owce.

- Zupełnie jakbyśmy cofnęli się w czasie powiedział Nathaniel - wszystko tu jest takie dzikie.

- Przypomina jednak angielską wieś. - Harriet uśmiechnęła się z lekką ironią. - Natura jest tu może bardziej nieokiełznana, no i brak starannie utrzymanych żywopłotów z bukszpanu, dumy angielskich farmerów.

- Większość życia spędziłem w Londynie i bardzo rzadko bywałem na wsi - odparł bez zastanowienia. - Owszem, w Anglii jest podobnie.

Omam nie zaklął na głos. Ty idioto! zwymyślał się w duchu. Towarzystwo Harriet i piękno natury sprawiło, że o mało się nie wygadał.

Czekał na jej reakcję, ale jeśli zaintrygowały ją jego słowa, nie dała tego poznać po sobie. Przyglądali się dolinie przez dłuższą chwilę. Harriet wyglądała na oczarowaną pięknem przyrody, ale dobry nastrój Nathaniela prysł. Później, gdy strach przestał już ścisnąć go za gardło, uniósł wzrok. Gęste chmury, które płynęły po niebie, zakryły w końcu słońce.

- Kiedy nie ma słońca, wiatr staje się bardzo przenikliwy - odezwała się Harriet.

- Wracamy?

- Zostańmy jeszcze chwilę. Poprawiła spódnicę i ściślej owinęła się płaszczem. Ale niech pan przeze mnie nie marznie. Trafie z powrotem do domu.

Rozejrzał się po ogrodzie i dojrzał ławkę pod zewnętrzną ścianą zamku. Wiatr tam nie docierał. Zaprowadził Harriet do zakątka i poczekał, aż usiądzie. Z początku chciał zająć miejsce tuż przy niej, tak blisko, jak tylko się da, tak żeby zetknęli się biodrami. Nie zrobił tego jednak, postawił jedynie nogę na twardej ławie i objął Harriet ramieniem. Gdy się nachylił, ich twarze dzieliło od siebie zaledwie kilkanaście centymetrów. Spojrzała na niego nieufnie, ale się nie cofnęła.

- Co powiedział MacLeod po zbadaniu służącej? Czy uznał jej stan za dobry?

- Orzekł, że za jakiś tydzień całkowicie wyzdrowieje.

- Czy można ufać jego diagnozie? Tego typu dolegliwości bywają podstępne i mogą powrócić zupełnie niespodziewanie, zwłaszcza u kogoś w wieku Kate.

- Wprawdzie pan MacLeod zrobił na początku nie najlepsze wrażenie Harriet uśmiechnęła się

pobłażliwie ale potem dowiedział swojej wartości. Nie powinniśmy osądzać go zbyt surowo, nawet jeżeli jest tylko „prawie” absolwentem Królewskiego Kolegium Chirurgicznego w Edynburgu. Obydwoje wybuchnęli śmiechem. Poza tym - ciągnęła - w razie choroby nie znajdzie pan w pobliżu żadnego innego lekarza, lepiej więc być z nim w dobrych stosunkach.

Nathaniel się wzdrygnął. Nigdy nie przypuszczał, że on sam mógłby potrzebować pomocy MacLeoda. A dzieci? Niech Bóg broni, by któreś z nich nagle zachorowało! Spojrzał w niebo, usiłując opanować nagły przyływ strachu.

Cóż on by począł z chorym dzieckiem? A jeśli byłaby to jakaś poważna dolegliwość? Służba odmówiła pomocy Kate, bojąc się zarażenia. Czy odmówiłaby jej również cierpiącemu dziecku? To okropne!

Już sama myśl, że coś złego mogłoby się przytrafić jego bratankom, była przerażająca. Podobnie jak to robił wcześniej - aż za często zaczął wątpić w trafność swoich planów. Żeby się powiodły, dzieci musiałyby pozostawać w ukryciu aż do chwili, kiedy ostatecznie dojdzie do porozumienia z stryjem. Hillsdale Castle idealnie nadawał się do tego celu. Niestety fakt, że zamek leżał tak daleko od cywilizacji, mógł być przyczyną poważnych kłopotów. Dowiodła tego choroba Kate. Poza tym w tej kryjówce dzieci zmuszone by były wieść niewesołe życie. Czy nie istniało lepsze rozwiązanie?

- Pani rada jest rozumna. Wezmę ją sobie do serca i będę się starał za wszelką cenę pozostawać z nim w dobrych stosunkach.

- Mogę chyba panu zdradzić, że Kate jest najwyraźniej tego samego zdania. Chociaż zna go od niedawna, mam wrażenie, że się w nim zakochała.

- W MacLeodzie? Pani żartuje!

- Kiedy wyszedł z pokoju po kolejne ziołka i mikstury, domagała się, żebym pomogła jej włożyć czystą koszulę, nim wróci, i uczesać się, żeby nie wyglądała brzydko i niechlujnie.

- Naprawdę?

Jak najbardziej. A robiła to tak energicznie, że jestem pewna, iż wyzdrowieje. Jeszcze bardziej wymowna okazała się jednak jego wypięta pierś i wspaniałe maniery, gdy wrócił i zobaczył, że się przebrała. Pewnie odwzajemnia jej uczucia.

- W jego wieku?

Harriet zajrzała mu w oczy z rozbawieniem.

- Moja niania ogromnie lubiła irlandzkie porzekadła, zwłaszcza jedno z nich: „Do każdej pończochy pasuje jakiś stary bucior”. To chyba właśnie taki przypadek.

A co z nami? Czy i my jesteśmy starą pończochą i buciosem? Nathaniel nie pojmował, skąd wzięły się w jego głowie podobne myśli ani dlaczego tak go intrygują. Nie był mężczyzną odpowiednim dla Harriet Sainthill, choć wiele z tego, co zdarzyło się ostatnio, mogło świadczyć, że ona była odpowiednią kobietą dla niego.

Ale jakże miał zabiegać o jej względy, skoro zataił przed nią wszystko, nawet swoją tożsamość? Zawiodła się już boleśnie na narzeczonym. Jeśli pozna prawdę, będzie oburzona, a przecież on za nic nie chciałby jej sprawić kolejnego zawodu. Nigdy nie wybaczyłaby mu tego drugiego z kolei rozczarowania.

- Skoro Kate wydobrzeje dopiero za jakiś czas, będziemy zmuszone korzystać z pańskiej gościny jeszcze przez kilka dni. - Harriet spojrzała na niego spod czepka. Chyba nie ma w tym nic niestosownego?

- Będzie mi niezwykle miło cieszyć się pani towarzystwem. - Grzecznościowa odpowiedź godna

była każdego szanującego się rozpustnika, lecz Nathaniel zdał sobie nagle sprawę, że mówi szczerą prawdę. Żeby to podkreślić, powiódł palcem wzdłuż jej policzka, gładkiego jak aksamit. A jeszcze milej będzie panią pocałować.

- Nie byłoby to zbyt mądre. Niestosownych uścisków i pocałunków wymieniliśmy już dziś o wiele za dużo.

- Ile razy dziennie można się całować? Tylko jeden? Czy rządzą tym jakieś reguły?

Wyglądała, jakby chciało jej się śmiać, lecz nagle zmarszczyła brwi tak mocno, że utworzyły jedną nieprzerwaną linię.

- Reguła, skoro to pana interesuje, mówi: ani razu. - Skorzystała z tego, że znajdował się tak blisko i pochylał nad nią głowę, żeby dodać: - Tylko że ja, niestety, nigdy nie potrafiłam stosować się do reguł.

To była wspaniała okazja, żeby ją pocałować, ale Nathaniel nie zrobił z niej użytku. Opanował się. Zdjął nogę z ławki, wyprostował się, ujął dłoń Harriet i złożył na niej pocałunek. Wsunęła ją delikatnym ruchem w jego rękę, a on chwycił ją mocno i przez chwilę zatrzymał w uścisku. - Stanie się według pani woli.

Drzwi zacisznego gabinetu otworzyły się i zamknęły, a przekręcana gałka powróciła na swoje miejsce. Duncan McTate uniósł wzrok znad stosu nudnej korespondencji, którą właśnie czytał, chcąc powitać niespodziewanego gościa. Nikogo jednak nie ujrzał. W pokoju rozległ się piskliwy chichot, a w ślad za nim nakazujący ciszę szept.

- Pewnie przyszły do mnie w odwiedziny jakieś dobre wróżki z mnóstwem niezwykłych słodyczy, bo na pewno nie jest to stary potwór z jeziora, który chce mnie zjeść na obiad powiedział donośnym głosem Duncan.

- Potwór?! pisnął cienki głosik.

- Cicho bądź, on tylko udaje! Stój spokojnie!

- Ach, znów coś słyszę, ale nikogo nie widzę mężczyzna nadal mówił tym samym, donośnym tonem - i nie wiem, czy to wróg, czy przyjaciel, czy też może trójka nieznośnych brzdąców wtargnęła w moje progi. Muszę sam się przekonać.

Duncan odsunął się od biurka i odchylił do tyłu w swoim fotelu, czekając, by stłumiony odgłos kroków zdradził mu kryjówkę dzieci. Gdy go usłyszał, powoli okrążył na czworakach masywne biurko i podpełzł tam, gdzie adamaszkowe kotary osłaniały okna oraz, bez wątpienia, dzieci. A że nie chciał ich przestraszyć, wydawał z siebie komiczne dźwięki wskazujące, iż właśnie się zbliża. Czuł, jak rośnie ich radość i podniecenie.

Drzwi znów się otworzyły.

- Och, milordzie... ale mnie pan przestraszył! - Służąca stanęła w progu, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Po chwili dygnęła kilka razy z rzędu. - Stokrotnie przepraszam, chyba panu przeszkodziłam...

Duncan z westchnieniem podniósł się i wyprostował.

- O co chodzi, Maggie?

- Ja... ee... miałam poszukać dzieci. Nie ma ich tu?

- Nie.

Po tej odpowiedzi zza kotary rozległy się pełne ożywienia szepty i jeszcze raz się uciszyły. Zdumiona Maggie podeszła krok bliżej, lecz Duncan ostrzegawczo uniósł dłoń, wskazał na zasłony i uśmiechnął się, sądząc, że młoda dziewczyna podzieli jego rozbawienie.

Ona jednak wyglądała na coraz bardziej zakłopotaną. Mężczyzna, w obawie, że zepsuje całą zabawę, gestem kazał jej odejść. Maggie głośno przełknęła ślinę i usłuchała go, rzucając mu przez ramię spłoszone spojrzenie.

No cóż, szkocki arystokrata przyłapany na czworakach pośrodku własnego gabinetu może chyba czuć się nieco zażenowany, ale czyżby na co dzień był aż tak srogi i ponury, że służba wytrzeszcza oczy, zastając go przy niewinnej zabawie? Czy to naprawdę szokująca niespodzianka?

Prawda, że nie był typem jowialnego żartownisia ani kimś, komu z natury odpowiada chaos czy nieład, a służba dobrze o tym wie, ale niespodziewany przyjazd dzieci zmienił jego doskonale uporządkowany i wzorowo funkcjonujący dom w istny cyrk.

Kiedy zgodził się gościć u siebie całą trójkę, nawet nie przypuszczał, że zdoła ona tak całkowicie zrujnować ustalone zwyczaje i wnieść ze sobą tyle bałaganu, zmian i hałasu. Dziwne jednak, że

wcale się tym nie przejął.

Dom stał się teraz pełen życia i radości, której mu od dawna brakowało. Coś wewnątrz Duncana kpiło sobie z tego nagłego uwielbienia dla rodzinnej atmosfery, ale też dobrze wiedział, dlaczego dzieci tak go cieszą. Miały u niego zostać na krótko, tylko do czasu, kiedy Nathaniel uzna, że w Hillsdale Castle wszystko jest już gotowe na ich przyjęcie.

A że prawie od dziesięciu lat jego noga tam nie postąpiła, wiedział, że porządki zabiorą przyjacielowi mnóstwo czasu.

Skoro zaś dzieci gościły u niego w Edynburgu, to czemu nie miał się dobrze bawić przy tej okazji? Przez ostatnich kilka miesięcy wiele wycierpiały. Powinny znów zaznać beztrudnego dzieciństwa. Zasługiwały na nią.

Duncan przestał się więc troszczyć o służącą i powrócił do zabawy. Za zielonym adamaszkiem coś się poruszyło. Zrozumiał, że dzieci nie szukały innej kryjówki, i ponownie stanął na czworakach. W tej pozycji mógł dostrzec trzy pary małych, obutych w domowe pantofelki stopek wyzierających spod ciężkiej tkaniny. Z triumfalnym okrzykiem wyciągnął rękę i mocno chwycił za najbliższą z nówek.

W pokoju rozległ się przenikliwy pisk, gdy bezsilna ofiara rozpaczliwie próbowała mu się wyrwać.

- A mam was! zawołał, pociągając za bucik.

- Złapał mnie! Ratunku! lamentowało dziecko, wierzgając przy próbie wyswobodzenia kostki.

- Nie martw się, zaraz cię uwolnimy!

Ale nawet dwie pary drobnych rączek nie mogły sobie poradzić z jego chwytem. Cała trójka nadal kulila się za kotarą i Duncan widział tylko ich nogi, ale wiedział, że złapał małego Gregory'ego. Siostry malca zmieniły taktykę i szarpały mocno zasłonę, próbując zrobić z niej rodzaj dźwigni. Duncan z uznaniem ocenił ich bystrość. Na wszelki wypadek spojrzał w górę, mając cichą nadzieję, że pręty wytrzymają.

- Nigdy nie wypuszczę z rąk tak smacznego kaska! krzyknął. - Myślę, że zjem cię na obiad! Odpowiedziała mu salwa śmiechu.

- My już jedliśmy obiad - rozległ się dziewczęcy głosik. Czy stryj Duncan wciąż jeszcze jest głodny?

- Nie, on się tylko z nami przekomarza wyjaśniła druga z sióstr.

- Och, co teraz zrobimy?

- Ruszemy na niego!

Był to błyskotliwy koncept, zuchwała strategia godna któregoś z generałów Wellingtona. Bez ostrzeżenia cała trójka wypadła zza kotary i rzuciła się ku niemu. Duncan próbował się wprawdzie cofnąć, ale napadnięto go zniemacka, a niewygodna pozycja na czworakach utrudniała walkę. Puścił więc swoją zdobycz, która z miejsca przyłączyła się do ataku. W ciągu kilku sekund został otoczony i przewrócony na plecy. W tej pozycji był zupełnie bezradny i cała trójka rażno wskoczyła na niego. Ze śmiechem zamknął ją w szerokim, potężnym uścisku. Przez chwilę dzieci próbowały mu się opierać, ale nie dały rady.

Duncan usiadł, ciężko dysząc. Zachwycona trójka malców otoczyła go kołem. Były już w nocnej bieliźnie. Duncan na ten widok uśmiechnął się niepewnie. Chyba nie powinien dokazywać razem z nimi tuż przed ich pójściem do łóżka.

Do licha, wcale nie powinien był tego robić, zwłaszcza z dziewczynkami! Należało je przecież

traktować jak młode damy - tylko że one wcale nie były damami i niekiedy potrafiły poczynić sobie z większą energią niż młodszy brat.

Z początku milczące i pełne rezerwy, szybko jednak zwłaszcza młodsza dwójka odżyły w przyjaznej atmosferze domu Duncana, hołubione przez całą służbę. Phoebe, najstarsza, potrzebowała więcej czasu, żeby poniechać obronnej postawy, lepiej też od młodszego rodzeństwa zrozumiała, że znajdują się w nieco osobliwej sytuacji.

Rzecz jasna tęskniła za nieobecnym stryjem, ale nigdy nie spytała otwarcie, gdzie on się podziewa ani kiedy do nich wróci. Duncan czuł jednak, że choć Phoebe go lubi, to w pełni ufa tylko Nathanielowi.

Chcąc rozproszyć jej obawy i smutek, zaczął o nim codziennie napomykać w rozmowach, udając, że się głowi, co też ich stryj może robić na północy Szkocji, i tłumacząc, jak świetnie się będą bawić, gdy wróci.

Z niemałą dumą przekonał się, że żadna kobieta, młoda czy stara, nie potrafi się oprzeć jego urokowi, jeżeli tylko on, McTate, należycie się postara. Jeanne Marie, jakby pragnęła temu przyświadczyć, wdrapała mu się na kolana i wsparła główkę w zagłębieniu jego ramienia.

- To była wspaniała zabawa, ale przestraszyłam się, kiedy powiedziałeś, że zjesz Gregory'ego. On także się przeląkł.

- Wcale nie!

Duncan pogładził Gregory'ego po włosach.

- Nic dziwnego, chłopcze, że bałeś się kogoś większego niż ty sam. Ale ja bym cię przenigdy nie zjadł w obawie przed bólem brzucha po połknięciu kogoś takiego!

- Straszny ból brzucha! - zachichotała Jeanne Marie.

- No, miło się bawiliśmy - ciągnął Duncan ale następnym razem zrobimy to gdzieś, gdzie będzie więcej miejsca na kryjówkę.

Cała trójka przytaknęła mu z entuzjazmem.

- Może pobawilibyśmy się tak ze stryjem Nathanielem wtrąciła Phoebe.

- Kiedy już będziemy razem z nim.

- Oczywiście. Duncan posłał jej łagodny uśmiech. Z pewnością spodoba mu się ta zabawa.

Wzruszył go widok jej uradowanej buzi. Chętnie gościł całą trójkę u siebie, ale wiedział, że im szybciej znajdą się z Nathanielem, tym lepiej dla nich.

- To był zakład, a nie zabawa wyjaśniła Jeanne Marie. Założyliśmy się, które z nas nie da się złapać. Gregory przegrał.

- Przecież wygrałem! zaprotestował malec. Wygrać miał ten, kto pierwszy zostanie złapany. Czyli ja!

- Właśnie że przegrałeś! - Jeanne Marie pokazała bratu język, żeby podkreślić swoją przewagę.

- Wygrałem! Gregory skrzyżował ręce na piersi, wykrzywiając usta w podkówkę. Duncan usiłował ukryć uśmiech. Chłopiec zapowiadał się na tyrana, który zawsze chce być górą. Skądinąd postawa w sam raz dla angielskiego księcia.

Duncan szybko się zorientował, że Gregory nie cierpi porażek. Z początku siostry ustępowały mu przez grzeczność, lecz w ciągu kilku ostatnich dni sytuacja uległa zmianie i nie spełniały już każdej jego zachcianki.

Duncan sądził, że przyczyniło się do tego jego postępowanie wobec chłopca. Jako dorosły czuł, że musi go skłonić, by podwoił wysiłki i osiągnął cel, zamiast podporządkowywać się żądaniom

dzieciaka. Trudna lekcja dla czterolatka.

Może jednak obchodził się z nim za surowo? Czy on też był w jego wieku rozhukany? Czy i jego nikt nie słuchał? Nie przypominał sobie. On, dziedzic klanu i przysły angielski książę, nigdy nie zaznał luksusu beztrudnego dzieciństwa. Podobnie jak Gregory, wcześniej stracił ojca, a później trudy i obowiązki właściwe jego urodzeniu oraz tytułowi przesłoniły wszystko inne. Ośmiolatkowi niełatwo było sobie z tym poradzić.

- Gregory, walczyłeś czysto i mężnie - odezwał się, biorąc go pod brodę i próbując się uśmiechnąć. - No, rzecz jasna pokonaliście mnie w końcu we trójkę.

- Następnym razem pójdzie nam szybciej obiecał chłopiec.

Rozległo się pukanie i przez uchylone drzwi wsunęła głowę gospodyni.

- Bogu dzięki, znalazłam was nareszcie! Mówiąc to, spojrzała z niemym wyrzutem na Duncana. Od dawna powinnyście leżeć w łóżkach! Niańki czekają, pospieszcie się.

- Nie chcemy jeszcze spać. Czy nie moglibyśmy zostać tu trochę dłużej? spytała Jeanne Marie. Cała trójka spojrzała błagalnie na Duncana.

Uśmiechnął się wprawdzie, ale niezbyt szczerze. Nic chciał odmawiać dzieciom, zwłaszcza że bez trudu mógł spełnić ich prośbę. Rzeczywiście nie było jeszcze zbyt późno.

- No, może by...

- Jazda do łóżek! przerwała mu energicznie gospodyni. Inaczej nie pozwolę wam jutro na żadne towarzystwo. Ani ludzi, ani zwierząt!

Dzieci popatrzyły na Duncana prosząco, lecz ten, widząc srogą minę gospodyni, nie zdobył się na sprzeciw.

- Musicie należycie wypocząć, to bardzo ważne orzekł. A jeśli grzecznie pójdziecie spać, raniem wybierzemy się wspólnie na przejażdżkę.

- Jeszcze przed śniadaniem? - spytała Jeanne Marie.

Duncan, który nie cierpiał wcześniej wstawać, uśmiechnął się z przymusem.

- Przed śniadaniem. Wiem, jak lubicie jeździć na kucykach.

- W Londynie mieliśmy wspaniałe koniki odezwała się półgłosem Phoebe. Jak myślisz, wujku, czy lord Bridwell zadba o nie? Będzie je karmił i wyprowadzał na spacer podczas naszej nieobecności?

Na pewno odparł Duncan z nadzieją, że nikczemny stryj Nathaniela nie wie o przywiązaniu dzieci do kuców, bo, jak podejrzewał, kazałby wtedy pozabijać nieszczęsne stworzenia. - Ale moje grube kucyki też potrafią niezłe galopować.

- Przed śniadaniem powtórzyła Jeanne Marie.

Duncan skinął potakująco głową i cała trójka uśmiechnęła się pogodnie. Gospodyni wyprowadziła je za drzwi, a potem wróciła i natarła na niego:

- Jeśli chodzi o dyscyplinę, to będę zmuszona ostrzec służbę. Jeżeli pan zamierza w przyszłości tak postępować z własnymi dziećmi, zepsuje je pan do niemożliwości, dogadzając wszelkim ich zachciankom!

Duncan zauważył jednak, że mimo całej zgryźliwości tyrada brzmiała dość przyjaźnie. Chęć posiadania dzieci nigdy go nie nurtowała, podobnie jak myśl o posiadaniu żony. Wszystko to należało do bardzo odległej przyszłości.

Powoli dźwignął się na nogi i otrzepał ubranie. Spojrzał na biurko, gdzie piętrzył się stos listów, i postanowił, że korespondencja może poczekać do jutra. Zajmie się nią po przejażdżce, no i po



śniadaniu.

Miał ochotę udać się do bawialni, sąsiadującej z sypialnią na szklaneczkę dobrego francuskiego wina i cygaro. Przeczytałby może kilka rozdziałów nowej książki. Poleciał kamerdynerowi zwolnić na ten wieczór lokaja. - Chce pan znów zostać sam, milordzie?

Duncan uniósł brew. Kamerdyner poczerwieniał i spuścił oczy, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z niestosowności pytania, po czym skłonił się i odszedł, stąpając po marmurowej posadzce. Echo jego kroków rozległo się w pokoju.

Wprawdzie Duncana zirykowało pytanie służącego, lecz nie mógł go za nie ganić. Po przyjeździe dzieci jego życie towarzyskie legło w gruzach. Zazwyczaj bywał mile widzianym gościem w wąskim kręgu edynburskiej socjety i mimo że nie był zbyt zachwycony swymi zobowiązaniami, nadal je wypełniał, choć dużo rzadziej niż przedtem. Pojawiał się też we wszystkich klubach i domach gry, kiedy był w odpowiednim nastroju. Tutejsze towarzystwo nie mogło się co prawda równać z szukającym rozrywek środowiskiem dobrze urodzonych londyńczyków, ale i w szkockiej stolicy co znaczniejsi i zamożniejsi ludzie, tacy jak on, potrafili się nieźle zabawić.

Brakowało mu wszakże jednego - towarzystwa kobiety. Od czasu przybycia dzieci ani razu nie odwiedził swojej kochanki, obawiając się, że jej wdzięki zatrzymają go na dłużej i odciągną od domu. Ona zaś, osoba dumna i pełna temperamentu, czuła się niewątpliwie urażona niespodziewanym brakiem zainteresowania. Kilka razy wprawdzie posłał Annie bukiet jej ulubionych kwiatów wraz z czułym liścikiem, lecz z doświadczenia wiedział, że drogo będzie go kosztowała próba powrotu.

Choć w pałacu było pełno służby mogącej wykonać ten obowiązek, Duncan obszedł wszystkie pokoje na parterze, sprawdzając, czy pozamykano okna i drzwi. Brał swoją tymczasową rolę stróża i obrońcy bardzo poważnie, mimo że wątpił, czy stryj Nathaniela ma choćby blade pojęcie, gdzie ukryto dzieci.

Chciał być pewny, że nikt go zniecka nie napadnie w środku nocy i nie skrzywdzi malców. Kiedy już wszystko sprawdził, wszedł na piętro życzyć im dobrej nocy.

Najpierw zajrzał do pokoju Gregory'ego - jak zwykle się spóźnił. Gdy podszedł do łóżka, niania siedząca w kącie uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową. Gregory już spał. Zasnął, kiedy tylko przyłożył głowę do poduszki.

Duncan przypatrywał mu się z uśmiechem. We śnie chłopiec wyglądał na dużo młodszego. Tę małą bezbronną istotkę należało otoczyć opieką.

Potem wstąpił do sypialni dziewczynek. Należała niegdyś do jego matki, o czym wyraźnie świadczył jej wystrój. Ściany wyłożono drogimi tapetami, gęsty kobierzec pokrywał gładką posadzkę z dębowych klepek, a nad masywnym łóżem wznosił się baldachim z atłasu i brokatu.

Pierwszego ranka Jeanne Marie uroczyście oświadczyła po przebudzeniu, że wielkie, miękkie łóżę ją połknęło. Polubiła jednak ładne statuetki i cieszyła się, że Phoebe śpi tuż koło niej.

Dziewczynki czekały na niego niecierpliwie. Razem z nianiami odmówiły modlitwę. Duncan wzruszył się, słysząc w niej własne imię, mimo że wymienione zostało w drugiej kolejności, po kucykach pozostawionych w Londynie.

Ucałował każdą w czoło i pomógł im wejść do łóżka. Kiedy już leżały z główkami na poduszkach i wlepionym w niego wzrokiem, zmieszał się na widok ich niewinnych spojrzeń. Znów zaczął się martwić, jak zdoła zapewnić im bezpieczeństwo.

- Śpijcie, moje małe. I niech wam się przyśni coś miłego.

Wiedział jednak, że dziewczynki nie sypiają tak spokojnie, jak ich brat. Niania czuwająca nad

nimi zdradziła mu, iż często rzucają się we śnie, nękane koszmarami.

Chciałby, aby Nathaniel wreszcie powrócił. Nie dlatego, żeby mógł dla nich zrobić więcej w końcu i on był kawalerem ale były to dzieci z jego własnej krwi. Codziennie pytały o niego. Potrzebowały go.

Udał się do siebie i odprawił służącego. Stał z rękami założonymi za plecy, patrząc z roztargnieniem w ogień na kominku. Za niecały tydzień odwiezie dzieci na północ, do Hillsdale Castle. Miał nadzieję, że Nathaniel przygotował wszystko należycie i że nowa guwernantka albo już przyjechała, albo przybędzie w najbliższym czasie.

Wiedział, że poczuje ulgę, kiedy odpowiedzialność za dzieci przejmie Nathaniel. Dom znów zacznie funkcjonować jak w zegarku, a on sam wróci do życia towarzyskiego i do kochanki. A jednak teraz, zamiast ulgi, znajdował w sobie jakieś nieokreślone znużenie i pustkę.

Lord Bridwell na próżno usiłował powściągnąć gniew. Przez bity kwadrans wysłuchiwał jakiegoś bzdurnego raportu. Samych wykrętów i przemilczeń.

- Znowu nie ma pan dla mnie żadnych konkretów? - spytał wreszcie, nie mogąc dłużej pohamować złości. Czy to możliwe? Z jakiego powodu mnie pan dzisiaj niepokoił? Do diaska, Brockhurst, jeśli jest pan istotnie takim doświadczonym agentem policyjnym, to jacyż musieliby się okazać ci inni, gdybym im zlecił równie prostą sprawę?!

Jerome Brockhurst, detektyw, uniósł podbródek i odwrócił wzrok. - Nie taką znowu prostą, milordzie. Pański bratanek i dzieci najwyraźniej zniknęli bez śladu. A Londyn to spore miasto, zwłaszcza dla kogoś, kto ma pusto w kieszeni. Wiele zdaje się świadczyć o tym, że lord Avery wyjechał stąd, a więc strefa poszukiwań jeszcze bardziej się poszerzyła.

Gniew lorda Bridwella wcale nie zmalął.

- Żądam rezultatów, a nie wykrętów! Zatrudniłem pana przeszło dwa tygodnie temu i wciąż słyszę, że nie ma ani śladu dzieci czy mego bratanka.

Mina Brockhursta zrzędała.

- Nie jestem do końca przekonany, że to on odpowiada za ich zniknięcie. Może właśnie dlatego moje śledztwo nie przynosi rezultatów.

Przez chwilę lord Bridwell też w to wątpił. Wprawdzie od pierwszej chwili podejrzewał Nathaniela i zabronił Brockhurstowi kierowania śledztwa na inny tor, przekonany, że gdy ten ustali miejsce pobytu bratanka, to znajdą się również i dzieci. Czy się jednak nie mylił?

- Nikt nie wystąpił z żądaniem okupu! zawołał. Mój bratanek każdego dnia mógł odwiedzać dzieci, a od chwili, kiedy zniknęły, nie zrobił tego ani razu! Sam zasięgnąłem języka i okazało się, że nikt go nie widział w Londynie co najmniej od dwóch tygodni. To nie może być zbieg okoliczności.

- Lord Avery wspominał kilku znajomym, że nie wyjedzie z miasta przed nadejściem wiosny odparował Brockhurst co nie wygląda na podstęp. Jeśli nawet jest zamieszany w tę sprawę, to nie wiadomo, dokąd się udał. Ludzie, z którymi rozmawiałem, mają wrażenie, że wyjechał gdzieś na północ.

- Kłamstwo! Jeżeli mówił o północy, powinien pan szukać go na południu! Czy ja mam panu radzić, jak prowadzić śledztwo?

Brockhurst zeszywniał. - Kazałem kilku osobom prowadzić dyskretne poszukiwania na północy. Musimy się jednak liczyć z tym, że znajdziemy lorda Avery'ego, ale bez dzieci.

- Kogóż innego mogłyby obchodzić? Brockhurst drgnął nerwowo.

- Londyn roi się od najróżniejszych typów, milordzie. Dziewczynki są wprawdzie małe, ale

słyszałem, że bardzo ładne.

- A chłopiec? Ledwo od ziemi odrósł! Komu by się przydał? Brockhurst spurpurowiał.

- Zdarzają się rozmaite perwersje. W mojej pracy miewałem do czynienia z wieloma odstępstwami od normy.

Arystokrata usiłował przybrać minę człowieka zdjętego zgrozą na myśl, że dzieci mógł spotkać równie okropny los, ale nie udało mu się to. Wolał raczej uznać, że chłopiec nie żyje. W takim przypadku jego roszczenia do tytułu książęcego byłyby czymś oczywistym. Zwłaszcza że Nathaniel gdzieś zniknął. Mógłby już teraz zacząć legalne starania, bez chwili zwłoki. Wcześniej jednak chciał mieć w ręku solidne dowody.

- Szukał pan w kostnicach?

- Zwykle od tego zaczynam, lecz pan obstawał przy twierdzeniu, że wykradł je bratanek, wolałem więc zrezygnować.

- A zatem niech pan tam pójdzie natychmiast. Brockhurst spojrzał na niego spod oka.

- Wtedy koszty mogą wzrosnąć.

- Do diabła z kosztami! Dzieci muszą się znaleźć i kropka! Żywe albo martwe! Chyba wyraziłem się jasno?

- Starannie wszystko sobie przemyślałem - tu Brockhurst przechylił na bok głowę - ale wciąż nie wiem dokładnie, kiedy one zniknęły. Nikt nie umie mi tego powiedzieć z całą pewnością. Kiedy widział je pan po raz ostatni?

Bridwell chwycił się kurczowo rogu biurka i spojrzał wściekłym wzrokiem na Brockhursta. Nie podobał mu się ten człowiek. Brak mu było uniżoności, gdy zwracał się do lepszych od siebie. Arystokraci nie budzili w nim należytego respektu. Nigdy by go nie wynajął, ale agent uchodził za najlepszego w swoim fachu, a on, Bridwell, rozpaczliwie potrzebował jego usług. - Przecież już wyjaśniałem, że rzadko się widywałem i z nimi, i z bratankiem - parsknął wzgardliwie. Służba będzie wiedzieć lepiej. Nakazałem jej, żeby o wszystkim pana informowano.

- Owszem, wypytałem ich dokładnie, tyle że wielu służy tu od niedawna i niewiele wiedzą o dzieciach.

- Niech pan porozmawia z gospodynią, panią Hutchinson stęknął z irytacją Bridwell. Pracowała tu, odkąd sięgam pamięcią. Dbała o dzieci. Kiedy zniknęły, była tym bardzo przybita, ale nigdy nic na ten temat nie powiedziała. To jasne, że musi coś wiedzieć.

- Przesłuchiwałem ją trzy razy i niczego nie uzyskałem.

- Jest pan pewien?

- Wiem, kiedy ludzie kłamią.

Lord Bridwell oparł łokieć na poręczu fotela, a podbródek na zaciśniętej w pięść dłoni.

- Gdyby przypuszczała, że dzieci wykradł ktoś inny niż mój bratanek, zachowywałaby się inaczej. Do licha, sama by popędziła na ich poszukiwanie!

- Lojalność dobrze świadczy o jej charakterze.

- Ta lojalność tylko wtedy mi się przyda, jeżeli wyciągnę z niej jakąś korzyść. Bridwell skrzywił się z pogardą. To, że gospodyni nie rozpacza, jest jeszcze jednym dowodem, że dzieci zabrał mój bratanek.

- Ja jednak upierałbym się przy zdaniu, że nic jej o tym nie wiadomo. Chyba że jest najsprytniejszą kłamczucha na świecie lub zręczną komediantką.

Bridwell zaklął głośno.

- Ani jednym, ani drugim! Nie potrafiłaby nikogo zwodzić przez dłuższy czas. Chociaż... kto wie? Najwyraźniej przechytrzyła pana, i to z łatwością.

Spodziewał się, że Brockhursta oburzy zniewaga, ten jednak tylko ostro na niego spojrzął, bez słowa.

- A co mówią w miejscowych agencjach zatrudnienia? - spytał Bridwell. - Jeśli mój bratanek zabrał dzieci, ktoś musi się nimi opiekować.

Brockhurst zajrzał do notatek.

- Poszedłem do kilku najbardziej znanych, ale lord Avery nie zwracał się z prośbą o wynajęcie niańki czy guwernantki.

- No to idź pan do mniej znanych! parsknął Bridwell. Mój bratanek jest bardzo przywiązany do dzieci i z pewnością zatrudniłby guwernantkę.

Brockhurst zapisał sobie coś w zeszyciku.

- Co jeszcze?

- Niech pan nie wraca bez konkretnych wiadomości odparł sarkastycznym tonem Bridwell.

Agentowi wskazano drzwi. Gdy lord został sam, poczuł, jak opuszczają go siły. Nalał sobie kieliszek wina, usiadł przy biurku i zaczął rozmyślać.

Z kłopotem należało poradzić sobie jak najprędzej. Już teraz brakowało mu pieniędzy, ale nie mógł z miejsca wnieść sprawy o kuratelę, bo wydałoby się wtedy, że dzieci nie ma w domu.

Nie docenił bratanka. Nigdy nie przypuszczał, że Nathaniel zdoła się posunąć tak daleko. Nie był też przekonany, że jego postępek wypływa jedynie z troski o dobro malców. Kryły się za tym pieniądze.

Nie można było jednak zaprzeczyć, że Avery'emu udało się dokonać zuchwałego czynu. No i wpędzić jego, Bridwella, w nieznośne tarapaty. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większy wzbierał w nim gniew i strach. Gniew, że dał się tak łatwo wystrychnąć na dudka. Strach, że mógł przegrać. A nie było ważniejszej sprawy w jego życiu.

Lord Bridwell, znękany bezsilnością, rąbnął pięścią w biurko. Zrzucił przy tym na ziemię kieliszek. Z głośnym przekleństwem zadzwonił na służącego, żeby posprzątał. Resztę wieczoru spędził z kolejnym, nowym kieliszkiem i nową butelką wina, kryjąc się przed światem w swoim gabinecie i knując zemstę.

## 11

Był to najdziwniejszy tydzień w życiu Harriet. Każdego dnia opiekowała się Kate, odwracając w osobliwy sposób role pani i służącej. Okazało się to jednak konieczne, bo choć choroba starszej kobiety nie zagrażała już niczyjemu zdrowiu, zamkowa służba nie miała zamiaru zbliżyć się do chorej *Sassenach woman*.

Na szczęście stan Kate szybko się poprawiał. Z dnia na dzień wymagała coraz mniej pomocy i Harriet coraz częściej zostawiała ją samą, by „wypoczęła”. Szybko się zresztą zorientowała, że to jedynie wybieg, by służąca mogła przebywać sam na sam z MacLeodem. On zaś zjawiał się u pacjentki co dnia. Harriet żartowała w duchu, że Kate zdrowieje czystą siłą woli, żeby tylko stać się dowodem zdolności lekarza.

Kiedy więc Kate miała za dnia wygody, Harriet mogła robić, co chciała, z początku czas dłużył się jej nieznośnie, bo nie miała zwyczaju pozostawać beczynną. A choć ogromnie lubiła czytać, nieliczne książki w zakurzonej i ponurej bibliotece okazały się głównie dziełami historycznymi.

Harriet postanowiła zatem potraktować niespodziewany wolny czas jak wakacje i zaczęła

zwiedzać zamek. W tej posępnej i tajemniczej budowli kryło się coś niezwykłego. Panował tu nastrój rodem ze średniowiecza, który nieodparcie ją przyciągał.

Każdego popołudnia krążyła po murach, zdumiona i zafascynowana tym, co odkrywała. Ciekawiły ją zwłaszcza baszty narożne. Sądziła, że trzeba będzie pokonać mnóstwo przeszkód, by po wąskich parapetach wspiąć się na ich szczyty, lecz czystym przypadkiem odnalazła ukryte przejście, a w nim spiralną klatkę schodową.

Zdołała ostrożnie przedostać się tymi schodami do wnętrza baszty. Czuła się, jakby odbyła podróż w czasie. Ujrzała tam twardą kamienną posadzkę, pobielane ściany i wąskie jak szpary okienka bez szyb, przez które zręczny łucznik mógł strzelać, broniąc własnej pozycji.

Pod jednym z takich okienek stała elegancko rzeźbiona skrzynia. Próbowała podnieść jej wieko, lecz okazała się zamknięta, a klucza nigdzie nie było. Harriet miała nadzieję, że wróci tam któregoś dnia z narzędziem zdolnym sforsować zamek.

W drugiej baszcie natrafiła na resztki komnaty tkackiej. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie, jak pomieszczenie to wyglądało kilkaset lat temu, pełne skrzętnych, biegłych w swoim rzemiośle przątek plotkujących podczas pracy.

Trzecia baszta okazała się pusta, a nadwreżone zębem czasu mury przypominały, że zamek był bardzo stary i w nie najlepszym stanie. W czwartej wieży dokonała najbardziej zdumiewającego odkrycia. Na samym środku, na podwyższeniu, stał nagrobek średniowiecznego rycerza i jego żony. Boczne ściany pokryte były płaskorzeźbami przedstawiającymi główne zajęcia pana zamku polowanie i bitwy - oraz wygląd jego ziemskiej domeny. Uwieczniono tam również szkocki miecz obosieczny, pięknie wyrzeźbiony, wraz z jego gardą krzyżową.

Harriet wiedziała, że taki miecz często bywał ulubioną bronią Szkotów z Highlands. Dobitnie świadczył o arogancji i brawurze tych potężnych wojowników, którzy gardzili osłoną tarczy, byle tylko móc ująć go oburącz.

Na brzegu nagrobka średniowiecznej pani zamku widniał herb z przejmującą dewizą: GDZIE MIECZ SIECZE, TAM I CNOTA. Harriet, która nigdzie nie dostrzegła kaplicy, uznała, że miejsce pochówku nie jest bynajmniej osobliwe. Pasowało do przekonań wojowniczego ludu i jego głębokiej religijności.

Zachęcona sukcesem, zdobyła się na odwagę i zeszła do lochów. Miała nadzieję, że odkryje tam jakąś zapomnianą ciemnicę, a jednocześnie lękała się tego. Natrafiła tylko na pełną baryłek piwniczkę z wszelkim sprzętem odpowiednim do pędzenia ze słodu whisky. Sądząc po przenikającym całym pomieszczeniem zapachu, często z niego korzystano.

Mimo że wędrówki po wnętrzu Hillsdale Castle były ciekawe, następnego dnia z zadowoleniem przyjęła zaproszenie na poranną przejażdżkę. Wprawdzie wciąż jeszcze panował chłód, ale świeciło słońce i przynajmniej raz błękitu nieba nie przesłaniała żadna chmura.

Kiedy Harriet wyszła na podwórze przed stajnię, stały tam już dwa osiodłane konie. Choć nie stosowano się tu do wymagań etykiety, z pewnością byłoby lepiej, gdyby towarzyszył im stajenny, ale najwyraźniej go zabrakło.

Harriet z uznaniem powitała ten wybieg - mogli wspólnie spędzić czas z dala od ciekawskich spojrzeń służby. Aż ją ciarki przeszły na myśl o niej.

- Dzień dobry. - Wainwright wyglądał na tak uradowanego jej widokiem, że Harriet przez chwilę zakreśliło się w głowie. Schyliła się zakłopotana, gładząc swoją klacz po aksamitnych chrapach.

Pomyślała z satysfakcją, że dobrze zrobiła, wkładając szafirowy strój do konnej jazdy i

fantazyjny kapelusik z zawadiackim piórkiem. Dopasowany zakiet był wygodny i uwydatniał zalety zgrabnej figury. Choć Harriet drwiła z kobiet nadmiernie dbających o wygląd, musiała przyznać, że pragnie, by Wainwright zauważył, jak korzystnie się prezentuje.

- Co za piękny poranek, w sam raz na przejażdżkę - powiedziała, wsuwając stopę w strzemię i ujmując wodze.

Nie było nigdzie widać słupka do wsiadania. Harriet rzuciła wyczekujące spojrzenie na stajnię, lecz Wainwright skinieniem ręki oddalił służącego, ujął jej obutą stopę i podсадził ją na konia.

Harriet usadowiła się w siodle i wygładziła suknię, on zaś ruszył przodem. Z zadowoleniem zauważyła, że obydwaj konie były pierwszorzędnymi wierzchowcami: młodymi, pełnymi wigoru, o lśniącej skórze.

Wainwright prowadził. Naburmuszony stajenny otworzył przed nimi bramę.

- Zapewne zdążymy wrócić na lunch. Proszę powiadomić panią Mullins o naszych planach.

Młodzieniec skinął głową Wainwrightowi. Choć podniósł rękę do czapki, nie zdjął jej, co wymownie świadczyło o irytacji.

- Czyżbym mu w jakiś sposób ubliżył? - spytał Wainwright, kiedy minęli już stajnie.

Harriet wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy tu intruzami, Anglikami. Choć nie rozumiem tej szkockiej niechęci, nie skarzę się, że otwarcie dają jej wyraz. Przyznam się panu, że nieraz mi już wypominano, że mówię prawdę prosto w oczy, zamiast czymś ją osłodzić.

- Ale czy on musiał tak się na nas boczyć, jakbyśmy mu wyrządzili jakąś przykrość albo zrobili coś jeszcze gorszego?

Harriet się roześmiała.

- Widzę, że nie oswoił się pan jeszcze z niepopularnością. - W duchu dziwiła się zresztą, dlaczego ktoś tak arogancki i zarozumiały jak on przejmując się humorami służącego. Nieraz doświadczyła pogardliwego traktowania. Zachowanie tutejszej służby nie jest więc dla mnie nowością, choć tutaj bardziej się to może dawać we znaki. Szkoci nie próbują ukrywać swoich uczuć, nawet jeśli są tylko sługami. Daję słowo, że pani Mullins nieraz patrzy na mnie tak, jakbym była okazem wyjątkowo wstrętnego robactwa.

- Czy to panią martwi? - spytał w zamyśleniu.

- Już przywykłam - uśmiechnęła się ironicznie. A że zwykle nie potrafię zrozumieć, co mówi, większość jej inwektyw przechodzi niezauważona!

- Wiem jedno, szkocka służba ogromnie się różni od tej, do jakiej jestem przyzwyczajony.

- Czemu nie przywiózł jej pan tutaj ze sobą?

Zabrakło mi czasu wyjaśnił zwięźle. - Prócz tego zapłaciłem za wynajem zamku z pełnym wyposażeniem i obsługą.

- Nie mógłby pan wystąpić o częściowy zwrot kosztów?

- Najwidoczniej nigdy pani nie zawierała umowy z żadnym Szkotem odparł, ściągając cugle, gdy wjechali na otwartą przestrzeń.

Harriet podążyła jego śladem. Teren był płaski, pejzaż zachęcający, ziemia jeszcze nie zorana. Konie, czując, że szykuje się gonitwa, biły w nią niespokojnie kopytami.

Harriet także ściągnęła cugle, pochyliła się nad końskim grzbietem i zawołała:

- Może się pościgamy?

Bez uprzedzenia spięła konia ostrogami i ruszyła.

Usłyszała jego wesoły śmiech, ale nie oglądała się za siebie, wiedząc, że w ten sposób straci swoją nieuczciwie zyskaną przewagę. Wcześniej podziwiała Wainwrighta za zręczne kierowanie koniem i znakomitą formę. Musiała uznać, że jest wytrawnym jeźdźcem. Wierzchowce okazały się godne siebie, jeśli chodzi o siłę, lecz jego koń był większy, a tym samym wytrzymałszy. Harriet wiedziała, że ma niewielkie szanse na wygraną tego wyścigu.

Ziemia umykała spod końskich kopyt, chłodne powietrze smagało jej policzki, piórko na kapeluszu furkotało jak szalone. Pełna podniecenia i radości poczuła, że od miesięcy, a może nawet i lat, nie rozsadzała jej taka energia.

Zobaczyła bramę, granicę pola i lasu. To była meta. Czowała, że Wainwright dopędza ją, i wkrótce oba konie galopowały łeb w łeb. Zmusiła swojego wierzchowca do cwału, pochylając się jeszcze niżej nad jego grzbietem. Na kilka metrów przed bramą spostrzegła, że to ona wygrywa.

Ledwie zdołała stłumić krzyk, gdy dopadła bramy na kilka sekund przed rywalem. Uniosła ręce w geście triumfu i wybuchnęła śmiechem. Nigdy jeszcze nie cieszyła się z niczego równie spontanicznie. Choć nie rozumiała, w jaki sposób zwyczajny wyścig może wyzwolić taką burzę uczuć, wiedziała, że niektóre z nich ściśle się wiążą z mężczyzną, który jej towarzyszył. Z nim wszystko wydawało się bardziej intensywne.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Pani wygrała.

- Naprawdę?

- Czy to niespodzianka? Oczywiście nie wszystko było fair.

- Mówi pan jak ktoś kompletnie przegrany. - Zawróciła powoli konia, pozwalając mu odpocząć.

Wainwright zrobił tak samo.

- Znam pewną ścieżkę, która wiedzie na szczyt niedużego wzgórza. To bardzo malowniczy zakątek. Niech pani jedzie za mną.

Harriet zajęła miejsce z tyłu, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. Kłusowali w milczeniu. Głośny szum wody świadczył, że zbliżają się do strumienia. Ujrzeni go, gdy drzewa zaczęły się przeredzać. Woda spływała w dół wzdłuż zębatego klifu, prawie jak wodospad, otoczona bujnym leśnym poszyciem, omszałymi głazami i pąkami polnych kwiatów.

- Zatrzymajmy się tu powiedział. - Konie z pewnością są spragnione.

Harriet przytaknęła i zsiadła ze swojego wierzchowca. Zwierzęta skwapliwie skorzystały z możliwości wypoczynku. A ona wciąż radowała się tą wycieczką, nawet mimo przenikliwego chłodu. Wainwright podszedł do niej, objął ją mocno w pasie, z trudem zdołała utrzymać równowagę, mimo że stała mocno obiema nogami na ziemi. Nachylił się i pocałował ją.

Przymknęła oczy. Pocałunek stał się głębszy, bardziej zapamiętały. Uścisk przybrał na sile. Wainwright całował teraz jej policzki, oczy i skronie. Uniósł głowę i poczuła, że na nią patrzy. Z wolna otworzyła oczy. Rysy miał lekko ściągnięte, lecz mimo to nadal pozostawał dla niej najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego знаła. Przeszył ją dreszcz i przez ułamek sekundy jej serce - mogłaby to przysiąc - poruszyło się gwałtownie.

- Myślałem o tym od czasu, gdy tylko ujrzałem panią przed stajnią - powiedział cicho. A gdy wygrała pani wyścig, o mało nie spadłem z siodła, tak bardzo pragnąłem panią objąć i przyciągnąć do siebie. Przez ostatnią godzinę byłem półprzytomny. Nim się zatrzymaliśmy, ledwie zdołałem uniknąć stoczenia się z koniem do wąwozu. Harriet roześmiała się niepewnie.

- Czy teraz, kiedy pan to zrobił, wrócił panu spokój ducha?

- Wprost przeciwnie, dobrze pani o tym wie. Po pierwszym razie nabrałem tylko chęci na więcej. Niestety, to nieodpowiedni czas ani miejsce.

Odwrócił się i odszedł o parę kroków. Była mu za to wdzięczna. Potrzebowała przestrzeni, żeby przyjść do siebie. Patrzyła, jak chodzi tam i z powrotem tuż nad rwącym potokiem. Już otwierała usta, żeby go przestrzec, ale po chwili zrezygnowała.

Nie potrzebował jej ostrzeżeń. Doskonale potrafił kontrolować i siebie, i swoje otoczenie. Gdy stał na szczycie głazu, przypomniła sobie ich pierwsze spotkanie. Przestraszył ją wtedy tak bardzo - imponujący, tajemniczy i groźny - że niemal odebrało jej mowę. Ale zdołała stawić mu czoło, choć nie ze swoją zwykłą swobodą.

Gdy rozmyślała o tym pierwszym nocnym spotkaniu, żałowała, że opuściła ją wówczas odwaga. To zdrada narzeczonego tak ją głęboko odmieniła. Sprawiała, że upadła na duchu. Obrabowała ją z pewnością siebie, podkopała i tak już kruche poczucie własnej wartości.

Tutaj, na szkockim pustkowiu, zdołała się podźwignąć, odbudować zranioną i pogiębioną osobowość. Odkryła też jednak coś, o istnieniu czego przedtem nie wiedziała. Kobięcą wrażliwość. Czasami wytrącała ją z równowagi myśl, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu Wainwright potrafił jej przywrócić tę cechę. Jeszcze bardziej zdumiało ją zaś spostrzeżenie, że chwilami zdarza się jej ową wrażliwość lubić.

- Skąd ta poważna mina, Harriet? Chce pani, żebym znów ją pocałował?

- Rozpamiętuję moją przeszłość.

- Z żalem?

- Czasem myślę, że ona składa się z samych żalów. - Westchnęła cicho. - I ze strasznych błędów.

Nie mogła już cofnąć wypowiedzianych słów. Odwróciła się do niego tyłem, patrząc w głąb lasu, z nadzieją, że Wainwright pojmie, iż nie życzy sobie dalszego roztrząsania tego tematu.

Ale Wainwright, rzecz jasna, nie miał zamiaru zastosować się do tej niewypowiedzianej prośby. Słyszała, jak jego buty depczą zwiędłe liście; stanął tuż przy niej.

- Kto panią skrzywdził, Harriet?

- Julian. Mój narzeczoną szepnęła, łudząc się, że jeśli wypowie te słowa półgłosem, może sprawią jej mniej bólu. Objęła ciasno pierś rękami i pochyliła ramiona.

- Jak to się stało?

O mało nie jęknęła na głos. Jakby można to było należycie wyrazić słowami! Porzucono ją podczas wielkiego skandalu, ale to nie upokorzenie legło u podstaw jej bólu.

- Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Zaręczyliśmy się podczas mojego trzeciego sezonu w Londynie. Julian był żołnierzem, służył pod rozkazami Wellingtona. Spodziewałam się więc, że nasze narzeczeństwo potrwa długo. Nie miało to dla mnie znaczenia. Byłam z niego dumna, ale jeszcze bardziej z tego, że oświadczył mi się jeden z najbardziej stroniących od małżeństwa kawalerów. Był przystojny, lubiany w towarzystwie, choć szybko się przekonałam, że jego przyjaciele to ludzie, którzy nie potrafiliby go wesprzeć w trudnych chwilach. W tydzień po zaręczynach wyjechał, żeby walczyć na kontynencie. Pisywałam do niego przez całe lata, ale rzadko otrzymywałam odpowiedzi. Próbowałam usprawiedliwiać przed sobą ten brak względów i poważania. Pocieszałam się, że pewnego dnia wróci, a wtedy wreszcie zostanę jego żoną i rozpoczniemy wspólne życie.

- I nie wrócił? Zaśmiała się nieszczercze.

- Wrócił, ale to był właśnie prawdziwy pech! Powinna była zerwać z nim, kiedy stało się oczywiste, że ma zamiar dotrzymać swoich zobowiązań. Byłam jednak zbyt dumna i zanadto



bałam się zostać sama. Aż w końcu moja niewłaściwa ocena jego charakteru ściągnęła nieszczęście na innych.

- To nie pani wina, że postąpił niehonorowo. Harriet w rozdrażnieniu potarła dłonią czoło.

- Owszem, moja. W głębi serca dobrze wiedziałam, jaki on jest, a jednak nie chciałam się do tego przyznać i wciąż sobie wmawiałam, że się mylę. Miałam go za kogoś o wiele lepszego, bo rozpaczliwie pragnęłam, żeby mnie kochał. A tymczasem wątpię, czy mnie choćby lubił.

Ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą w swoją stronę. Zacerpnęła głęboko tchu. Czy on rozumie, jak bardzo czuje się winna i upokorzona? - Droga Harriet, pragnienie bycia kochaną to nie żaden grzech.

Objął ją mocno. Nic czuła w tym uścisku namiętności, która przedtem tak łatwo zrodziła się między nimi. To był gest pocieszenia. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie tego przejawu serdeczności i wsparcia, póki go jej tak bezinteresownie nie ofiarowano.

Czuła, że szloch dusi ją w gardle, lecz zdołała go zdławić, zaciskając szczęki aż do bólu. Zbyt wiele razy płakała przez Juliana. Teraz nic tego nie usprawiedliwiało.

- Musi mnie pan uważać za głupią gęś - mruknęła za słabą kobietę bez charakteru, która łudziła się, że miłość wszystko zmieni na lepsze.

Szeroka pierś Wainwrighta zaczęła się trząść i Harriet zrozumiała, że się zaśmiał. Uniosła głowę i czując, że palą ją policzki, spojrzała mu prosto w twarz.

- Nigdy w życiu nie spotkałem mniej kruchej kobiety niż pani. Oboje dobrze wiemy, że jest pani bystra. Nie musi się pani usprawiedliwiać, że pragnęła tego, co wszyscy. Kogoś, kto by panią kochał szczerze i bez żadnych zastrzeżeń.

Mówił bardzo cicho i szukał oczami jej oczu. Harriet zwilżyła językiem zaschnięte wargi i przełknęła ślinę, marząc o powiewie wiatru - tak bardzo była rozpalona.

- A pan właśnie tego chce? szepnęła. Słyszała własny, przyspieszony oddech, gdy czekała na odpowiedź.

- Oczywiście. Życie w pojedynkę jest jałowe i puste. Życie z umiłowaną kobietą i dziećmi, które można rozpieszczać, ma znaczenie i treść.

Harriet była zaskoczona jego słowami. Wielu mężczyzn uważa, że małżeństwo pozbawia ich nie tylko swobody, ale i rozsądku. A niejeden z nich traktuje miłość jak coś zgoła zbędnego.

Przesunęła palcami po jego piersi i ramionach. Uniosła dłoń i odgarnęła pukiel włosów, który opadał mu na czoło. Nie odwrócił wzroku i nadal się w nią wpatrywał, dowodząc szczerości swoich słów. Ale to wyraz jego przystojnej twarzy sprawił, że drgnęło w niej serce.

- Oby się panu wiodło w tych poszukiwaniach. Myślę, że nie będzie to zbyt trudne.

Przez chwilę czuła wyrzuty sumienia, bo ponad wszystko pragnęła, żeby jego wymarzoną kobietą była właśnie ona. Ukochaną żoną, rodzącą dzieci, które można rozpieszczać. Jego żoną.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe.

Tego wieczoru obiad upłynął w napiętej atmosferze. Poufały nastrój się gdzieś ulotnił i obydwójce zachowywali się wobec siebie z uprzedzającą grzecznością, która wszystkiemu nadawała kłopotliwy, nienaturalny charakter. Rozmowa nie kleiła się i była tak samo nieciekawa, jak podane im jedzenie.

Posiłek wreszcie się skończył. Harriet obawiała się, że Wainwright zechce odprowadzić ją pod drzwi sypialni, jak robił to teraz co dnia. Po długiej, milczącej jeździe powrotnej postanowiła następnego ranka wrócić do Anglii. Kate czuła się już na tyle dobrze, by znieść podróż. Nie było powodu pozostawać tu dłużej.

Nie poinformowała go o tym, ale była pewna, że wie o jej decyzji, zwłaszcza gdy z wahaniem spytał, czy może jej towarzyszyć w drodze do pokoju.

Czuła ucisk w żołądku podczas tej przechadzki. Starła się nie myśleć o chwili rozstania. Kiedy dotarli do drzwi, zatrzymali się i zwrócili ku sobie w tej samej chwili, stając twarzą w twarz. Przez moment zdawało się jej, że ją pocałuje, ale nie zrobił tego. Ujął natomiast luźne pasmo jej włosów między dwa palce.

- Stajenny powiedział mi, że pani powóz i woźnica gotowi są do drogi jutro rano.

- Nie ma powodu do zwłoki. Kate całkiem już wyzdrowiała, choć upiera się, że jeszcze jest słaba. - Harriet wpatrywała się w plamę na ścianie ponad jego lewym ramieniem. - Dziś wieczór usiłowała mi wmówić, że powrót do Anglii przypłaci nawrotem choroby, ale wiem, że szukała tylko wymówki, żeby móc dłużej widywać MacLeoda.

- A więc i pani odjedzie?

Skinęła głową, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą powiedziała.

- A gdybym poprosił panią, żeby pozostała pani chociażby do przybycia dzieci?

- Nie zgodzę się.

Objął ją delikatnie za ramiona i musnął jej wargi ustami, świadomie zachowując przy tym pewien dystans.

- Mam nadzieję, że rozstajemy się jak przyjaciele.

- Oczywiście.

- W takim razie proszę, by choć raz zwróciła się pani do mnie po imieniu. Zaczepnęła gwałtownie tchu. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczuła się bliska łez, choć prośba nie była przecież niezwykła.

- Dobranoc, Nathanielu.

- Dobranoc, Harriet. Spij dobrze.

Zacisnęła splecione dłonie tak mocno, że aż pobieleły jej palce. Wiedziała, że to jedyny sposób, żeby nie wyciągnąć ich ku niemu i nie zrobić z siebie ostatniej idiotki. Co jeszcze mogła powiedzieć? Jakich sposobów użyć, żeby wszystko odmienić? Zabrakło jej słów.

Nie spała dobrze tej nocy. Wciąż zastanawiała się nad tym, czy mogła postąpić inaczej. Ale bezsenne godziny nie przyniosły odpowiedzi.

Palce Nathaniela dotknęły klamki drzwi prowadzących do sypialni Harriet. Wahał się, czuł, że robi źle, ale w końcu wszedł do środka.

Miał nadzieję, że hałas zbudzi młodą kobietę, ale nadal słodko spała. Uniósł świecę w nadziei, że zrobi to za niego blask, ale i tu się pomylił.

W półmroku ledwie zdołał dostrzec jej sylwetkę pod ciężką kołdrą. Mógł wprawdzie nakazać, by zbudziła ją któraś ze służących, ale był pewien, że większość z nich wróciła wieczorem do wioski.

Wiedział, że pani Mullins sypia w zamku, ale Harriet nie rozumiała jej bełkotliwego dialektu. Nie, pani Mullins też nie można powierzyć tego zadania.

Z zapartym tchem podszedł bliżej. Wszystkie zasady, z których wspólnie kpili sobie w tym tygodniu, wzięły w łeb. Wiedział, że zachowuje się najzupełniej niestosownie. Dżentelmen nigdy, przenigdy nie powinien wchodzić do sypialni niezamężnej damy w środku nocy! Zwłaszcza jeżeli jest jej chlebodawcą.

Usiłował oszukać sumienie, wmawiając sobie, że chodzi o wyjątkowe okoliczności. Zresztą w gruncie rzeczy nie był sam, bo stąpały za nim aż trzy małe przyzwoitki, następujące mu na pięty.

Staął przy łóżku. Harriet spała, leżąc na wznak. Nie zaplotła włosów i ciemne pasma rozsypały się promieniście na poduszce.

Zaczerpnął tchu, wdychając bezwiednie delikatny zapach jej ciała, i o mało nie krzyknął. Co prawda, na pewno by ją w ten sposób obudził, ale też przestraszyłby dzieci. Nachylił się nad masywnym łóżem. Harriet obróciła się gwałtownie na bok i zamruczała coś, dosyć niewyraźnie; rozpoznał jednak swoje imię. Niech to licho! Śniła o nim! - Stryjku Nathanielu, no i co? szepnął dziecięcy głosik. Odstąpił gwałtownie w tył, czując się jak najgorszy rozpustnik.

O co chodzi, Jeanne Marie?

- Czy to nasz pokój? Mój i Phoebe? Bo jeśli tak, to ja nie chcę leżeć w łóżku razem z tą dziwną panią! Ona gada przez sen!

Nathaniel z trudem powstrzymał śmiech.

- Obydwie dostaniecie własną sypialnię, tuż koło mojej. A Gregory będzie spał osobno, w pokoju obok.

- Czy ty mówisz przez sen? - spytała poważnym tonem.

Nie. - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Tylko gwiżdżę. I czasem śpiewam.

Wreszcie się uśmiechnęła, tak jak pragnął. Wyciągnął rękę i potrząsnął ramieniem Harriet.

- Proszę się zbudzić. Jest nam pani potrzebna.

## 12

Harriet otworzyła oczy i znów je zamknęła. Walczyła ze snem, usiłując się zbudzić. W jej pokoju jaśniało jakieś słabe światło, ale nie mógł to być brzask. Słyszała też głęboki, męski głos i kilka innych, dziecięcych.

Ponownie otworzyła powieki i usiadła na łóżku, podciągając kołdrę pod samą brodę. Było ciemno i zimno. Padał deszcz. A w jej sypialni stał Nathaniel.

Jego wyraziste rysy i zmysłowe usta wyglądały w półmroku wyjątkowo pociągająco. Miał na sobie czarną kamizelkę, białą koszulę, ciemne spodnie i buty był bez surduta i fularu na szyi. Wpatrywał się w nią z takim przejęciem, że aż załomotało jej serce. Zupełnie jak w jej snach i fantazjach, przyszedł i stanął koło łóżka.

Tylko że nie sam jeden! Przyprowadził ze sobą kogoś. Dzieci. Tak, dzieci! Czyżby troje małych wychowanków? Stały obok łóżka, patrząc prosto na nią, w równym rzędzie, od najwyższego po najniższe, jak stopnie schodów. Harriet zamrugała oczami, a potem sięgnęła po krzesiwo leżące na nocnym stoliku, skrzesła ogień i zapaliła świeczkę, którą również tam trzymała.

W jej świetle mogła się lepiej przyjrzeć nieproszonym gościom. Dzieci nadal się w nią wpatrywały z wyrazem takiej bezradności i zagubienia na buziach, że ścisnęło się jej serce.

Tworzyły razem wdzięczną trójką, wyraźnie podobną do siebie, choć kolor ich włosów wahał się od blondu do brązu, a oczu - od niebieskich do orzechowych. Wiedziała już, w jakim są wieku, ale wyglądały na znacznie młodsze i o wiele bardziej bezbronne. Poczowała nagły skurcz w gardle na ten widok. Przez dłuższą chwilę w pokoju słychać było tylko odgłos deszczu bijącego w okna.

- Przepraszam, że panią obudziłem, ale przyjechały dzieci i mamy pewien kłopot, który wymaga pani obecności - odezwał się wreszcie Nathaniel.

- Co, akurat teraz przyjechały? - Ledwie zdołała to wykrztusić. - W środku nocy? Podczas burzy?

- Najwyraźniej goście lubią przybywać do Hillsdale Castle właśnie w taką pogodę. Jeśli mnie pamięć nie myli, z panią było podobnie.

Spojrzała na niego z przestachem, przypominając sobie tamtą okropną noc.

- Gdzie Brutus?!

- Już się nim zająłem. Zamknąłem go na klucz w mojej sypialni, gdzie bez wątpienia tarł moje najlepsze buty.

- W porządku. Harriet odetchnęła z ulgą. Zajmie go to przez najbliższych parę godzin.

- Kim jest Brutus? - spytał chłopiec, wycierając nos w mocno zabrudzony rękaw.

- To jeden z zamkowych psów - wyjaśnił Nathaniel. Możesz go rano zobaczyć, jeśli będziesz chciał.

- I kiedy bestia zje już solidne śniadanie - mruknęła pod nosem Harriet.

- Ja lubię psy - odezwała się młodsza z dziewczynek a kiedy siedzą mi na kolanach, przytulam je i całują.

- Brutus jest bardzo dużym psem. Już raczej ty mogłabyś na nim usiąść. - Harriet uśmiechnęła się lekko. - Ale myślę, że będzie zadowolony, jeśli go pogłaszczesz po łbie i podrapiesz za uszami. Z całowaniem lepiej poczekać, póki was dobrze nie pozna. Tylko że wasz...

Zerknęła niepewnie na Wainwrighta.

- Stryj Nathaniel - podpowiedział półgłosem.

- Rano poznacie Brutusa. Wasz stryj Nathaniel będzie nad tym czuwał. Kiedy już wszyscy dobrze się wyśpicie.

- Spaliśmy w powozie i wcale nie musimy się znów kłaść - oznajmił wojowniczo malec.

- W powozie na pewno było wam niewygodnie odparła Harriet, zastanawiając się w duchu, jak daleka musiała być ta podróż. Czyż to nie miło wyciągnąć się na wielkim łóżku z miękkim materacem?

- Nie! - I żeby podkreślić sprzeciw, chłopiec tak energicznie potrząsnął głową, że ciemne włosy opadły mu na oczy.

- Naprawdę nie jesteśmy zmęczeni - powiedziała niepewnie starsza z dziewczynek, zerkając na siostrę. Młodsza w lot pojęła, o co chodzi. Wyprostowała się i oznajmiła głośno:

- Bardzo długo spałam! A wielkich łóżek wcale nie lubię!

Ach, więc to tak? Harriet spodobała się solidarność siostr, choć wolałaby, żeby nie sprzeciwiały się pójściu na spoczynek o tak późnej porze.

Wainwright westchnął z przygnębieniem i przejechał dłonią po rozwichrzonych włosach.

- Skoro nie są senne, nie damy rady zapędzić ich do łóżek. Może by...

- Jeżeli nie chcą spać, niech sobie siedzą w salonie aż do rana - przerwała mu. Z trudem mogła uwierzyć, że Nathaniel daje się omotać trójce wisusów. - Niestety, nie napalono tam w kominku, więc w pokoju będzie zimno. Może znajdziemy jakąś kołdrę, żeby się nią wspólnie okryły. Gdy się do siebie przytulą, mniej im dokuczy chłód. Trzeba też poszukać paru świec, ale mogą zgasnąć, a wtedy wszyscy zostaną w ciemnościach. Zaświta dopiero za kilka godzin.

- Nie lubię ciemności! - wyszeptała młodsza z dziewczynek.

- I ja też. Harriet pogładziła ją po ramieniu. - Ale jeśli zgodzicie się pójść do łóżka, zostawię wam świece i będą się palić przez całą noc. Mogę was też zapewnić, że nie utoniecie w materacach. W porządku? Dziecięce buzie się rozjaśniły.

- O, tak!

- Nie potrzeba mi świecy burknął chłopiec. - Nie jestem już brzdącem.

- Oczywiście, że nie! Jesteś dużym, silnym chłopcem. Mam bratanka prawie w tym samym wieku i wiem coś niecoś o małych mężczyznach.

Gregory zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy to dobrze, czy źle.

- A więc zgoda, pójdą spać. Nathaniel spojrział na nią niepewnie. - Mamy straszny kłopot z bagażem. Wczesnym rankiem w drugim powozie złamało się koło, więc trzeba go było zostawić do naprawy. W zamieszaniu nie przeniesiono rzeczy dzieci do pierwszego. Nie mają nocnej bielizny.

- Łatwo temu zaradzić. Harriet odrzuciła kołdrę i wstała. - Chwileczką, niech tylko znajdę pantofle i szlafrok, a poradzę sobie z tym. Czy zbudzono kogoś ze służby?

Nie było odpowiedzi. Stała teraz tyłem do Nathaniela i dzieci. Gdyby nie szmer ich oddechów, mogłaby sądzić, że sobie poszli. Narzuciła szlafrok i się odwróciła. Cała trójka śledziła jej ruchy, lecz w spojrzeniu Nathaniela ujrzała tyle erotycznej fascynacji, że dreszcz przebiegł jej po skórze.

- Zdaje mi się - Nathaniel odkaszlnął - że wszyscy śpią. Sam otworzyłem drzwi frontowe, kiedy dzieci przyjechały.

Harriet usiłowała zachować zimną krew, lecz obecność Nathaniela w jej sypialni przypominała o śmiałych sennych marzeniach, w których tak niedawno była pogrążona. Dzięki Bogu za trójkę małych przyzwoitek!

- Trzeba zbudzić panią Mullins, żeby przygotowała sypialnie. Nie chcę, żeby dzieci spały wśród kurzu i pajęczyn.

- Pokoje są gotowe już od kilku dni.

- A czy jest w nich czysta pościel? - Spojrzała na niego podejrzliwie. - I świeże prześcieradła? Nie czuć tam stęchlizny?

Pokoje znajdują się w znakomitym stanie. Sam sprawdziłem.

- Och. Harriet skręcała w palcach pasek od szlafroka. - A co z jedzeniem? Czy dzieci nie są głodne? Czy coś jadły?

- Chyba przez cały czas nic innego nie robiły odparł zgryźliwie. I w dodatku wcale im po tej strawie nie posłużyły wstrząsy powozu.

Starsza z dziewczynek kiwnęła głową. - Gregory'emu zrobiło się niedobrze. Powóz stanął i stryjek Duncan chciał go wynieść na dwór, ale mnóstwo tego zostało na jego butach.

- A jak brzydko pachniało! westchnęła młodsza. - Bawiliśmy się nad strumykiem, kiedy służba sprzątała powóz. - Zmarszczyła nos z obrzydzeniem. - Ale nie dali sobie rady i w najbliższej oberży musieliśmy się przesiąść do innego.

- Boże, co za przygoda. - Harriet posłała dzieciom uśmiech, a potem spytała Nathaniela:

- Czy Duncan to pana brat?

Zbladł, a w jego oczach błysnął niepokój.

- Nie. Dzieci nazywają nas obydwu stryjkami z czystej sympatii, ale on nie jest moim krewnym.

Choć odpowiedź wyglądała na szczerą, wyraz twarzy Nathaniela przeczył temu. Jakby chciał coś przed nią ukryć.

- Może to niemądre w tych okolicznościach, ale chciałabym, żeby pan oficjalnie przedstawił mnie wychowankom.

- Naturalnie. - Nathaniel stanął przy dzieciach. - To jest panna Sainthill. Dziewczynki grzecznie dygnęły, a Gregory zdobył się nawet na krótki ukłon.

Harriet była zachwycona.

- To Phoebe ciągnął Nathaniel, kładąc łagodnie dłoń na głowie najstarszej. Potem dotknął nią główki młodszej, która przytuliła się do niego. - To Jeanne Marie. A to Gregory.

Chłopiec uchylił się gwałtownie przed ręką stryja, lecz ten zamknął go w uścisku, po czym

obydwaj się roześmieli.

- Bardzo mi miło was poznać - powiedziała Harriet. - Nawet w środku nocy. - Posłała im uśmiech, który powinny były uznać za przyjazny, i ciągnęła dalej: A teraz chodźmy do waszych sypialni, żebyście sobie wypoczęli.

Oczywiście rozległ się chór protestów, ale dorośli byli nieugięci. Nathaniel poszedł przodem, wysoko unosząc świecznik. Dzieci postępowały za nim, Harriet zamykała orszak.

Kiedy przechodzili mrocznym korytarzem do drugiej części zamku, Harriet dostała gęsiej skórki od upiornego echa, ale dzieci, na które spojrzała niespokojnie, ani drgnęły.

Pokoje mieściły się w tej partii zamku, do której nigdy nie zaglądała, wiedząc, że tam jest sypialnia Nathaniela. Oświetlał je szereg świeczników. W największym z nich nieznany jej mężczyzna nachylał się nad kominkiem, próbując bez powodzenia rozniecić ogień. Zaskoczył ją jego widok. Nathaniel mówił przecież, że nie budził służby.

- Niech to diabli - stęknął nieznajomy - nie miałem pojęcia, że zamek jest w takim złym stanie! Pewnie zwątpisz w moją przyjaźń, skoro cię wysłałem do tej starej rudery. Musimy jak najprędzej wrócić z dziećmi do Edynburga, tam będą całkiem bezpieczne. Już za późno, żeby wyjechać jeszcze tej nocy, ale my...

Urwał, kiedy tylko ją spostrzegł. Wstał. Odniosła wrażenie, że wypełnił swoim potężnym ciałem pół pokoju.

- Z kim mam przyjemność? spytał z miłym, łobuzerskim uśmiechem. W jego głosie, cichym i uprzejmym, pobrzmiwał ledwie wyczuwalny szkocki akcent. Wysławiał się jak dżentelmen, lecz łakome spojrzenie, jakim ją obrzucił, kazało Harriet zapiąć najwyższy guzik nocnej koszuli i szczelniej otulić się szlafrokiem.

- Dobry wieczór, jestem Harriet Sainthill odparła chłodno, skłaniając nieznacznie głowę.

Patrzył na nią bez słowa przez chwilę, nim się odklonił.

- Duncan McTate, do usług.

- McTate? Znam skądś pańskie nazwisko.

Znowu się uśmiechnął. Dopiero teraz spostrzegła, że jest wyjątkowo przystojny.

- Przypuszczam, że spotkała tu już pani kilku McTate'ów. To mój zamek i mój klan, a wielu tutejszych zacnych ludzi tradycyjnie przyjmuje miano dziedzica jako własne.

- Och, ten wojownik! krzyknęła. W jednej chwili zrozumiała, kogo jej przypominał. - Szkocki wojownik w galerii portretów! Co za podobieństwo!

W jego oczach błysnęło życzliwe rozbawienie bliskie rozczulenia.

- O tak, zawsze uważałem się za wojownika, walecznego obrońcę mojej siedziby i domowego ogniska. Ledwie sobie przypominam te portrety; bywałem tu tylko jako chłopiec, nie większy od Gregory'ego. Musi mnie pani jutro zaprowadzić do galerii, panno Sainthill, i wskazać, do których mych przystojnych szkockich przodków jestem podobny.

Harriet z trudem stłumiła śmiech. Pobyt w Hillsdale Castle musiał chyba na nią źle wpływać, bo nigdy przedtem podobne gładkie słówka nie zrobiłyby na niej wrażenia. Zawsze była dumna z tego, że nimi gardzi. A tymczasem Duncan McTate zupełnie ją rozbroił.

- Skoro już się zapoznaliście, wróćmy do dzieci odezwał się Nathaniel nieco cierpkim tonem. - A może zdążyliście o nich zapomnieć?

Harriet udała, że nie dostrzega jego zgryźliwości. McTate natomiast śmiało spojrzał Nathanielowi w oczy.

- Nie przypuszczałem, że naruszam twoje terytorium. Proszę o wybaczenie. Miło mi jednak, że życie na pięknej szkockiej ziemi i zdrowe powietrze gór otworzyło ci oczy na zalety godziwej niewiasty.

- Jak zwykle, McTate, mylisz się najzupełniej. Brwi Nathaniela niemalże zrosły się w jedną linię.

- Ale czego mogłem się spodziewać po szkockim gburze?

- Ach, a więc ona nie jest godziwą niewiastą?

- Jest czymś o wiele więcej!

- Wiedziałem! Szkot klepnął się po kolanie.

- Skąd możesz wiedzieć o niej cokolwiek?! zawołał Nathaniel. - Przecież pierwszy raz ją widzisz!

- Każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, pozna, że to prawdziwa dama. Ma głowę na karku i charakter jak się patrzy, nie mówiąc już o aparycji!

I potrafi dotrzymać panu pola, chciała dodać Harriet, ale w porę zdołała się pohamować i z coraz większym zaciekawieniem śledziła tę wymianę zdań.

Nie uszedł jej uwagi poufały sposób, w jaki jeden besztął drugiego. Miała przed sobą nie tylko właściciela i dzierżawcę zamku, lecz także parę przyjaciół. A dzieci mówiły do obydwo „stryjku”. Czy naprawdę łączy ich pokrewieństwo? McTate? McTate? Gdzież ona słyszała to nazwisko? Nagle ją olśniło. Pastor!

- Pan jest dalekim kuzynem naszego pastora. Dzięki jego rekomendacji otrzymałam tę posiadłość.

Obydwaj przerwali sprzeczkę i spojrzeli na nią.

- Owszem, przyznaję się do tego, choć to tylko kuzyn ze strony mojej angielskiej matki. Będę o nim odtąd myślał znacznie życzliwiej. Dokonał dobrego wyboru, o wiele lepszego, niż się po nim spodziewałem.

- Ależ on wcale mnie nie wybrał. To ja się zwróciłam do niego z prośbą o pomoc, a potem zdecydowałam o przyjęciu oferty.

- Na początku... - Nathaniel podszedł do niej o krok bliżej i spytał tak cicho, że tylko oni dwoje mogli słyszeć: - Zostanie pani?

- Na razie tak odparła ze stoickim spokojem.

- Wspaniale.

Odważyła się spojrzeć mu w oczy i przez moment połączyło ich porozumienie. Potem przypomniała sobie o swoich obowiązkach.

- Dzieciom wyraźnie chce się spać. Gdzie jest ich niańka? McTate pokiwał głową.

- Zaszło pewne nieporozumienie. Znalazła się w drugim powozie, tym z bagażami. Kiedy się zepsuł, zostawiliśmy ją po drodze.

- Nie ma nocnej bielizny ani niańki? Zaczynam rozumieć, dlaczego zbudził mnie pan w środku nocy. - Harriet westchnęła przygnębiona, ale nie zniechęcona. Zaczęła robić to, co powinna: przywracać porządek oraz wydawać polecenia. Położę dziewczynki do łóżek i zostanę przy nich aż do świtu, ale co będzie z Gregorym?

- Chętnie dałbym mu własną nocną koszulę - odparł Nathaniel - ale będzie za duża.

- Gregory może spać w dziennej bieliźnie - zdecydowała. - Chociaż mówi, że nie jest małym brzdącem, ma ledwie cztery lata i nie zostawiałabym go samego dzisiaj nocy. W zamku słyhać czasem dziwne odgłosy, których może się bać. Czy jeden z was mógłby mu towarzyszyć?

- Jeśli położę go pani do łóżka, zajmiemy się resztą.

- Świetnie.

Gdy prowadziła chłopca do sypialni, zaczął nagle narzekać, że to dla niego za daleko. Nathaniel bez słowa wziął go na ręce. Widok zmierzwionej główki spoczywającej na mocnym ramieniu dziwnie ją wzruszył. Gdy Nathaniel położył malca na materacu, ten objął go za szyję.

- Tak za tobą tęskniłem! A Phoebe martwiła się, że o nas zapomniałeś. U stryjka Duncana dobrze się bawiliśmy, ale tu z tobą jest lepiej.

- Pamiętałem i o tobie, i o twoich siostrach. Każdego dnia. Stryj Duncan jest dobrym człowiekiem i dlatego mogłem mu powierzyć moje największe skarby: ciebie, Jeanne Marie i Phoebe. Pamiętaj, że jesteśmy jednej krwi i łączą nas nierozzerwalne więzi. Obojętne, czy będziemy daleko, czy blisko siebie. Rozumiesz? - Chyba tak.

Gregory głośno ziewnął. Nathaniel odsunął się od łóżka, robiąc miejsce Harriet. Znow miał nieprzeniknioną minę i młodej kobiecie trudno było uwierzyć, że naprawdę słyszała jego poprzednie słowa. Gregory okazał się bardzo znużony, bez trudu więc ułożyła go do snu i otuliła kołdrą. Wychodząc, życzyła dobrej nocy Nathanielowi i McTate'owi, którzy mieli nad nim czuwać.

Próbując sobie wmówić, że dziwna mina Nathaniela, kiedy na nią patrzył, to tylko przywidzenie, przeszła do sypialni dziewcząt. Były takie śpiące, że obyło się bez protestów. Kiedy znalazły się w łóżkach, z ulgą osunęła się na ciepły fotel koło kominka.

Czekała cierpliwie, póki równe, spokojne oddechy nie oznajmiły, że dziewczynki zasnęły. Nagle ich rytm się zmienił. Spojrzała na łóżko - obydwie siostry wpatrywały się uradowane w drzwi. Stał w nich Nathaniel. - Nie mogłem wcześniej powiedzieć wam „dobranoc”.

Przysiadł na brzegu łóżka. Dziewczynki przytuliły się do niego, niemal stykając się głowami. Harriet słyszała, że coś do niego szepczą, ale nie rozumiała słów.

Potem Nathaniel ucałował każdą w czoło i wyszedł, ledwie na nią spojrzawszy. Wsparła głowę o fotel i przymknęła oczy. Kręciło się jej w głowie od chaotycznych myśli, ale jedno wydawało się oczywiste. Pobyt w zamku na pewno wywrze głęboki wpływ na resztę jej życia.

- Co słyszać w Londynie? - spytał przyciszonym głosem Nathaniel. Nie musisz szeptać. McTate wyciągnął długie nogi w stronę ognia na kominku. - Rzecz jasna nie powinieneś krzyczeć, ale możemy mówić jak cywilizowani ludzie. Mały mocno śpi.

- Wykapany ojciec. - Nathaniel lekko się uśmiechnął. - Zawsze żartowałem z Roberta, że dopiero szarża kawaleryjska mogłaby go wyrwać ze snu.

- Przynajmniej wiesz, że chłopiec jest jego prawym dziedzicem.

- Na pewno. Wzmianka o bracie odebrała Nathanielowi spokój. Co by sobie o tym wszystkim pomyślał Robert, człowiek z zasadami? O porwaniu dzieci, wywiezieniu ich z Londynu, ukryciu na szkockim bezludziu w starym średniowiecznym zamku? Czy pochwaliłby tak drastyczne środki, czy też uznałby je za podjęte zbyt pochopnie i zbędne? A może nawet niebezpieczne?

- Przestań się zamartwiać. - McTate chyba czytał w jego myślach! - Sądzę, że ja, nie, że my zdołamy sobie z tym wszystkim poradzić. Nathaniel pozwolił sobie na ostrożny optymizm.

- Czy nie doszły twoich uszu jakieś plotki o zniknięciu dzieci?

- Ani jedna. - McTate uśmiechnął się wesoło. - W Edynburgu siedziałem na ogół u siebie, ale bywałem w towarzystwie, tylko po to, żeby słuchać plotek z Londynu.

- No i?... - Nathaniel uniósł się w fotelu.

- No i twoje przypuszczenia co do reakcji stryja okazały się słuszne. Lord Bridwell nie pisał ani słowa.



Jesteś pewien? - Nathaniel czuł, jak napięcie stopniowo z niego opada.

- Tak. - McTate odchrząknął. - Zanim przywiozłem tu dzieci, spotkałem na wyjątkowo nudnym wieczorku muzycznym lady Treadmont. Poprzedniego dnia właśnie wróciła z Londynu, bo chciała asystować przy narodzinach pierwszego wnuka. Idealny typ starej plotkary. Z pewnością nie odmówiłaby sobie satysfakcji opowiedzenia smakowitej historyjki o porwaniu trojga dopiero co osieroconych angielskich niewiniątek, z których w dodatku jedno jest księciem. Mogłaby przecież taką nowiną zrobić furorę w towarzystwie, ale ona trajkotała tylko o nowych fasonach sukien, okropnej pogodzie i o sensacji z zeszłego sezonu - pożałowania godnej niewieście na progu staropanieństwa porzuconej przez narzeczonego, skądinąd ostatniego hultaja. Stąd wniosek, że nic nie słyszała o dzieciach. Najwyraźniej Bridwell nie obnosi się z ich stratą.

- A nie wymieniła przypadkiem nazwiska nieszczęsnej kobiety?

- Jakiej?

Porzuconej narzeczonej.

- Nie zapamiętałem go. - McTate w zamyśleniu wsparł dłonie na poręczach fotela. - Powinien cię obchodzić Bridwell, a nie jakaś pożałowania godna baba. Na cóż ci ona?

- Coś mi się zdaje Nathaniel wsparł na ręce głowę, która nagle zaczęła mu ciążyć - że ta porzucona i tak gorliwie obmawiana kobieta jest właśnie moją nową guwernantką.

- Co takiego?! - McTate omal nie wyskoczył z fotela. Och, ten mój kuzyn o ptasim mózdzku! Najlepszy dowód, że moi angielscy krewni są całkiem do niczego. Jak mógł mi polecić tę skompromitowaną kreaturę?

- Niecałą godzinę temu wychwalałeś ją pod niebiosa.

- Bo chciałem ci zagrać na nosie! Zwłaszcza że taki byłeś wobec niej opiekuńczy! Co prawda z początku zrobiła na mnie korzystne wrażenie, a wiesz, że ja mam nosa.

- Jeśli chodzi o ocenę mężczyzn - odciął mu się Nathaniel - ale o kobietach umiesz myśleć tylko w jeden, wiadomy sposób.

- Przecież każdy mężczyzna tak robi!

- I zwykle potem tego żałuje.

- Czy to ma być spowiedź?

- Za daleko się posuwasz, przyjacielu. - Uczucia Nathaniela względem Harriet były złożone i niejednoznaczne, ale nie miał ochoty dyskutować o nich z kimkolwiek. Nie twoja sprawa.

- Właśnie że moja obruszył się McTate. - Zatrudniasz osobę wplątaną w najbrzydliwszy skandal sezonu! Nie robi to dobrego wrażenia na sądzie.

- Porwanie dzieci też nie, a jednak go dokonałem. A raczej my go dokonaliśmy. We dwóch.

W pokoju nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Potem McTate uśmiechnął się szeroko.

- No, sprzątnęliśmy brzdące staremu Bridwellowi sprzed samego nosa. Nathaniel odwzajemnił jego uśmiech.

- Owszem. Powiedz mi teraz, jak spędziły ostatnich kilka tygodni. Wysłuchał uważnie relacji przyjaciela, zakończonej opisem podróży na północ.

- Niech to diabli, szkoda, że nas nie widziałeś. - McTate zachichotał z cicha. - Musieliśmy rozłożyć się obozem przy drodze niczym tabor cygański. Dzieci biegały wokół uradowane, uznając to za świetny żart, ja miałem pełno cuchnącej mazi na moich najlepszych, błyszczących butach, a nianka tonęła we łzach, sądząc, że to z jej winy chłopcu zrobiło się niedobrze i że ją wyrzucę. Gdybyś tam był, zaśmiewałbyś się do rozpuku.

- Brzmi to zabawnie. Nathaniel rozpogodził się nieco.

- Zabawnie! Ja bym raczej mówił o melodramacie. A najdziwniejsze, że właśnie ja tkwiłem w środku całego zamętu!

- Rzeczywiście, przykra sprawa - powiedział Nathaniel, udając współczucie ale choć czuję się trochę winny, będę ci do końca życia wdzięczny za pomoc.

McTate niedbale machnął ręką.

- Nie bierz sobie tego do serca. Miło mi, że mogłem się do czegoś przydać.

- Doceniam wszystko, co dla nas zrobiłeś. Choć przyznam, że kiedy tu przyjechałem, żeby doprowadzić zamek do porządku, wcale tak nie myślałem.

- Imponujący, co? - McTate westchnął ostentacyjnie. - Bywałem w tej starej ruinie jako chłopiec i zachowałem miłe wspomnienia. Myszkowałem po starych komnatach, harcowałem po polach, a w letnie, upalne popołudnia pływałem w jeziorze. Hasałem jak dzikus, bez nadzoru i dyscypliny. Zawsze byłem zdania, że to wspinała kryjówka. Rozpadała się co prawda w gruzy, ogród był zdziczały, wszędzie pełno kurzu i pajęczyn, ale ja tego nie dostrzegałem.

- Z pewnością dostrzegałeś, tylko cię to nie obchodziło.

- Hm, może i tak. - McTate wstał. Idę spać. Skoro zostajesz z Gregorym, pójdę do twojej sypialni.

- Mądra decyzja. Nie ma tam już kurzu i pajęczyn, ale nie wiem, czy to samo można powiedzieć o innych.

Gdy Nathaniel został sam, spróbował wszystko podsumować. Dzieci są bezpieczne, z dala od stryja, nic złego im się nie stało. Ukrywając się w zamku, zyskuje na czasie, może szachować i wyprowadzać z równowagi przeciwnika. Harriet zdecydowała się zostać. Nie był jednak pewien, czy słusznie postąpił, zatrzymując ją tutaj. Ta inteligentna i spostrzegawcza kobieta szybko się zorientuje, że pana Wainwrighta, kupca sukienego, i jego troje wychowanków, otacza jakaś tajemnica.

Cóż mu jednak pozostało? Dzisiejsza noc dowiodła, że nie potrafi poradzić sobie z dziećmi sam jeden. A przecież chodzi mu głównie o ich dobro. Potrzebował guwernantki zdolnej się nimi zająć.

Istniało tylko jedno wyjście, co z przykrością przyznał. Mógł odesłać Harriet i nająć jakąś Szkotkę do opieki nad Phoebe, Jeanne Marie i Gregorym. Może to najlepsze rozwiązanie? Problem w tym, że nie chciał, aby Harriet odjechała. Już sama myśl o niej sprawiła, że zaczynały nim targać sprzeczne uczucia. Na razie wszystko zostanie po staremu. Trzeba tylko być czujnym. Oby nie naraził się na niepotrzebne ryzyko, za które później przyszłoby mu drogo zapłacić.

### 13

Chciałabym tu zostać, panienko Harriet! Mogę się panience przydać! - błagała rozpaczliwie Kate, wysuwając głowę z powozu, do którego wgramoliła się chwilę wcześniej.

- Szczęśliwej podróży! - Harriet dała znać Johnowi, że może ruszać. - Kate, pamiętaj, żebyś doręczyła moje listy! Zwłaszcza te do Elizabeth!

- Tak bardzo chciałabym zostać!

Powóz ruszył z hałasem. Harriet zdołała się opanować, chociaż z trudem. Kate, choć nie najsympatyczniejsza, na swojej robocie znała się jednak świetnie, a przy tym była jedyną znajomą twarzą w tym obcym otoczeniu.

Służąca wychyliła się jeszcze raz z okienka, żałośnie wymachując ręką, lecz Harriet wiedziała, że nie może jej tu zatrzymać. Sama była przecież tylko guwernantką, dobrze opłacaną nauczycielką, choć

nikt nie dał jej tego odczuć. Nie powinna zachowywać się jak dama, nie widziała zresztą takiej możliwości. Mimo to przez chwilę, póki powóz nie skręcił i nie zniknął jej z oczu, czuła żal. Odcięła sobie jedyną drogę powrotu.

- Cóż pani tu robi sama jedna w zimny i wietrzny poranek?

Harriet odwróciła się i na chwilę odebrało jej mowę. Od strony dziedzińca zbliżał się do niej wielkimi krokami Duncan McTate... miał gołe nogi! Święci pańscy! W taki chłód paradować półnago, z obnażonymi udami?! Szkot wydał się jej jeszcze wyższy i potężniejszy niż zeszłej nocy, a także dużo bardziej władczy. Gdybyż tylko nie miał na sobie tej idiotycznej spódniczki! Coś podobnego!

Harriet usiłowała zachować obojętną minę, ale czuła, że nie potrafi ukryć zaskoczenia. Po raz pierwszy widziała z tak bliska mężczyznę w kilcie. Robione na drutach wełniane skarpety sięgały poniżej kolan, u pasa wisiała skórzana torba, a kilt pozwalał ujrzeć prawie całe muskularne uda. Zdołała w końcu wykrztusić:

- Dzień... dzień dobry... panu. - Co, dziwią cię moje nogi, *lass*? Czyżbyś nigdy nie oglądała Szkota w narodowym stroju?

- Nigdy - odparła, usiłując nadać głosowi normalne brzmienie. - Doprawdy niezwykły widok. Zwłaszcza że, jak myślałam, jest to zabronione.

- Och, przekłęci Anglicy! - parsknął McTate. - Trzeba czegoś więcej niż uchwały ich parlamentu, żeby zniszczyć tradycję. Zwłaszcza zwyczaj dumnego Szkota!

- Hm... chyba ramię angielskiej sprawiedliwości nie sięga aż tutaj, a rodakom bez wątpienia spodoba się pańskie umiłowanie tradycji narodowych.

- No, niezupełnie. Gdyby ktoś z Highlands pokazał się kilka lat temu w pobliskim mieście Lowland ubrany w tartan, na pewno znalazłby się razdwa pod kluczem. A może nawet dostałby kulkę w łeb. Tamtejsi ludzie mieli nas od dawna za barbarzyńskich zbójców.

- Trudno się im dziwić - ucięła sucho. Poniewczasie zrozumiała, że obraziła i McTate'a, i jego zwyczaje. Postanowiła to jednak zignorować.

- Owszem, po bitwie pod Culloden tartan mógł się kojarzyć z buntem i bezprawiem przyznał - ale szkockie regimenty wiernie służyły Koronie w koloniach i podczas wojny z Napoleonem, co daje nam prawo do stroju ojców. Noszą go nawet niektórzy Anglicy, kiedy odwiedzają nasz piękny kraj.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby pan Wainwright chciał się tak ubrać. - Harriet z trudem skrywała rozbawienie.

- Nic pani nie straciła, prawdę mówiąc, moje nogi robią chyba lepsze wrażenie.

Odwróciła gwałtownie głowę. McTate z przewrotnym uśmiechem puścił do niej oko! Odstąpiła pospiesznie w tył. McTate był chłopięcy, czarujący, wyjątkowo przystojny. I dobrze o tym wiedział.

- Zapewniam, że nie interesują mnie nogi pana Wainwrighta. Ani gołe, ani odziane.

- Dziwne. Doszły mnie całkiem inne słuchy.

Co za nieprzystojna uwaga! Czyżby służba narobiła plotek albo - co gorsza - Wainwright sam mu się zwierzał? Zaschło jej w ustach ze zdenerwowania. Spojrzała na Szkota ostro, ale miał na twarzy niewinną minę. Zakiełkowało w niej przykre podejrzenie.

- Widzę, że lubi pan zarzucać wędkę, ale lepiej byłoby robić to gdzie indziej. O, na przykład nad tą rzeką pod górami. Z pewnością złowi pan tam więcej.

- Pani zgorszenie świadczy o tym, że dotknąłem czułego miejsca. McTate nie krył, że bawi go jej zakłopotanie.

Harriet milczała, nie chcąc dać upustu całej swojej złości. Nie miała jednak zamiaru darować mu jego słów. Nawet jeżeli kryło się w nich ziarno prawdy.

- Jeśli już jest pan w nastroju do zwierzeń, to może dowiem się czegoś o pańskiej przyjaźni z moim chlebodawcą. Czy łączą was jakieś wspólne interesy? Od jak dawna się znacie? Dzieci mówią do pana „stryjku”, ale pan Wainwright twierdzi, że nie jesteście krewnymi.

- Atak to najlepsza obrona, co potwierdzi każdy generał. McTate spojrział na nią ze szczerym uznaniem, choć dostrzegła w jego uśmiechu jakby cień poczucia winy. - Najrozsądniej byłoby prosić o rozejm. Obydwoje mamy przecież własne sekrety.

Harriet, choć ulżyło jej nieco, utwierdziła się w swoich podejrzeniach. Coś tu było nie tak. Uznała jednak, że nie warto dłużej naciskać McTate'a, choć przez chwilę miała na to ochotę. Wprawdzie żartował z nią przyjaźnie, lecz bez wątpienia pozostałby lojalny wobec Wainwrighta. Niczego się już od niego nie dowie. - A zatem rozejm... I wyciągnęła ku niemu rękę.

Natychmiast ją chwycił i trzymał w swoich dłoniach dużo dłużej, niż należało. Co za zuchwalec!

- Cieszę się, że zdołaliśmy zawrzeć zgodę, jak ludzie cywilizowani. Poczytuję sobie za punkt honoru, żeby nigdy się nie spierać z młodymi i pięknymi kobietami.

- Rozejm dotyczy również pańskich pochlebstw ostrzegła. Nie jestem ani piękna, ani młoda i oboje dobrze o tym wiemy.

- Ale mam przed sobą wyjątkowo przystojną niewiastę - rzekł z odcieniem rozbawienia. Skromność tylko dodaje pani urody i wielkiego uroku. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć.

Harriet nie zdołała stłumić śmiechu. Dziwne, jak ta sprzeczka poprawiła jej humor!

- Nigdy nie spotkałam większego zuchwalca.

- Nie schlebiaj mi, *lass*, bo się jeszcze zaczerwienię.

- Mężczyzna, który śmie paradować z gołymi łydkami, nie ma prawa się rumienić.

- Ha, to od wiatru tak mi się twarz zaróżowiła, nie mówiąc już o innych, ukrytych przed wzrokiem częściach ciała.

Harriet zeszywniała, a potem spostrzegła iście szatański uśmiech McTate'a. Widocznie chciał wyprowadzić ją z równowagi i po ostatnich słowachomal mu się to udało. Uznała, że pozostaje jej tylko wymowne milczenie. Aby nie łamać rozejmu. I żeby nie zwariować.

- Jadł pan śniadanie?

- Nie, ale po pani słowach nabrałem nagle apetytu.

- Pani Mullins gotuje wręcz niebywale - Harriet odkaszlnęła nerwowo - a jej potrawy najlepiej jeść, póki są ciepłe. Zdołałam się już o tym przekonać podczas mojego krótkiego pobytu.

Przeszli wzdłuż dziedzińca. Szkot przepuścił ją przodem, przytrzymując przed nią drzwi. Weszli do jadalni. Harriet z zapartym tchem czekała, jaką też minę zrobi McTate po pierwszym, potężnym kęsie śniadania pani Mullins.

Z niepokojem spojrziała na zegarek. Dzieci spóźniały się już o pół godziny. Nathaniel i McTate zabrali je do najstarszej części zamku, solennie obiecując wrócić o czasie na popołudniowe lekcje. Minuty mijały jednak jedna za drugą i zaczęła się niepokoić.

Zniecierpliwiona wyszła z biblioteki, uznając, że lepiej zacząć działać, niż czekać beczynn timer. Zapuściła się w labirynt korytarzy. Tej części budowli nie znała. Zwolniła kroku i ostrożnie stąpała po nierównej, wyboistej posadzce, rada, że przez wysoko umieszczone, wąskie okna wpada choć trochę światła. Szara suknia szeleściła wokół kostek; od przyjazdu dzieci Harriet nosiła skromne, stosowne dla jej pozycji stroje. Choć szczerze tęskniła za barwniejszym i atrakcyjniejszym ubiorem,

wolała wkładać nieciekawe suknie, zwłaszcza w towarzystwie przystojnego chlebobdawcy. Należało samej sobie przypominać, że jest się tylko guwernantką.

Gdy wreszcie dobrnęła do końca korytarza, stanęła przed ogromnymi drzwiami. Choć tknięte zębem czasu, nadal wyglądały na mocne. Musiała je energicznie pchnąć, zanim zdołała je otworzyć.

Znalazła się w wielkiej sali, tak wysokiej, że musiała zadrzeć głowę, żeby ujrzeć ciężkie belkowanie stropu. Przez ostrołukowe okna przenikały smugi światła, oświetlając długi dębowy stół królujący na samym środku.

Posadzka była tu równa, wydeptana przez wieki mnóstwem stóp do niemal lustrzanej śliskości. Na ścianach wisiały wyblakłe gobeliny pełne walczących rycerzy, pięknych dziewic i legendarnych stworów. Mogłabym wędrować po zamku całymi godzinami i wciąż odkrywać coś zdumiewającego, pomyślała.

Usłyszała szcęk broni i spostrzegła, że nie jest sama. W najodleglejszym krańcu sali dwie postacie toczyły zawziętą walkę. Dopiero po chwili zrozumiała, że to Nathaniel i McTate. Dzieci musiały być gdzieś w pobliżu i po dłuższej chwili wpatrywania się w półmrok zobaczyła, że siedzą wszystkie razem w wielkim, ciężkim drewnianym karle, ustawionym przy ścianie na podwyższeniu. Był tak szeroki, że zmieściły się w nim we trójkę. Nie odrywały oczu od toczących pojedynek mężczyzn i entuzjastycznymi okrzykami witały wymianę ciosów.

Obydwaj szermierze, w samych koszulach i spodniach, złani byli potem, ostentacyjnie też jęczeli i stękali ku uciesze małych widzów. Harriet mogła się przekonać, że są biegli w fechtunku i doskonale potrafią zabawić dzieci, nie robiąc sobie żadnej krzywdy.

Te zaś wydały kolejny, radosny wrzask i zaczęły głośno klaskać. Harriet podeszła bliżej. Metaliczny szcęk kling i widok walczących przyciągały ją nieodparcie. McTate był wyższy, ale nie dawało mu to przewagi. Nathaniel górował nad nim zręcznością i zwinnością, to odskakując w tył, to znów nacierając. McTate po imponującym ataku przeciwnika musiał się cofnąć ku masywnemu kominkowi pośrodku sali. Zdołał wprawdzie odparować cios, lecz Harriet spostrzegła, że lewe ramię opada mu ze zmęczenia.

Nathaniel był za to pełen energii. Obcisłe spodnie uwydatniały jego atletyczną budowę i smukłość. Harriet obserwowała, z jaką precyzją i szybkością się porusza. McTate tym razem nie miał na sobie kiltu. Jego czarne buty stukały głośno o kamienną posadzkę. Harriet dobrze wiedziała, że choć cała walka toczy się na niby, to nie brak w niej męskiej dumy. Każdy z nich chciał dać z siebie wszystko, żeby tylko zwyciężyć.

Gdy panowie znaleźli się blisko niej, zdołała dostrzec oblicze Nathaniela i znów ją zdumiało, ile różnych twarzy może mieć ten człowiek. Był skoncentrowany na walce i zaczerwieniony z wysiłku, ale wydawał się też pełen chłopięcego entuzjazmu. Spojrzała na białą koszulę, która przyłgnęła do zwilgotniałej z wysiłku, szerokiej i muskularnej piersi, i uświadomiła sobie, że dawno już przestał być chłopcem.

- Ktoś do nas przyszedł, dzieci - zawołał McTate.

- Wcale nie dzieci! My jesteśmy księżniczkami! - zaprotestowała Jeanne Marie.

Nathaniel, pełen wigoru i spurpurowiały ze zmęczenia, spojrzał na Harriet.

- Jako waleczny rycerz bronię tych powierzonych mojej pieczy szlachetnych istot przed złym smokiem.

- Ma pan może na myśli mnie?!

- Niewykluczone! - Nathaniel się roześmiał. Czasami myślę, że z satysfakcją dałaby mi pani po

uszach!

- Guwernantka musi tak czasem postąpić z niegrzecznym dzieckiem. No, więc kto ostatecznie jest tym smokiem?

- Stryjek Duncan - wyjaśniła Jeanne Marie. - A jak wygra, to nas zje!

- A jakże, nie pogardzę tak smakowitymi kąskami! Szkot pokazał zęby w szerokim uśmiechu i wydał z siebie groźny pomruk. - Najpierw połknę Gregory'ego, potem Jeanne Marie, a Phoebe zostawię sobie na deser, bo jest najśłodsza z całej trójki!

Dzieci zanosły się śmiechem. Nawet Nathanielowi drgnęły kąciuki ust.

- Nie bój się, piękna księżniczko, za chwilę pokonam smoka - oświadczył.

Skoczył w przód i skrzyżował ostrze z McTate'em, wytrącając mu broń z ręki. Szpada zatoczyła w powietrzu łuk i z głośnym brzękiem padła na posadzkę.

- Zwycięstwo! - oznajmił z emfazą.

- Jesteśmy ocaleni! krzyknęła Jeanne Marie, unosząc rączkę nad czołem w dramatycznym geście.

Harriet z trudem zdołała ukryć uśmiech. Gdzież mała się tego nauczyła? Jeanne Marie ocknęła się szybko z udawanego omdlenia i razem z rodzeństwem podbiegła do zwycięzcy. Nathaniel opuścił szpadę i wsparł rękę na biodrze, życzliwie przyjmując wybuch radości.

- Umyślnie pozwoliłem mu wygrać - powiedział McTate, razem z Harriet przyglądając się Nathanielowi. Wzajemne przywiązanie jego i dzieci rzucało się w oczy. - Nie mogłem postąpić inaczej ze względu na dzieci. No i na panią. Byłoby to zbyt kłopotliwe.

- Co za szlachetność z pańskiej strony wycedziła. - A jak świetnie pan zagrał! Niejeden aktor z Drury Lane mógłby panu pozazdrościć!

- Co, usprawiedliwiasz się z przegranej? spytał Nathaniel. - A może próbujesz wyjaśniać, że rozleniwiełeś się i roztyłeś, wiodąc żywot miejskiego dżentelmena?

McTate zaśmiał się, rozcierając zeszywniały kark. - Zaraz mi zarzucisz, że stałem się dandysem, i będę cię musiał drugi raz wyzwać na pojedynek.

- I drugi raz przegrasz. - Nathaniel odstąpił w tył, ocierając spocone czoło. Chętnie przyjął od McTate'a płaską butelkę i z zadowoleniem pociągnął z niej spory łyk. Harriet wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Dlaczego ten prosty gest sprawił, że chciałyby paść mu w objęcia?

- Widziała pani pojedynek, panno Sainthill? - spytała entuzjastycznie Phoebe. Prawda, że wspaniały?

- Owszem, imponujący - przyznała Harriet, odwracając wreszcie wzrok od Nathaniela. W bibliotece z pewnością coś znajdziemy o średniowiecznych pojedynkach, turniejach i błędnych rycerzach.

Nathaniel spojrział na nią z ukosa.

- Nie wiem, czy to odpowiednie nauki dla małej dziewczynki. Miała ją pani przecież uczyć haftu i francuskiego.

- Nie chcę uczyć się szycia! zaprotestował płaczliwie Gregory.

- Nie miałem na myśli ciebie. - Nathaniel zmarszczył czoło. Harriet nie miała ochoty bronić swoich metod wychowawczych wobec dzieci i McTate'a, który zdradzał zbytne zaciekawienie jej osobą. Dlaczego Nathaniel nagle zaczął ją krytykować? Mierzyli się obydwoje spojrzeniem i żadne nie chciało ustąpić. Mogłoby się to ciągnąć bez końca, gdyby nie Jeanne Marie.

- Stryjku, muszę pójść do wygodki zwróciła się głośnym szeptem do Duncana. - Gdzie ona jest?

- Czy rycerze mieli wygodki? Jak je nazywali? zapytał Gregory.

- Toaleta! - odparło chórem troje dorosłych.

- Założę się, że gdzieś tu musi być - mruknął McTate i pewnie do dziś jest w użyciu.

- Mogę tam sama pójść? spytała niespokojnie.

- Nie! - parsknął Nathaniel. Harriet niemal fizycznie odczuła jego rozdrażnienie. Panna Sainthill ma cię tam zaprowadzić!

Harriet ujęła małą za rączkę. - Jeśli chcecie, pójdziemy jej poszukać razem, nie czekając na stryjka Duncana - powiedziała głośno.

Nathaniel spojrział na nią tak, że powinna się była zapaść pod ziemię, ale Harriet nie zamierzała dać mu satysfakcji. Zaprezentowała więc obojętną minę.

- Na co mi przyszło westchnąć ostentacyjnie McTate dziedzie zamku musi w nim szukać toalety!

Phoebe zaczęła nagle chichotać, a razem z nią młodsze dzieci. Napięcie prysło.

- Oj, nie rozśmieszajcie mnie! - pisnęła Jeanne Marie, ściskając nogi. Harriet, rozumiejąc, że dziewczynce może się przytrafić niemiły wypadek, wyprowadziła ją pospiesznie. Phoebe i Gregory pobiegli za nimi.

- Panna Sainthill nieźle sobie radzi powiedział McTate, gdy zostali sami z Nathanielem. - Zdobyła już zaufanie dzieci.

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić skrzywił się Nathaniel.

- Sądzę, że okaże się znakomitą guwernantką. A ty co myślisz?

- Jest bardzo uparta i nie lubi zmieniać zdania.

A więc da sobie radę z trojgiem rozbrykanych dzieci i jednym gburowatym stryjem. - McTate uśmiechnął się pod nosem. - Lepiej miej się na baczności, bo inaczej możesz wkrótce tańczyć, jak ona ci zagra.

- Zapewniam cię, że umiem docenić przeciwnika. Nathaniel groźnie spojrział na Szkota.

- Trudno mi uwierzyć, że widzisz w niej przeciwnika. Chyba jest odwrotnie, bo nietrudno zgadnąć, co się między wami stanie po moim powrocie do Edynburga, Nathaniel się zawahał. Nie miał ochoty rozmawiać z Duncanem o Harriet, ale spojrział na jego krzywy uśmiech i zrozumiał, że nie ma wyboru.

- Gdybyś nie był moim przyjacielem, uznałbym, że ubliża mi twoje mniemanie. Nie rzucę się na nią, kiedy tylko stąd wyjedziesz. Wziął czystą szmatę ze stosu gałganów, które ze sobą przynieśli, i spokojnie zaczął czyścić ostrze szpady. Nie muszę ci chyba przypominać, że ta kobieta jest tu już od blisko dwóch tygodni, a po twoim odjeździe zostaną w zamku razem z trójką bystrych dzieci.

- Które wcześniej idą spać. McTate złapał szmatę rzuconą mu przez Nathaniela i wytarł własną broń. Zresztą nie trzeba wcale ciemności, żeby się kochać.

- McTate!

- Uspokój się, chłopie. Szkot rzucił mu przeciągłe spojrzenie. - Chciałem tylko sprawdzić pewną teorię. Ilekroć rozmowa schodzi na zachwycającą pannę Sainthill, zaczynasz szaleć z zazdrości.

- Nic mnie z nianie łączy - odparł spokojnie Nathaniel, chowając szpadę do pochwy. - Były narzeczony obszedł się z nią okrutnie. Gdybym próbował ją wykorzystać, nic mówiąc, kim naprawdę jestem, okazałbym sienie lepszy od niego. A ona zasługuje na prawdziwe uczucie.

- No to czemu nie powiesz jej prawdy?

Nathaniel niejedną raz rozważał już tę możliwość, lecz ciągle się wahał. Coś w głębi duszy nakazywało mu zachować ostrożność.

- Okazała się bardzo bystra. Cieszy mnie, że nie jest mdłą trusią, ale ma też zdecydowane poglądy

i potrafi ich bronić. Nie wiem, co by powiedziała i zrobiła, gdybym się przyznał, że wykradłem dzieci ich tymczasowemu opiekunowi. Nie przypadłoby jej też do gustu, że zataiłem własne nazwisko. A jeśli uzna, że ma obowiązek wrócić natychmiast do Londynu i powiadomić o wszystkim Bridwella?

- O Boże! Nie możemy na to pozwolić.

- Właśnie. - Lepiej niech zostanie po staremu. McTate potarł w zamyśleniu podbródek. Dopóki rzeczy same się nie ułożą.

Nathaniel skinął twierdząco głową. Ogarnęło go przygnębienie. Z wielu względów wolał zataić prawdę przed Harriet. Obawiał się sprawić jej zawód. Lękał się, że guwernantka zareaguje w sposób krańcowo gwałtowny.

McTate przyznał, że nie ma innego wyjścia, Nathaniel mógł czuć się usprawiedliwiony, ale nie było mu z tego powodu lżej na sumieniu.

Ze wsi dolatywał daleki pogodny dźwięk kościelnych dzwonów. Harriet uniosła głowę znad talerza ze śniadaniem i z przykrym poczuciem winy uświadomiła sobie, że to niedziela. Dzień Pański.

Jak mogła o tym zapomnieć? Zwykle z chęcią słuchała cotygodniowych kazań. Czas spędzony na kontemplacji i zadumie oczyszczał ją i podnosił na duchu, zwłaszcza gdy pastor był uzdolnionym oratorem.

Pobyt pod jednym dachem z Nathanielem budził w niej nieprzystojne myśli. Powinna spędzić ten poranek w kościele. Ostatnimi dniami musiała jednak rozmyślać nie tylko o zbawieniu własnej duszy, ale i o trojgu cudzych dzieci. Dobra guwernantka powinna się troszczyć nie tylko o postępy w nauce, lecz także o potrzeby duchowe swoich podopiecznych.

Jakie to przykre, że już na samym początku pracy zdołała o tym zapomnieć! Go prawda w domu wciąż wszystko było wywrócone do góry nogami, odkąd trzy dni temu przyjechał Duncan McTate, ale Harriet wiedziała, że nie może oskarżać Szkota o własne zaniedbania.

Na szczęście Nathaniel nie będzie jej mógł tego wytknąć. Najwyraźniej nie miał zamiaru wybrać się do kościoła, skoro siadł z nią do stołu kwadrans wcześniej w stroju jeździeckim.

McTate także jadł z nimi śniadanie, wspominając o powrocie do Edynburga. Harriet przyjęła to z mieszanymi uczuciami. Owszem, flirtował z nią zuchwale i w sposób niezbyt przystojny, ale polubiła go za bystre uwagi i przewrotne poczucie humoru. Kiedy wyjedzie, siłą rzeczy będzie częściej musiała przebywać sam na sam z Nathanielem. Wiedziała z doświadczenia, że to niezbyt bezpieczne.

Niemal z ulgą przyjęła nagłe pojawienie się pani Mullins. Tęga gospodyni wbiegła do jadalni cała czerwona i zasapana. Co ją doprowadziło do takiego stanu?

- Oj, trza tam zara lecieć, dziewczyno - pani Mullins, jak zwykle, wysławiała się językiem prostych ludzi, ale wyglądała na szczerze przejętą - bo ten berbec tak beczy, że nie wiemy, co począć!

Harriet zrozumiała, że jedno z dzieci jej potrzebuje.

- Które?

- Ano, ta mniejsza *lass*, a sklamrze, jakby się jej serce krajało, bidna kruszyna.

Harriet zerwała się od stołu i wybiegła. Odgłos płaczu powitał ją już od progu sypialni dziewczynek. Obydwie przywarły do siebie. Jeanne Marie, w rogu pokoju, szlochała żałośnie, zwinięta w kłębek. Phoebe klęczała przy niej, daremnie próbując ją pocieszyć. Im bardziej się starała, tym głośniej łkała siostra.

Jeanne Marie zawodziła tak donośnie i przejmująco, że Harriet początkowo uznała, że celowo



przesadza. Zdążyła się już przekonać, że dziewczynka ma skłonność do dramatyzowania. Odgłosy wydawane przez małą brzmiały jak skowyt zranionego zwierzątka.

- Co się stało? spytała współczująco. Boli cię coś? Uderzyłaś się może? Phoebe zwróciła ku niej głowę i Harriet dojrzała, że jej również łzy płyną ciurkiem po policzkach.

- Staralam się ją uspokoić, ale już nie daję rady.

Poczucie odpowiedzialności i opiekuńczość Phoebe wzruszyły Harriet. Starsza siostra usiłowała ulżyć cierpieniu młodszej. Harriet przypomniało się własne dzieciństwo. Żadne dziecko nie powinno tak cierpieć, jak niegdyś ona. Objęła mocno Phoebe w nadziei, że przynajmniej ją zdoła pocieszyć i wesprzeć.

Wyjęła z kieszeni czystą chusteczkę i delikatnie wytarła jej buzię. Dziewczynka westchnęła z głębi serca i przytuliła się do niej z ulgą, że ktoś dorosły przejął kontrolę nad sytuacją.

Harriet chciała przytulić także i Jeanne Marie, lecz ta uchyliła się, kwiląc żałośnie. Postanowiła więc poczekać, aż mała znuży się łkaniem.

- Czy jej czymś dokuczylaś? - spytała uspokojoną już Phoebe. - A może coś jej zrobił Gregory?

- Och, nie. Jeanne Marie płacze z żalu po lady Julienne.

Kimże u licha była lady Julienne? Pewnie dzieci znały ją w przeszłości. Ale dlaczego w takim razie stała się przyczyną strasznego wybuchu płaczu właśnie dziś rano? W głowie Harriet kłębiło się mnóstwo pytań, wiedziała jednak, że nie może liczyć na żadną rozsądną odpowiedź, póki dziecko się nie opanuje.

Płacz Jeanne Marie stopniowo zaczął cichnąć. Harriet zbliżyła się do niej ostrożnie, obawiając się, że dziecko znów zacznie tonąć we łzach. Mała, najwyraźniej wyczerpana, bez protestu pozwoliła odgarnąć sobie włosy z buzi. Potem Harriet, siedząc na podłodze, przytuliła ją do siebie. Chciała też przygarnąć Phoebe, na co starsza dziewczynka chętnie przystała. Przez chwilę wszystkie trzy trwały skulone przy sobie, zbyt przejęte, by przemówić choć słowem.

- Phoebe powiedziała, że płakałaś przez lady Julienne odezwała się w końcu Harriet. - Czy możesz mi wytłumaczyć, co się stało?

Jeanne Marie uwolniła się z objęć i spojrzała na nią żałośnie.

- Brakuje mi jej. Tak ją kocham, chcę zawsze mieć ją przy sobie! Płaczą, bo mi smutno bez niej! Znów wykrzywiła buzię w podkówkę, ale jakoś powstrzymała się od płaczu. Może dlatego, że łzy nie przynosiły jej ulgi.

Harriet pokiwała głową. Nic dziwnego, że Jeanne Marie cierpi z powodu rozłąki z kimś, kto najwyraźniej wiele dla niej znaczył.

- Lady Julienne chyba tak samo tęskni za tobą, jak ty za nią. Chcesz, żebym ci pomogła napisać do niej list? Opowiesz w nim wszystko o Hillsdale Castle, a ona z pewnością odpisze. Czy tak będzie dobrze?

Harriet sądziła, że to rozsądna propozycja, lecz obydwie dziewczynki spojrzały na nią z jednakowym zdumieniem. Musiała wreszcie spytać:

- Kim ona właściwie jest? Waszą krewną? Przyjaciółką domu?

- Lady Julienne to ulubiona lalka Jeanne Marie odparła Phoebe.

- Najulubieńsza! Jeanne Marie wytarła załzawione oczy. I chcę ją mieć przy sobie!

Harriet o mało się nie roześmiała. Lalka? A ona uważała lady Julienne za żywą osobę! Kto by przypuszczał, że brak zabawki wywoła taką reakcję? Byłoby jednak niewybaczalnym błędem, gdyby nie wzięła rozpaczy dziecka serio.

- Co się z nią stało? Dlaczego nie zabraliście jej do Hillsdale Castle?

W pokoju zaległa kłopotliwa cisza. Jeanne Marie wsparła główkę na ramieniu Harriet. Phoebe przygryzła wargę i unikała jej wzroku. - Gdzie ona jest?

- Zapomnieliśmy o niej powiedziała w końcu Phoebe. - U stryjka Duncana w Edynburgu?

- Nie, w naszym pierwszym...

- Jeanne Marie! - Phoebe nerwowo przerwała siostrze, co wyraźnie przestraszyło małą. - Nie wolno nam rozmawiać o naszym pierwszym domu. Z nikim.

- No, to nie będziemy o nim mówić - odparła przyjaźnie Harriet. Nie cierpiała lęku w oczach dzieci, nie mogła znieść, że kazano im ukrywać swoją przeszłość. Z jakiego powodu?

- Nie zauważyliśmy, że jej nie ma, a potem było już za późno, żeby po nią wracać powiedziała Phoebe.

- Nie płakałam wtedy, bo chciałam być dzielna - wyjaśniła Jeanne Marie. Ale już nie chcę być dzielna. Chcę mojej lalki i tyle!

- Rozumiem. - Harriet objęła ją mocniej i ucałowała w czubek głowy. - Wiem, że i tak jesteś dzielna. I wiem, że ci smutno bez lady Julienne, ale może znajdziemy dla ciebie jakąś inną lalkę zamiast niej. - Poczowała, że Jeanne Marie sztywnieje w jej ramionach, i pospiesznie dodała: - Tylko na kilka dni. Potem znajdziemy jakiś sposób, żeby sprowadzić lady Julienne do Szkocji - Stryjek Duncan już próbował dać Jeanne Marie nową lalkę. - Phoebe spojrzała niepewnie na Harriet, a potem wstała i podeszła do kufra pod oknem. Powóz z bagażami przybył do Hillsdale Castle następnego dnia po przyjeździe dzieci. Harriet czuwała nad rozpakowywaniem przez niańkę ubranek, ale zawartości tego kufra jeszcze nie знаła. Zastanawiała się, co też Phoebe chce jej pokazać. Dziewczynka początkowo nie mogła sobie poradzić z ciężkim wiekiem, lecz w końcu kufer stanął otworem. Harriet nie zdołała powstrzymać okrzyku zdumienia, gdy zajrzała do środka. Kuferek, wcale spory i zdolny pomieścić niemało ubrań, nie zawierał sukienek. Po same brzegi wypełniały go lalki.

Małe, średnie, duże i ogromne; blondynki, szatynki, brunetki i rude. Ubrane jak damy, jak służące, jak królowe, jak postacie z bajek. Szkocka dziewczyna miała na sobie piękny czerwony tartan, angielska panna wspaniałą, jedwabną suknię balową, wdzięczna pasterka słomkowy kapelusik. Harriet nigdy jeszcze nie widziała tylu kunsztownie wykonanych lalek na raz.

- Boże święty! - Z zapartym tchem odwróciła się ku Jeanne Marie, która wciąż jeszcze siedziała zasmucona w kącie. Wiele dziewczynek wcale nie ma lalek, a inne co najwyżej jedną. Nigdy nie przypuszczałam, że jakiegokolwiek dziecko może ich mieć cały kufer!

- Gospodyni stryjka Duncana powiedziała nam, że wykupił wszystkie lalki w całym Edynburgu - oświadczyła z powagą Phoebe.

- Na to wygląda. Czy żadna ci się nie podoba, Jeanne Marie? Dziewczynka gniewnie potrząsnęła głową i odwróciła się do ściany. Phoebe szepnęła Harriet do ucha:

- Lady Julienne była prezentem od mamy. Mama mówiła, że jest trochę podobna do Jeanne Marie, i dlatego stała się jej ukochaną zabawką.

Harriet pokiwała głową ze zrozumieniem. To stawiało całą sprawę w innym świetle. Zabawka stanowiła pamiątkę po zmarłej matce. Rozpacz Jeanne Marie miała swoje uzasadnienie.

- Szkoda, że te wszystkie śliczne lalki są niekochane. Harriet miała nadzieję, że Jeanne Marie na te słowa okaże przynajmniej cień zainteresowania. Rozumiała już, że żadna inna zabawka nie zastąpi dziecku lady Julienne, ale może stanie się jej namiastką i zdoła ją trochę pocieszyć?

- Przykro mi, że są zamknięte w tym starym kufrze. Może jakieś inne dziewczynki chciałyby je

mieć? Zna pani takie, panno Sainthill?

- Ja nie, ale pani Mullins chyba tak. Ona zna prawie wszystkie rodziny we wsi.

- Możecie je komuś dać. - Jeanne Marie wyszła z kąta i zajrzała do kufra, zdradzając wreszcie trochę zainteresowania. - Niech się nimi bawi. Może je sobie nawet wziąć. Ja chcę tylko lady Julienne.

- Wyjmijmy je więc i ułożmy według wielkości zaproponowała Harriet w nadziei, że Jeanne Marie spodoba się w końcu któraś zabawka.

Wszystkie trzy były tak zaaferowane lalkami, że nie usłyszały głośnych kroków. Ciężkie dębowe drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając z hałasem o ścianę.

Harriet odruchowo osłoniła dziewczynki, które spojrzwały z przestachem na intruza. Z ulgą stwierdziła, że w progu stoi Nathaniel, wyraźnie wzburzony i niezbyt starannie ubrany.

- Czy stało się coś złego? - Harriet zobaczyła, że jest cały zdyszany. - Pani Mullins przysłała po mnie służącego. Podobno chodzi o którąś z dziewczynek. Przybiegł, kiedy jeździłem po lesie. Czy jedna z nich zachorowała albo coś sobie zrobiła?

- Wszystko w porządku. Harriet usiłowała się uśmiechnąć, lecz serce wciąż jej waliło po tym, jak nieoczekiwanie wtargnął do pokoju. - Jeanne Marie miała pewne zmartwienie, ale chyba sobie z nim poradziłyśmy.

- Dzięki Bogu. - Nathaniel przymknął oczy. Jedną rękę wciąż jeszcze trzymał na klamce. Pani Mullins była tak roztrzęsiona! Nigdy jej nie widziałem w podobnym stanie, bełkotała coś bez sensu. Myślałem, że... - W jego głosie wyraźnie brzmiał strach.

Zaczerpnął gwałtownie tchu i przejechał dłonią po włosach. Były zmierzwiłone i sterczały w różnych kierunkach. Wyglądał śmiesznie, ale Harriet nigdy jeszcze nie wydał się przystojniejszy.

Dziewczynki skoncentrowały się wprawdzie na kufierku z lalkami, ale bała się, że jawne wzburzenie stryja mogło się im udzielić.

- Niech pan ochłonie. - Ujęła go za ramię i odprowadziła tak daleko, żeby dzieci ich nie słyszały.

- Chyba trochę przesadziłem przyznał zmieszany.

- Bzdura. Nie ma nic złego w okazywaniu troski o tych, których kochamy.

Wzruszył ramionami. Wydawał się zakłopotany własną reakcją, ale Harriet poczuła się nią wzruszona. Pomyślała, że to odpowiedni moment, by wspomnieć o zapomnianej lalce Jeanne Marie.

- Potrzebuję pańskiej pomocy w dość istotnej sprawie zaczęła. - Zdaje się, że przy wyjeździe dzieci zapomniano o lalce Jeanne Marie. - Tu obróciła się, spoglądając serdecznie na dziewczynki. - Dlatego tak płakała dziś rano. Bardzo jej brak tej zabawki.

- Lalki?

- Tak. Nazywają lady Julienne.

- Owszem, coś sobie przypominam. Była bardzo przywiązana do zniszczonej szmacianej lalki. Chyba o nią chodzi, ale myślę, że wylądowała na śmietniku.

- O Boże, mam nadzieję, że nie! zawołała Harriet. Jeanne Marie ją uwielbia, a Phoebe wyjaśniła mi, że to był prezent od jej matki. Wiele znaczy dla tego dziecka.

Spostrzegła, że zacisnął szczęki i pobladł. - Dziewczynki mówią, że zapomniano o niej przez pomyłkę - ciągnęła. Chyba nietrudno byłoby po nią posłać? Choć przypuszczam, że potrwa to dość długo.

- Nie! Nie wolno jej tu przysyłać!

Cofnęła się o krok, zaskoczona jego gwałtownym tonem. - Ale przecież...

- Powiedziałem, że nie! - przerwał jej. - Jeśli to martwi Jeanne Marie, kupię jej inną lalkę.

- Pan McTate już tego próbował - Harriet wsparła się ręką o biodro z sarkastycznym uśmiechem - o czym świadczy ten kufer, po brzegi wypełniony zabawkami. Żadna z nich nie pomogła. Wiem, że zabrzmi to niemądrze, ale musi pan zrozumieć: żadna lalka nie zastąpi lady Julienne.

- Nie chcę, żeby psuto dziewczynkę. Zresztą sama pani mówi, że lalka dopiero po dłuższym czasie zdołałaby dotrzeć do Hillsdale Castle. Wtedy może nas tu już nie być.

- Mamy stąd wyjeżdżać? Teraz, kiedy wreszcie przybyły dzieci? Dlaczego dopiero dziś pan mi o tym wspomina?

- Sam podejmuję decyzje i nie mam zwyczaju radzić się wówczas służby, panno Sainthill.

Poczuła, że cała drętwieje, tak ją uraziła ta kąśliwa uwaga. Tym jednym zdaniem jasno dał jej do zrozumienia, jakie zajmuje miejsce w tym domu. I w jego życiu.

- Rozumiem, że jest pan zbyt zajęty, żeby zajmować się czymś tak pospolitym, jak zabawka, tak więc postanowiłam poradzić sobie z tą kwestią sama. Wystarczy mi adres i nazwisko służącej - niani, piastunki czy choćby gospodyni, która mogłaby mi pomóc.

- Absolutnie zakazuję pani robić cokolwiek w tej sprawie powiedział zimno i wyszedł, nim zdążyła mu się sprzeciwić. Jego słowa padły niczym wystrzał. Harriet, choć zaskoczona, czuła, że jej pytania bardzo go zaniepokoiły. Coś przed nią ukrywał, to było jasne. Ale co? Musiało się to łączyć i z przeszłością dzieci, i z nim samym.

Wiedziała tylko, że są jego wychowankami i sierotami. Mimo zaciekawienia nie pytała o nic, uznając, że to nie są jej sprawy. Teraz jednak uważała, że jeśli chce się wywiązać ze swoich obowiązków, powinna dowiedzieć się czegoś o dzieciach. Choćby to nawet miały być drobiazgi.

Zniechęcona podeszła do dziewczynek, które na szczęście nie zauważyły sprzeczki pomiędzy dorosłymi. Żeby nie stracić panowania nad sytuacją, postanowiła im jakoś pomóc.

- Lady Julienne też miała błękitną sukienkę - powiedziała smutno Jeanne Marie, trzymając ubraną na niebiesko lalkę. - To jej ulubiony kolor. I mój także.

Choć już nie płakała, widać było, że nadal jest przygnębiona. Ciepłą rączką ujęła dłoń Harriet, która uściśnęła ją łagodnie, zachęcając małą, by wdrapała się na jej kolana. Potem przygarnęła ją do siebie, trąc policzkiem miękkie loki dziewczynki. Jeanne Marie kilka razy głośno odetchnęła, aż wreszcie wydała z siebie rozdzierające westchnienie, które przypieczętowało decyzję Harriet.

- Stryj Nathaniel opowiedział mi o waszym pierwszym domu - zaczęła, starając się nadać głosowi pogodne brzmienie. - O tym, gdzie mieszkaliście przed wyjazdem do stryja Duncana. Mówił, że był dużo mniejszy od Hillsdale Castle. Czy to prawda? Obydwie spojrzały na nią z absolutną szczerością.

- Mówił z panią o naszym londyńskim domu? - spytała Phoebe. Harriet lekko skinęła głową. Londyn! Nawet nie przypuszczała, że chodzi o stolicę. Poczuła się nieswojo. W głębi duszy wiedziała, że źle robi, wydobywając podstępem informacje, ale jeśli istniała jakakolwiek nadzieja na zwrócenie Jeanne Marie lalki, ktoś musiał jej w tym pomóc. Nathaniel bynajmniej nie okazywał podobnych chęci, a więc mogła się czegoś dowiedzieć tylko od dzieci.

- Owszem. Możecie mi o nim opowiedzieć?

- Był bardzo duży - odparła w zadumie Phoebe.

- I miał mnóstwo schodów - dodała Jeanne Marie.

- Kilka razy byłam w Londynie przy tych słowach Harriet musiała się mocno oprzeć plecami o ścianę a nawet po nim jeździłam. Czy nie pamiętacie, jak się nazywała ulica, przy której stał dom? A

może sam budynek miał jakąś nazwę?

- Ja wiem. Jeanne Marie usadowiła się wygodniej na kolanach Harriet. - Grosvenor Square.

Harriet z trudem ukryła zdumienie. Przy Grosvenor Square mieszkała tylko arystokratyczna elita, i to najbogatsza.

- Ach, on był wspaniały - szepnęła Phoebe. Ale już go nie mamy. - Ani kucyków. Jeanne Marie pociągnęła nosem.

- Ani pani Hutchinson westchnęła Phoebe - a ona była bardzo dobra i nigdy na nas nie krzyczała, nawet jak Gregory narozrabiał i cała reszta służby bardzo się na niego złościła.

- Czy to była wasza niania?

- Nie, gospodyni.

- Kazała kucharce piec nasze ulubione ciasteczka i dawała nam na obiad tylko to, co lubiliśmy - dodała Jeanne Marie z wyraźnym żalem. - A kiedy inni służący byli na nas źli, umiała im natrzeć uszu!

- Doprawdy, wspaniała osoba. - Harriet wręcz oszołomiły te wiadomości.

- A czy stryj Nathaniel też tam mieszkał?

- Kiedy był mały. - Phoebe przytuliła do piersi jedną z lalek i pogłaskała jej długie jasne loki. -

Czy mogłabym wziąć grzebień i uczesać ją jak należy?

- Jak najbardziej. Przynieś też parę szpilek i wstążek, to upniemy jej włosy wokół głowy.

- Wiem, gdzie są szpilki! - zawołała Jeanne Marie. Zsunęła się z kolan Harriet i pobiegła za siostrą.

Harriet znów musiała wesprzeć się plecami o ścianę. Szykowna londyńska dzielnica, liczna służba, dom, w którym Nathaniel mieszkał w dzieciństwie! Chciała się dowiedzieć czegoś konkretnego, a rozumiała coraz mniej. Co to wszystko może znaczyć?

Dziewczynki wkrótce wróciły z mnóstwem niezbędnych drobiazgów. Harriet z zadowoleniem stwierdziła, że Jeanne Marie prawie zapomniała o smutku, gdy pracowicie upinała lalczyną koafiurę. Ona sama doszła do wniosku, że zyskała wystarczająco dużo informacji, by listownie poprosić o przysłanie lady Julienne. Nie potrafiła jednak rozstrzygnąć, czy postępuje właściwie.

Nathaniel stanął bez słowa w drzwiach biblioteki, trzymając koszyk z pokrywką, pełen wiktuałów upichconych przez panią Mullins z okazji pikniku. Każde z dzieci ślęczało pilnie nad jakimś wyznaczonym mu zadaniem. O tak, Harriet potrafiła zaprowadzić tu imponujący ład.

Żadna z zamkowych komnat nie nadawała się na pokój do nauki, postanowił więc wydzielić w tym celu część biblioteki, zaopatrując ją w meble odpowiedniej wielkości i pomoce szkolne. Harriet z zachęcającym uśmiechem krążyła od jednego z malców do drugiego, odpowiadając napytania i poprawiając błędy na tabliczkach. Blask słońca kładł się na jej włosach i podkreślał piękną cerę, gładszą niż u jakiegokolwiek znanej mu kobiety, jasną i miękką.

Chrząknął głośno i trzy małe główki jednocześnie uniosły się znad ćwiczeń.

- Stryjek Nathaniel! - Dzieci zerwały się z krzesełek i podbiegły do niego. Uśmiechnął się z satysfakcją. Gdyby jeszcze guwernantka zechciała na niego spojrzeć nieco przychylniej.

Stała tyłem do niego, ale wyczuł, że zeszywniała, słysząc jego imię. Powoli się odwróciła. Uśmiechnął się, lecz ona tylko ledwo dostrzegalnie skinęła głową, bynajmniej nie okazując zyczliwości. Od czasu incydentu z lalką traktowała go chłodno i w gruncie rzeczy nie dziwił się temu. Zachował się wówczas jak nadęty, arystokratyczny cymbał. Chodziło jej przecież o jedno z dzieci, a on ją zlekceważył i obraził. Dla kobiety tak dumnej musiało to być bolesne.

Wiedział jednak, że nie miał wyboru. Wpadł w panikę na samą myśl o liście. Wskazałby drogę Bridwellowi. Zupełnie jakby mu wysłała mapę i drogowskaz.

Nathaniel był zły na siebie. Dobrze wiedział, że wraz z McTate'em popełnili niesłychany czyn. Dzieci wyjechały z Londynu tylko w tym, co miały na sobie, ale w Edynburgu czekały na nie całe skrzynie nowych ubranek. Miał się za niezwykle przezornego, a tymczasem w jednej chwili wyszło na jaw skandaliczne przeoczenie.

Przecież wiedział, jak bardzo Jeanne Marie jest przywiązana do tej lalki. Należało o niej pamiętać! Jego przeoczenie sprawiło, że dziecko czuło dotkliwe przygnębienie i doprowadziło do scysji z Harriet.

- Co tam masz w środku? - Gregory wspiął się na palce, chcąc zajrzeć do koszyka. Nathaniel uniósł go wyżej z tajemniczym uśmiechem. Cała trójka przyłączyła się do zabawy, ale dopiero Phoebe, najstarszej i najwyższej, udało się rzucić okiem na zawartość.

- Będzie piknik! zawołała. - Och, jak ja lubię pikniki!

- Czy to dla nas? - spytała Jeanne Marie.

- Owszem, jeżeli wasza guwernantka pozwoli.

- Już prawie skończyłam zadania! - błagała Phoebe. - Proszę nas puścić na piknik, panno Sainthill!

- Stawiam jeden warunek - dodał Nathaniel z uśmiechem. - Panna Sainthill musi pójść z nami.

W pokoju zaległa cisza.

- Bez pani będzie nam smutno - dodał Nathaniel.

- Niech pani się zgodzi! - Gregory zaczął podskakiwać na jednej nodze.

- Dobrze. - Harriet zdobyła się na nieszczerzy uśmiech, choć oczywiście wiedziała, że bezwstydnie nią manipulowano. - Pójdę z wami.

Dzieci pobiegły po płaszcze, czapki i buty. Nathaniel stwierdził jednak z rozczarowaniem, że Harriet zręcznie stara się zachować dystans. Posadziła pomiędzy nimi dzieci. Pomyślał, że chętnie objąłby ją w pasie, żeby zobaczyć, jak się rumieni.

Słońce prażyło mu prosto na gołą głowę, dzieci śmiały się i dokazywały. Znużony dźwiganiem na barana całej trójki, zaprowadził je do stóp wzgórza, wyjął z powozu koszyk i wybrał miejsce na stoku górującym nad zamkiem. Można było stamtąd dojrzeć kamienne wiejskie domki i zielone pastwiska.

- Zgodzi się pani, żebyśmy tutaj spoczęli? - spytał. Wietrzyk igrał z kilkoma pasmami jej włosów, które wymknęły się spod szpilek. Uznał, że to uroczy widok. Pomogła mu rozłożyć koc i zastawić go jedzeniem. Zauważył, że jadła tylko owoce, ser i suchary, zostawiając pasztet jemu i dzieciom. Świeże powietrze zaostrzyło apetyty albo też przywykli do kulinarnych umiejętności pani Mullins, bo z wiktuałów zostało niewiele.

Dzieci ułożyły się na kocu, wyraźnie senne. Zobaczył, że Harriet wyjmuje coś z kieszeni płaszcza.

- Kto chce ze mną zagrać? Dzieci natychmiast oprzytomniały.

- Co to, karty? - Nathaniel aż się poderwał.

- Czemu nie? - Harriet rozejrzała się wokoło. Niech każde z was przyniesie po piętnaście kamyków. To będzie bank.

Wszystkie rzuciły się na poszukiwania, a potem słuchały uważnie, gdy Harriet wyjaśniała im proste reguły.

- Ma pani osobliwe poglądy na edukację jęknął Nathaniel, gdy przegrał z Gregorym. Nie jestem

pewien, czy je pochwalam.

Harriet wzruszyła ramionami.

- To bezbolesny sposób na naukę dodawania i odejmowania, o wiele ciekawszy niż mozolne wykuwanie na pamięć formułek matematycznych.

Grali jeszcze przez pewien czas, lecz dzieci straciły chęć do zabawy, kiedy Nathaniel zaczął wygrywać każdą partię.

- Szachruje pan.

- Proszę mi tego dowieść. Zignorowała jego wyzywający uśmiech.

- Zaraz za tamtą kępą drzew płynie strumyk. Wziąłem ze sobą haczyki na wędki, ale najpierw musimy znaleźć dobre miejsce.

Dzieci popędziły we wskazanym kierunku. Nathaniel z zadowoleniem wsparł się o pień i założył ręce za głowę.

- Nareszcie sami!

Spojrzenie, jakie posłała mu Harriet, nie pozostawiało wątpliwości co do tego, co o nim myśli. Zdawała sobie sprawę z jego uczuć, wiedziała, że jej pragnie. Szelest liści zapowiedział powrót dzieci.

- Szybko wam poszło - mruknął niechętnie Nathaniel.

- Znaleziliśmy wspaniałe miejsce!

- Doskonale. Zaraz tam przyjdę i zrobię wędki.

Dziewczynki odbiegły, ale Gregory pozostał i zabawiał się przesuwaniem nogą kamyków z miejsca na miejsce. Nathaniel zrozumiał, że siedząc nad wodą, chłopiec będzie się nudził.

- Szkoda, że nie ma z nami Brutusa - odezwał się nadąsany malec. - Z nim jest zawsze weselej.

- Co, wolisz towarzystwo tego kundla niż moje? Nathaniel żartem pchnął go łagodnie na koc, a chłopiec aż krzyknął z radości i zaczęli się obydwaj ze śmiechem mocować, póki nie zabrakło im tchu.

- Czy będzie pani łowić z nami ryby? - spytał Nathaniel. Gregory przytulił policzek do jego niestaramie ogolonego podbródka.

Harriet nagle wydała z siebie jakiś osobliwy, gardłowy dźwięk i zaczęła przenosić spojrzenie z jednego na drugiego, a potem wstała.

- Przepraszam, chyba dziewczynki mnie wołają. - Pobiegła pospiesznie przez polanę, przedzierając się przez krzewy.

Zdumiony Nathaniel sięgnął po kosz, wziął Gregory'ego za rękę i podążył w ślad za nią.

**15**

Harriet rzuciła się na oślep przed siebie. Coraz słabiej dolatywały do niej z oddali głosy Nathaniela i Gregory'ego. Zacisnęła zęby i biegła coraz szybciej, wciąż mając w oczach to, co niedawno ujrzała.

Dwie twarze tuż przy sobie: jedna mała, krągła i niewinna, a druga nachylona nad nią, przystojna, o zdecydowanych rysach. Podobieństwo między nimi biło jednak w oczy, było oczywiste. Zdumiewało ją, że nie dostrzegła go wcześniej.

Wszystko w jednej chwili stało się przeraźliwie wprost jasne. Tajemnicza przeszłość dzieci. Słudzy, którzy niekiedy traktowali je bez szacunku. Zagadkowe słowa skierowane przez Nathaniela do chłopca: „Pamiętaj, że jesteśmy jednej krwi i łączące nas więzi są nierozzerwalne”.

To dzieci Nathaniela. A jeśli nie przyznawał się do tego, musiały w takim razie być nieślubne.

Coś niesłychanego! Nieprawie potomstwo wysłane na szkockie odludzie, z dala od Londynu, od bezlitosnej opinii publicznej. Może nawet ukrywane przed jego rodziną i przed żoną.

Aż ją zemdliło na tę myśl. Musiała zwolnić kroku, czując ból gdzieś w środku. Przez chwilę myślała, że zemdleje; wsparła się o gruby pień drzewa, żeby nie upaść. Z trudem chwyciła oddech.

- Ach, tutaj pani jest - rozległ się za nią pogodny głos. - Czy wszystko w porządku? Odeszła pani od nas jakby nieco rozstrojona.

Zwróciła ku niemu twarz, czując wyłącznie rozgoryczenie. Zaufała mu, przejmowała się nim, a jeśli już miała być całkiem szczerą wobec siebie - chyba nawet się w nim zakochała. Ona, która po swych niedawnych, fatalnych doświadczeniach zarzekała się, że nikogo więcej nie obdarzy uczuciem! Bliska płaczu, przeklinała własną naiwność i głupotę. Jak mogła pozwolić, żeby do tego doszło?

Nathaniel był już prawie przy niej. Spojrzała mu w oczy, jakby szukała w nich prawdy, choć wiedziała, że jej nie znajdzie. Potrzebowała czasu, żeby ochłonać, żeby przemyśleć swoje odkrycie i oswoić się z nim. Bała się odezwać, ze strachu, że się z czymś zdradzi.

- Ależ pani zbladła. Źle się pani czuje? Może mógłbym służyć tu jakąś pomocą?

Troska w jego głosie robiła wrażenie całkiem szczerą, lecz Harriet nie chciała w nią uwierzyć.

- Muszę się na chwilę oddalić... Zgięła się w pół, jakby pod wpływem bólu - żeby zadośćuczynić naturze...

Dama nigdy nie powinna mówić czegoś tak żenującego dżentelmenowi, ale Harriet nie dbała już o nic. Uzyskała zresztą taki właśnie skutek, jakiego sobie życzyła. Nathaniel ujął Gregory'ego za rękę i pospiesznie odszedł.

Harriet wbiegła w leśny gąszcz, ku strumieniowi, lecz w odwrotnym kierunku niż dzieci. Nie chciała, żeby ją teraz zobaczyły. W końcu przystanąła, ukryta za wielkim głazem. Uklękła na wilgotnej ziemi i opłukała twarz wodą. Trochę ją to ochłodziło, choć nie zdołała zmyć z siebie wstrząsającego odkrycia ani żalu. Zamoczyła w strumyku lnianą chusteczkę i przycisnęła ją do czoła.

Wiedziała, że nie ma żadnego prawa, by czuć się tak dotkliwie, tak głęboko zranioną. W końcu była jedynie guwernantką, a nie zdradzoną żoną. Czegóż się spodziewała? Czy Nathaniel miał obowiązek wtajemniczać ją w swoje sekrety tylko dlatego, że się do niej po trosze zalecał - może z nudów, a może z tego powodu, że nie było nikogo innego w pobliżu?

Zresztą stało się tak częściowo z jej winy. Po co nadawała takie znaczenie ich wzajemnym relacjom? Myślała, że jest mu równa, wierzyła, że ją szanuje, że liczy się z jej zdaniem. A gdy brał ją w ramiona, cały świat przestawał dla niej istnieć. Nie uznał jej jednak za osobę na tyle godną zaufania, by zdradzić prawdę o dzieciach. O jej podopiecznych.

Czy postąpił źle? Tak by się zdawało, lecz coś wewnątrz niej upominało ją, iż są to pretensje nieuzasadnione. Nathaniel nie kłamał jej prosto w oczy, choć ukrył przed nią prawdę. Nie miała prawa go oskarżać. Przecież jej brat też spłodził nieślubne dziecko. Ale Nathaniel miał ich troje. Aż troje. Jedno mogło być wynikiem przelotnej miłości, jak jej ukochany bratanek, Georgie. Troje świadczyło o długotrwałym romansie. O głębszym związku. O miłości.

Bolało ją to dużo bardziej. Bardziej niż myśl, że Nathaniel okazał się człowiekiem niemoralnym. Gnębiło ją przeświadczenie, że kochał jakąś kobietę na tyle, żeby mieć z nią troje dzieci, ale się z nią nie ożenił. Albo też ożenił się wcześniej, z kim innym!

Harriet nerwowo splatała i rozplatała palce. Trudno jej było wyobrazić sobie tę kobietę i jej związek z Nathanielem. Jeśli chciała poznać całą prawdę, należałoby go zapytać o to wprost i zażądać szczerých odpowiedzi.



Musiała wracać. Za długo pozostawała z dala od innych i bała się, że Nathaniel mógłby posłać kogoś na poszukiwania. Zerwała się na nogi, jeszcze raz przetarła wilgotną chusteczką twarz i przyglądała potargane włosy, zakładając je za uszy. Na początku pikniku zdjęła czepek i zapewne, uciekając w pośpiechu, zostawiła go na kocu. Strzepnęła błoto, które przyłgnęło do skraju sukni, mimo że dbałość o wygląd wydała się jej teraz czymś śmiesznym, i z ociąganiem skierowała się ku ścieżce. Każdy krok zbliżał ją bowiem do przykrej rzeczywistości, z którą trudno jej się było pogodzić.

Wkrótce ujrzała całą grupkę za drzewami. Nathaniel ścinał właśnie jakiś młody pęd, zapewne na kolejną wędkę. Phoebe trzymała już jedną w dłoni, a Jeanne Marie u boku siostry czekała na swoją kolej. Harriet była wprawdzie zbyt daleko, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają, ale Nathaniel powiedział coś, co wywołało uśmiech na buziach dziewczynek.

Przez moment zastanawiała się, czy dzieci wiedzą, kim naprawdę jest dla nich ten mężczyzna. Nazywały go stryjem, więc zapewne nie zdają sobie z tego sprawy. A przecież świadomość, że mają ojca, który je kocha, byłaby dla nich bezcenna.

- Złapałyście już coś? spytała i spróbowała się uśmiechnąć. Nogi miała jak z ołowiu.

- Nawet nie zaczęliśmy - poskarżył się Gregory bo stryjek Nathaniel jeszcze nie zrobił wędek.

- Staram się, jak mogę, chłopcze - odparł żartobliwie Nathaniel, uśmiechając się do Harriet. -

Może i pani chciałaby mieć własną wędkę, panno Sainthill?

Harriet nigdy nie potrafiła udawać ani grzecznie się wymawiać tylko dlatego, że żądały tego konwenanse. Nie mogła jednak robić sceny w obecności dzieci.

- Wolałabym się przyglądać - odparła cierpko.

- Świetnie, tym mniej roboty dla mnie. - Nathaniel mrugnął do dzieci.

- Pospieszmy się prosiła Jeanne Marie bo jeśli zaraz nie zaczniemy, to wszystkie ryby sobie odpłyną!

Nathaniel zaśmiał się, ale pracował szybciej i wkrótce każde z dzieci siedziało z wędką nad strumykiem. Harriet zauważyła, że Nathaniel nie sporządził wędki dla siebie, tylko chodził od jednego do drugiego, upewniając się, czy im czegoś nie trzeba.

Usiadła w cieniu drzewa, wpatrując się w niego, jakby chciała ujrzeć jego prawdziwą twarz, ukrytą pod tą pogodną maską. Łatwo radził sobie z całą trójką. Zakładał haczyki, zarzucał wędki, sadowił malców w odpowiednich miejscach, gdzie mogły czekać, póki ryba nie weźmie, bez obawy, że same wpadną do wody. Pokazywał, jak należy trzymać wędzisko, żeby nie zmęczyć sobie za szybko ręki, i łagodnie upomniął Jeanne Marie, że trzeba zachować zupełną ciszę, żeby nie spłoszyć ryb.

- Chyba coś złowiłam! rozległ się podniecony głosik Phoebe. Poderwała wędkę. Na końcu linki trzepotała się rozpaczliwie ryba, błyskając w słońcu łuskami.

Podbiegli do niej jednocześnie, ale Nathaniel był szybszy. Błyskawicznie poderwał linkę, nim ryba zdążyła spaść z haczyka na brzeg, i jednym ruchem obutej stopy odrzucił ją na kupkę igliwia.

- Świetnie, Phoebe! Z dumą pokazał zdobycz wszystkim po kolei. - Zjemy ją dzisiaj na kolację.

Dzieci przyjęły to z entuzjazmem. Phoebe, za radą siostry, złożyła krótki ukłon, a potem siadła ponownie nad wodą, zarumieniona z dumy.

Harriet ponad jej głową napotkała spojrzenie Nathaniela. Cały promieniał. Znów poczuła dotkliwy ból, bo wiedziała już, że potrafi być dwulicowy. Wycofała się pośpiesznie, lecz nie zauważyła korzenia na ścieżce.

Nathaniel podniósł ją i podtrzymywał jeszcze wtedy, gdy już zdołała stanąć na nogi. Ramię zapiekło ją od jego dotknięcia. Nagle zaczęła niemal boleśnie odczuwać każdy swój oddech, każde uderzenie serca. I jego też.

- Co się stało? Wygląda pani na rozstrojoną.

Nie odpowiedziała. Zdołała jedynie zacisnąć wargi, starając się go do siebie zniechęcić.

Nieświadome niczego dzieci skupiły całą uwagę na strumyku i na ławicach ryb, jakie rzekomo można było w nim złowić. Nawet Gregory zdołał usiedzieć bez ruchu całe dziesięć minut, lecz tak się tym znużył, że Nathaniel wysłał go na poszukiwanie robaków, co chłopiec przyjął z żywym zadowoleniem.

Harriet nadal siedziała pod drzewem, niecierpliwie uderzając stopą o kamień. To oczekiwanie okazało się prawdziwą torturą; tyle myśli kłębiło się jej w głowie! Usiłowała jednak zachować spokój. Wszystko dokoła wydawało się takie zwyczajne ciepło, szmer wody, rozradowanie dzieci - ale nic nie łagodziło jej rozczarowania.

- Złapałam drugą! - krzyknęła Jeanne Marie i za przykładem siostry poderwała wędkę, lecz na haczyku niczego już nie było. - Ta wstrętne ryba uciekła! jęknęła, udając, że pada w półomdleniu na głazy, i o mało nie wylądowała w wodzie. Harriet spojrzała na nią badawczo. Może matka była aktorką i dziewczynka przejęła od niej skłonność do przesadnych reakcji? Pewnie dlatego Nathaniel nie mógł się z nią ożenić. Wiadomo było, że aktorki wiodą życie według zupełnie innych reguł niż zwykli ludzie i nie uważają za rzecz haniebną wolnego związku z bogatym mężczyzną.

Nieszczęsna kobieta dużo poświęciła w imię miłości, chociaż Harriet słyszała, że mężczyźni nieraz lgną do kochanek, a o żony mało dbają. Czy tak właśnie było w tym przypadku? Czy Nathaniel poślubił jakąś równą mu stanem kobietę, ale uczuciem darzył kochankę?

A może połączyła ich miłość tak mocna, że zdołała przetrwać mimo barier klasowych, braku więzów małżeńskich i bezpiecznej pozycji, jaką zapewniają? Zapewne dlatego tak się troszczył o dzieci, mimo że nie mógł się do nich oficjalnie przyznać.

- Mam dość ryb i robaków oznajmił Gregory, wrzucając do wody spory kamyk. - Róbmy coś ciekawszego!

- Może jeszcze raz zagramy w karty? Zniechęcona Jeanne Marie ześlizgnęła się z głazu. Phoebe ledwie zdołała złapać wędkę siostry, zanim wpadła w nurt rzeki.

- Nie chcę kart! Kiedy stryj Nathaniel wygrywa za każdym razem, wcale mnie to nie bawi!

Cała trójka spojrzała z wyrzutem na Nathaniela, który skrywając rozbawienie, zaproponował wyścigi.

- No, kto pierwszy dobiegnie do koca?

Nie musiał tego powtarzać dwa razy. W mgnieniu oka dzieci z radosnym wrzaskiem znikły z pola widzenia. Harriet, jako ich opiekunka, chciała pobiec za nimi, lecz Nathaniel chwycił ją za ramię.

- Jedno słówko, panno Sainthill.

- Dzieci...

- ...przez kilka minut będą musiały radzić sobie same.

Harriet nie spodobała się ta stanowczość. Przestał ją wreszcie wypytywać o nastrój i sądziła, że pogodził się z brakiem odpowiedzi. Najwyraźniej zmienił zdanie, ale Harriet nie miała zamiaru wysłuchiwać reprimendy ani odpowiadać na żadne pytania i z miejsca przeszła do ataku.

- Zechce mi pan udzielić pewnej informacji?

- Oczywiście.

- Czy da mi pan słowo... nie, czy przysięgnie mi pan, że odpowie zgodnie z prawdą, jak człowiek uczciwy i szczerzy, nie dbając, co sobie potem pomyśle?

- Spróbuję - odparł po chwili i, wyraźnie nieswój, wytarł dłonie o spodnie. Spojrzała mu w twarz.

- Czy jest pan żonaty? Prychnął tylko ze zdumienia.

Harriet nie wiedziała, co o tym myśleć. Zaskoczyło go to pytanie czy fakt, że odkryła prawdę? Nie doczekała się jednak żadnej odpowiedzi.

- Czy naprawdę muszę pytać drugi raz?

- Nie odparł głosem tak ostrym, że odbił się echem od drzew, i twarz mu stężała. Nie musi pani. Nie jestem żonaty, nigdy nie byłem i nie wiem, co panią skłoniło, żeby zadać mi tak groteskowe i niewłaściwe pytanie.

Harriet patrzyła na niego z gniewem przez dłuższą chwilę, a potem uniosła dumnie głowę.

- Istotnie, nie sądzę, żeby pan się tego domyślił.

Skorzystała z tego, że był zaskoczony, i szybko odeszła, nim zdołał powiedzieć choć słowo.

Choć Harriet nie chciała się natknąć na Nathaniela, wiedziała, że powinna rzucić okiem na dziewczynki, kiedy już będą w sypialni. Młoda niańka, która spała razem z nimi, zdradziła jej, że często dręczą je koszmary.

Tego dnia jednak w pokoju dziewczynek wszystko tchnęło spokojem. Niańka drzemała na swoim posłaniu przy kominku, a Phoebe i Jeanne Marie leżały bezpiecznie w wielkim łóżku pod ciepłą kołdrą.

Harriet weszła do środka, chcąc sprawdzić, czy zgodnie z jej poleceniem zostawiono tam świecę, która miała palić się przez całą noc. Upewniwszy się, że stoczek jest dostatecznie duży, by wystarczyć do rana, i że stoi w należytej odległości od zasłon, miała już odejść, gdy usłyszała szelest pościeli. Jeanne Marie przewracała się gwałtownie z boku na bok, mrużąc coś niezrozumiale i boleśnie pojękując. Harriet podeszła bliżej. Dziewczynka zaczęła rzucać się coraz gwałtowniej, na czoło wystąpiły jej krople potu.

- Zbudź się, Jeanne Marie! Guwernantka ujęła jej buzię w obie dłonie. Dziewczynka otworzyła zaczerwienione oczy i spojrzała na nią, blada i przerażona.

- Panna Sainthill!

- Jestem przy tobie. - Harriet przysiadła na skraju łóżka. - Nie bój się!

- Miałam zły sen. - Mała z całej siły starała się nie płakać.

- Powiesz mi jaki? - Nie.

Harriet wytarła jej pot z czoła.

- Czy to były ryby? Czasami, kiedy za dnia zdarzy się coś nowego i niezwykłego, śnimy o tym w nocy.

- Lubię ryby, choć nie złowiłam ani jednej. Nie martwię się o nie.

- A co cię martwi?

Jest mi strasznie smutno i czuję się bardzo samotna.

- Doprawdy? - Harriet przesunęła palcami pomiędzy jej włosami. - Nawet z Phoebe, Gregorym, mną i stryjkiem Nathanielem?

- Uu, uu, właśnie że tak. Brakuje mi czegoś. Czegoś wyjątkowego. - Jeanne Marie ziewnęła i przysunęła się do Harriet. Mojej mamy.

Harriet rozumiała ją. Z własnego doświadczenia wiedziała, co to znaczy wcześniej stracić matkę.

- Owszem, bardzo nas boli, że nie możemy już widzieć czy pocałować tych, których kochamy ponad wszystko, ani nawet z nimi porozmawiać. Ale to nie znaczy, że wzajemna miłość znikła. Czujemy ją zawsze w głębi serca.

- Stryj Nathaniel mówi, że mama wciąż nas bardzo kocha. - Jeanne Marie zmarszczyła brwi, jakby czegoś nie rozumiała. Ale dlaczego jej nie ma? Czemu umarła?

- Tego nie wiem. Harriet nagle sama poczuła dotkliwy ból. - Mogę ci tylko powiedzieć, że za jakiś czas będzie ci trochę lżej.

- Naprawdę?

- Obiecuję. - Harriet pogłaskała ją po plecach.

- Przy lady Julienne zawsze czułam się bezpieczna.

- Wiem. - Harriet westchnęła. Brak lalki z pewnością potęgował zmartwienia dziewczynki. - Nie mogę ci obiecać tego z całą pewnością, ale może znajdzie się jakiś sposób, żeby lady Julienne przybyła do Szkocji. Czy myślisz, że podobałoby się jej tutaj?

- I mogłaby zostać ze mną w tym pokoju? - Jeanne Marie gwałtownie nabrała tchu. Nie mam złych snów, kiedy ona przy mnie leży.

- A gdzie mielibyśmy ją umieścić? - Harriet się uśmiechnęła. Przecież nie u stryja Nathaniela.

Dziewczynka próbowała odwzajemnić uśmiech. Harriet wzruszyła ta próba okazania dzielności.

- Czy długo to potrwa?

- Chyba tak. Przecież wiesz, jak długo ty sama musiałaś jechać do Szkocji. Nie jestem pewna, czy lady Julienne zdoła odbyć tak daleką podróż, mogę ci jedynie obiecać, że postaram się, żeby tak właśnie było.

Szczera wdzięczność Jeanne Marie sprawiła, że Harriet poczuła się winna. Zrobiłaby co prawda wszystko, żeby zwrócić dziecku zabawkę, ale nie miała pewności, czy się jej uda. Może wyjawienie tych planów dziewczynce było błędem? A nuż spalą na panewce?

Wiedziała jednak z doświadczenia, że nigdy nie należy tracić nadziei. Wiele dałaby za to, by lalka w końcu znalazła się tam, gdzie było jej miejsce, w ramionach Jeanne Marie.

- Lepiej, żebyś nikomu o tym nie mówiła pouczyła ją.

- Phoebe także nie?

- No, Phoebe można. W końcu ona też jest dziewczynką, więc chyba cię zrozumie. - Harriet udała, że ziewa. - Czas już spać. Wsuń się głębiej pod kołdrę, żebyś mogła cię nią otulić.

Jeanne Marie usłuchała bez protestu.

- Zostaniesz tu, póki nie usnę?

- Jeśli sobie życzysz.

- Dziękuję. Jesteś najlepszą guwernantką ze wszystkich - wyszeptała i przytuliła się do śpiącej siostry.

Była to niesłychana pochwała, bo w końcu ileż mała mogła przedtem mieć nauczycielek? Jedną lub dwie? Harriet czuła jednak, że słowa Jeanne Marie płynęły z głębi serca. Odczekała aż do chwili, gdy spokojny i równy oddech powiedział jej, że dziewczynka zasnęła.

Po powrocie do swojego pokoju zapaliła kilka świec i wyjęła kartkę prywatnego papieru listowego. Napisanie listu do pani Hutchinson, gospodyni dużego domu przy Grosvenor Square, zajęło jej sporo czasu. Niełatwo komuś wytłumaczyć, dlaczego wysłanie dziecięcej zabawki ma być sprawą pilną i ważną. Miała jednak nadzieję, że dzieci nie myliły się, kiedy wspominały tę osobę. Kiedy wreszcie uznała list za udany, osuszyła go i zapieczętowała.

Wczesnym rankiem odszukała jednego ze stajennych, który wspominał przedtem, że jego brat właśnie zaciągnął się do armii. Młody żołnierz miał dołączyć do swego regimentu za kilka dni, przejeżdżając przez Londyn w drodze na kontynent. List wysłany pocztą dotarłby do stolicy za kilka tygodni, może nawet za miesiąc, lecz jeśli świeżo upieczony rekrut weźmie go ze sobą, potrwa to o wiele krócej.

Harriet nie mogła się wyzbyć poczucia winy, gdy wręczała mu kopertę wraz z kilkoma monetami. Chłopiec wydał się jej uczciwym, rozsądnym młodzieńcem i wierzyła, że odda list własnoręcznie.

Świadomość, że łamie nakaz Nathaniela, ciążyła jej, lecz Harriet potrafiła podejmować trudne decyzje. Zawsze znajdowała w sobie dość siły, żeby nie odstępować od własnych przekonań. Słuszne czy też nie, to właśnie one pozwalały jej stawiać czoło cudzym zarzutom i wrogości.

Nie robiła tego wyłącznie dla kaprysu, z zuchwalstwa czy na złość Nathanielowi. Jeanne Marie cierpiała, a ona chciała jej ulżyć i znalazła na to sposób. Nie mogła się jednak pozbyć wrażenia, że w jakimś sensie zawiodła zaufanie okazywane jej przez chlebodawcę, jawnie ignorując jego polecenie, żeby dała sobie spokój ze sprawą zagubionej lalki. Pozostawała tylko nadzieja, że kiedy Jeanne Marie ją odzyska, wyrzuty sumienia natychmiast znikną.

Następny tydzień był pełen napięcia, a drugi z kolei sprawił, że Harriet znalazła się na skraju nerwowego załamania. Coraz częściej musiała unikać Nathaniela, a im bardziej próbowała to robić, tym skwapliwiej zdawał się on szukać jej towarzystwa. Może traktował to jak swego rodzaju łowy, a może uparł się jej towarzyszyć, bo była jedyną kobietą z lepszych sfer, z jaką teraz miał do czynienia.

Niezależnie od powodu sytuacja stawała się kłopotliwa. Harriet dobrze wiedziała, że Nathaniel mógł być niezwykle czarującym mężczyzną - jeśli tylko chciał. A ponieważ był też bardzo atrakcyjny, takie postępowanie burzyło spokój jej ducha.

Choć dwoił się i troił, wciąż ponawiając swoje wysiłki, Harriet udawało się trzymać go na dystans. Nigdy nie pozwoliła sobie zostać z nim sam na sam. Bała się, że znów przyjdą jej na myśl poprzednie momenty zażyłości. Bała się też, że zacznie tęsknić za czymś, czego odpowiedzialna, godna szacunku guwernantka nie powinna sobie nawet wyobrażać w związku z osobą chlebobdawcy.

Skoncentrowała teraz uwagę jak zresztą od początku należało zrobić - na dzieciach. Zdołała wreszcie, choć zajęło jej to nieco czasu, ustalić taki rozkład dnia, żeby nauka i zabawa równoważyły się wzajemnie. Umiejętności małych uczniów okazały się równie zróżnicowane, jak ich wiek, ale uczyli się pilnie, wykazując bystrość i wnikliwość. Cieszyły ją ich postępy, choć z troską rozmyślała nad czekającą je przyszłością.

Nieślubne dzieci ostentacyjnie ignorowano w lepszych rodzinach i Harriet martwiła się, że dziewczynkom trudno będzie zawrzeć korzystne małżeństwa. I dobre towarzystwo, i ziemiaństwo nieprzychylnie traktowało potomstwo z niezalegalizowanych związków, nawet jeśli chodziło o ludzi dobrze urodzonych. Zamożne mieszczaństwo hołdowało jeszcze surowszym zasadom moralnym. Takiej rodziny nie dałoby się skusić nawet sporym posagiem.

Gregory miałby nieco łatwiej, jak zwykle bywa z mężczyznami. Mógłby odnosić sukcesy w interesach, a nawet nabyć niewielki majątek ziemski. Wiele drzwi pozostałoby jednak dla niego zamkniętych na zawsze.

Harriet nie narzekała na niesprawiedliwy los, lecz w głębi duszy wiedziała, że przy odpowiedniej sposobności wygarnęłaby prosto w oczy Wainwrightowi, co myśli o konsekwencjach spółdzenia trojga dzieci, którym nie ma się zamiaru dać własnego nazwiska.

Za wszelką cenę starała się je odpowiednio przygotować do konfrontacji z nieżyczliwym światem. Jeśli zdoła im wpoić poczucie własnej wartości, pozytywne nastawienie do życia i odporność psychiczną, lepiej będą umiały poradzić sobie z wyzwaniem, których życie im nie poskąpi.

Zaczęła jadać posiłki wyłącznie z nimi, uznając, że powinna spędzać z dziećmi jak najwięcej czasu, co miało tę dodatkową zaletę, że nie musiała widywać ich stryja. Szybko jednak przejrzał jej grę i nastawał, żeby obiad spożywali wspólnie.

Było to zaskakujące żądanie i Harriet uznała, że po pierwszym katastrofalnym obiedzie Nathaniel zrezygnuje, lecz on nigdy się nie złościł, gdy dzieci coś rozlały albo nie chciały jarzyn. Sprzeczały się też zawzięcie, poruszając tematy zgoła nieodpowiednie przy stole. Początkowo dyskretnie robiła im uwagi, ale skoro zamierzała zniechęcić samą siebie do spędzania czasu w towarzystwie Wainwrighta, należało pozwolić dzieciom robić i mówić, co tylko chciały.

Nie dało to pożądanego rezultatu, bo Nathaniel najczęściej wydawał się ubawiony ich wyczynami. Czuliła wówczas na sobie jego spojrzenie, wiedziała, że szuka jej wzroku, że pragnie, by dzieliła z nim jego dobry humor. Uparcie jednak patrzyła wtedy w talerz albo na wychowanków, nigdy nie spoglądając ku szczytowi stołu, gdzie zasiadał jej chlebodawca.

Dzięki Bogu żadne z trójki nie orientowało się w grze prowadzonej przez dorosłych. Dzieci zaczęły się nawet cieszyć z wieczornych posiłków, podczas których świetnie się bawiły. Bez żenady rywalizowały o względy stryja, choć nie wyróżniał żadnego z dzieci, traktując każde tak, jakby właśnie ono było najważniejsze.

Obiady stały się więc dla niej koszmarem, ale noce niczym im nie ustępowały. Albo zasypiała nad ranem, nękana wcześniej bezsennością, albo też sen ją morzył tuż po pójściu do łóżka, lecz zaraz potem budziła się i przewracała z boku na bok przez całą resztę nocy.

Chcąc zapełnić czymś bezsenne godziny, Harriet nabrała zwyczaju schodzenia do biblioteki. Mogła tam pracować nad programem lekcyjnym, wertować książki albo po prostu siedzieć wygodnie przy kominku. W tym czuwaniu, kiedy reszta mieszkańców zamku spała, było coś uspokajającego. Dzięki temu szybciej mijały bezsenne noce.

Dzisiaj czas dłużył jej się wyjątkowo. Nie zdołała zasnąć, wstała więc z łóżka, wsunęła stopy w pantofle i zapaliła świecę. Szybko przemierzyła długi korytarz, zeszła po schodach na pierwsze piętro, a potem skręciła za róg.

Na końcu korytarza pojawił się Nathaniel. Zaskoczona, o mało nie krzyknęła. Widać nie tylko jej trudno było zasnąć! Miał na sobie ten sam szkarłatny szlafrok, w którym ujrzała go pierwszego dnia. Jaskrawy kolor podkreślał jego wyraziste, posępne rysy i szerokie ramiona. Wyglądał dumnie, groźnie i był wręcz irytująco przystojny.

Na jego widok zatrzymała się raptownie i prędko zgasiła świecę. Czekwała w ciemnościach, czujnie nad słuchując. Modliła się w duchu, żeby jej nie zobaczył. Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza i Harriet już odetchnęła z ulgą. Prawą ręką namacała za sobą kamienną ścianę i ostrożnie zaczęła się wycofywać.

Nagle na jej nogi padło światło. A więc wiedział, że ona tu jest! Odwróciła się najszybciej, jak mogła, myśląc jedynie o ucieczce.

- Znów mi pani umyka?

Zacząpny ton sprawił, że zamarła w miejscu, a potem powoli odwróciła się, stając twarzą do niego.

- Nie umykam, po prostu idę sobie. Do mojego pokoju. Już dosyć późno.

- Istotnie, późno. - Spojrzał na nią sceptycznie. - Sądząc po nocnej bieliźnie, nie może pani zasnąć. Czy nie szła pani przypadkiem do biblioteki?

Nie odpowiedziała. Nie powinno jej dziwić, że wiedział o jej nocnych wędrówkach.

- Jeśli naprawdę tak jest, to przecież pani stamtąd nie przepędzę. Zdołała się opanować, choć nie przyszło jej to łatwo. Skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała mu gniewnie w twarz.

- Nie dam się stamtąd przepędzić ani panu, ani komukolwiek innemu. Uśmiechnął się sarkastycznie.

- Dlaczego ucieka pani zawsze w przeciwnym kierunku, gdy tylko znajdę się w pobliżu?

- Wcale nie uciekam. Po prostu moje obowiązki zabierają mi mnóstwo czasu.

- Zawsze odpowiada mi pani lodowato, obojętnie, o czym rozmawiamy.

- Bzdura. - Przeszył ją dreszcz, gdy zimny podmuch powietrza owionął jej kostki. - Jestem zbyt

zajęta, żeby pozwalać sobie na błahe pogawędki.

- W korytarzu hulają zimne przeciągi, a w bibliotece jest ciepły kominek. Lepiej nam się będzie dyskutowało w jej zaciszu.

Harriet zdusiła w sobie ciętą odpowiedź i spojrzała na niego podejrzliwie. Owszem, szczerą rozmową zapewne oczyściłaby atmosferę, ale czy nie ryzykuje zbyt wiele, pozostając z nim bez świadków?

- Wolalabym zostawić je otwarte - powiedziała, gdy przepuścił ją przed sobą w drzwiach.

Uniósł brwi sceptycznie, ale Harriet nie dała się zbić z tropu. Przede wszystkim musi unikać wszelkiego fizycznego kontaktu. Bliskość sprawiała, że rodziła się między nimi jakaś ekscytacja, ilekroć znaleźli się sam na sam. Zacisze biblioteki groziło, że i tym razem tak się stanie. Nie chciała potęgować uczucia odosobnienia, pozwalając na zamknięcie drzwi.

- Niech pani siada. - Nie dbam o...

- Proszę usiąść! - warknął zniecierpliwiony.

Poczuła, że się robi czerwona. Nie wzięła pod uwagę jego imponującej postury. Potrafił się wydać groźny, zwłaszcza kiedy czegoś żądał.

Osunęła się na najbliższy mebel, ponieważświe stwierdzając, że to niewielka sofa. Nathaniel natychmiast skorzystał z jej błędu i zajął miejsce tuż przy niej. Dotykał jej teraz ramieniem i udem. Dreszcze, które nią wcześniej wstrząsały, znikły; zamiast nich czuła uderzenia gorąca.

Chciała przesiąść się na stojący znacznie dalej fotel, ale oznaczałoby to, że przywiązuje zbyt wielką wagę do faktu, że znajdowali się tak blisko siebie.

- Zdaje mi się, że głęboko panią czymś uraziłem. Chętnie bym się wytłumaczył i przeprosił, ale najpierw muszę wiedzieć, co takiego zrobiłem.

Patrzyła w ogień, dziwiąc się, że Nathaniel w ogóle zdecydował się coś powiedzieć.

- Jestem tylko guwernantką. Moje opinie i odczucia nie powinny mieć dla pana znaczenia.

Ku jej szczeremu zdziwieniu wybuchnął śmiechem, zamiast rozgniewać się czy zirytować.

- Do licha, musiałem popełnić wyjątkową gafę, skoro mówi pani do mnie tonem godnym srogiej guwernantki.

Jowialna wesołość uraziła ją dotkliwie.

- Jakże mi miło, że mogę pana rozweselić. Spoważniał w okamgnieniu.

- Odgradza się pani ode mnie, i to świadomie. A myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Pan jest moim chlebodawcą a ja pracownicą i nie powinniśmy być dla siebie niczym więcej.

- Na Boga, przecież właśnie jesteśmy czymś więcej.

- Gdyby tak istotnie było, nie musiałby pan ukrywać przede mną prawdy o dzieciach.

- Co pani ma na myśli?

Harriet spojrzała na niego z ukosa. Dlaczego z takim wysiłkiem gra przed nią, udając nieświadomość?

- Prawda nie zawsze bywa przyjemna, ale jako ludzie dorośli musimy ponosić konsekwencje swojego postępowania. - Wstała i podeszła do otwartych drzwi. - Próbował pan ukrywać ją przede mną, ale ja potrafię obserwować i rozumować. Rozszyfrowałam pański sekret, Nathanielu.

No, wreszcie to powiedziała. Nie wiadomo dlaczego poczuła nagle, że łzy napływają jej do oczu. Przesłoniła usta zaciśniętą w pięść dłońią, żeby pohamować łkanie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie nawet sprawy, jak głęboko czuje się dotknięta jego dwulicowością i brakiem zaufania.

Nathaniel zerwał się z sofy i zasłonił sobą drzwi. - Co pani powiedziała?!



Uniosła wyzywająco podbródek.

- Domyśliłam się tego, co tak zawzięcie chciał pan przede mną zataić. Rozszyfrowałam pana sekret.

- Niemożliwe! Zatrzasnął drzwi tak gwałtownie, że jedna z książek wypadła z półki i z hałasem runęła na posadzkę.

Zaśmiała się nieszczerze. Czyżby nadal chciał kłamać i wypierać się prawdy?

- Nie trzeba być mędrce, żeby dostrzec prawdziwą naturę więzi, jakie łączą pana z dziećmi. Przecież to się wprost rzuca w oczy, jest jasne jak słońce. Oczywiście ma pan prawo trzymać ją w sekrecie, ale jeśli pańska fałszywa duma - skoro już mam nazwać po imieniu owo uczucie - przyczynia cierpienie niewinnemu dziecku, nie będę się temu obojętnie przyglądać i nie pozwolę na coś podobnego.

Oczy mu ściemniały, oddech stał się urywany. Podeszedł do niej i zanim zdołała zareagować, chwycił ją mocno za ramiona. Z ledwie hamowaną wściekłością przyparł do ściany.

- Wielkie nieba, Harriet, to są po prostu brednie. Co pani właściwie zrobiła?

Serce podeszło jej do gardła. Choć wmawiała sobie, że Nathaniel nie ośmieli się użyć wobec niej siły, trochę się go bała.

- Postąpiłam, jak mi nakazywało sumienie. - Co do licha pani przez to rozumie? spytał chrapliwym głosem. - Proszę mi natychmiast powiedzieć, co pani uczyniła!

- Napisałam list do pani Hutchinson - odparła po chwili ciszy - i poprosiłam ją, żeby odesłała lalkę Jeanne Marie do Hillsdale Castle. Dałam jej dokładne wskazówki i załączyłam pewną sumę na pokrycie kosztów przesyłki.

Poczuła, że cały zadrżał, powoli zdjął dłonie z jej ramion, choć patrzył na nią tak, jakby chciał spopielić ją wzrokiem. Ręce się jej trzęsły, gdy poprawiała na sobie koszulę nocną i szlafrok. Wciąż jeszcze czuła żelazny uścisk jego palców i dotyk twardego, muskularnego ciała.

Widziała jak traci nad sobą kontrolę. Przeraziło ją to. Nie sądziła, by potrafił ją skrzywdzić. Zrozumiała po prostu, że stało się coś strasznego. Zaczęły ją nękać wątpliwości.

- Kategorycznie pani zakazałem porozumiewania się z kimkolwiek, kto przedtem znał dzieci. Dlaczego pani to zrobiła? Napięcie Harriet sięgnęło szczytu. - Jeśli pani zna mój sekret, wie pani również, że dzieci muszą pozostawać w ukryciu, bo inaczej mogę je utracić.

- Przecież to pana własne dzieci - jęknęła z desperacją. Wolno je panu zabrać gdziekolwiek.

- Nie - westchnął. Nie jestem ich opiekunem z ramienia prawa. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Jak to nie? W końcu jest pan ich ojcem.

- Ojcem?! wybuchnął. - Niech to diabli, tak pani myśli?!

- Świadczy o tym choćby podobieństwo między Gregorym a panem. Chłopiec musi być pańskim synem.

- Nie jest nim. - Nathaniel spojrział na nią z absolutnym zaskoczeniem. - Choć dałby Bóg, żeby tak było, bo wtedy nie znalazłbym się w takim kłopotcie. - Spojrział na nią zgnębiony. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć o tym liście.

Poczuła niemiły ucisk w żołądku. Nathaniel prawie ją przekonał! Czy to możliwe, żeby Gregory nie był jego synem?

- Jeanne Marie nie może wprost żyć bez swojej lalki. Myślałam, że wstydzi się pan nieślubnego dziecka, i stąd wynika zakaz kontaktów z dawnymi znajomymi i służbą. Napisałam więc po cichu do gospodyni i tak wszystko urządziłam, żeby list oddano jej do rąk własnych w Londynie.

- Skąd pani wie o Londynie i o gospodyni?

Harriet nie była zbyt dumna ze sposobu, w jaki uzyskała informacje, ale opowiedziała mu - choć nie bez oporów - całą resztę. Łącznie z tym, jak udało się jej przesłać list przez brata stajennego.

- Wszystkie moje plany obróciły się wniwecz. - Wsparł się o drzwi i otarł twarz dłonią. - Phoebe, Jeanne Marie i Gregory to dzieci mego starszego brata, Roberta, i jego żony, Bernadette. Obydwoje zmarli w początkach stycznia na influencę. Robert chciał, żebym to ja je wychowywał, ale testament nie miał stosownego kodycyłu. Mój stryj został oficjalnym opiekunem dzieci. Wymusił to, gdyż zależało mu na fortunie, którą dziedziczą, oraz wysokiej pozycji w towarzystwie. Dlatego zabrałem je z Londynu bez jego wiedzy i zgody, a potem ukryłem w Szkocji. Tutaj są bezpieczne.

- Jakąż pozycję mogą mieć dzieci, by interesowała dorosłego? Wyraźnie unikał jej wzroku.

- Nie jesteśmy rodziną kupiecką. Gregory ma tytuł książęcy. Ściślej biorąc, to ósmy książę Claridge.

A zatem kłamstwo sięgało dużo głębiej, niż przypuszczała, choć zawsze podejrzewała, że Nathaniel podaje się za kogoś innego.

- Jakoś nigdy nic wierzyłam, że zajmuje się pan handlem wełną. Harriet zaśmiała się z lekką ironią.

- Nazywam się Nathaniel Bennet. Wprawdzie nie zostaliśmy sobie nigdy oficjalnie przedstawieni, ale wiem o pani wszystko. - Zgiął się przed nią w szyderczym ukłonie. Powiniennem być przewidzieć, że narobi mi pani kłopotów, i mieć na tyle rozumu, żeby panią odesłać; całą przemoczoną i najzupełniej niepodobną do typowej guwernantki. Miałem szczerą ochotę tak właśnie postąpić, ale jak ostatni głupiec zlekceważyłem własną intuicję.

- Wiedział pan, kim jestem? - Harriet zmartwiała.

- Oczywiście - odparł z aroganckim parsknięciem. - Jak zresztą wszyscy. Osławiona panna Harriet Sainthill, zamieszana w najgorszy skandal zeszłego sezonu i powszechnie obmawiana w towarzystwie.

Sarkastyczny ton Nathaniela był nie do zniesienia. Stała bez słowa, upokorzona i zrozpaczona. Desperacko walczyła, nie chcąc dać się ponieść emocjom. Mężczyzna stracił panowanie nad sobą, za co mogła winić tylko siebie. Jej nieprzemyślany postępek naraził dzieci na niebezpieczeństwo. Zrzućmy plany Nathaniela.

Powinna go przeprosić. Rozumiała, dlaczego starał się za wszelką cenę chronić dzieci. Potrzebowała czasu, żeby zebrać myśli. Spojrzała na swoje palce - bezwiednie skubały przód szlafroka. Gdy oderwała od nich wzrok, Nathaniela nie było już w bibliotece.

Biegł korytarzem, czując, że pot spływa mu po twarzy. Nie mógł ani chwili dłużej tam pozostać, nie mówiąc Harriet czegoś jeszcze okrutniejszego. W gniewie dążył do tego, by jego słowa zraniły ją jak najmocniej.

Wszystkie jego precyzyjnie obmyślane plany rozsypały się w jednej chwili. Przepadły! A zrzućmy ją kobieta, która myślała, że wie więcej od niego. O wszystkim miała własne zdanie i w rezultacie dzieci i on poniosą fatalne konsekwencje jej czynów.

Prawda, nie było to wyłącznie jej winą. Wyciągnęła po prostu błędne wnioski z fałszywych przesłanek i kierując się nimi, wszystko zniszczyła. A niech to! Nieślubne dzieci! Czyżby go brała za jakąś amoralną kreaturę?

Ale to nie jej błędne wnioski najbardziej go przygnębiały. Świadomie zignorowała jego zakaz i przeciwstawiła się jego woli. Nie docenił siły jej charakteru, nie domyślił się, jak jest przebiegła i

uparta. A za jego błędną ocenę zapłacą inni.

Gotów był uznać swój początkowy wybuch gniewu za usprawiedliwiony, ale gdy przypomniał sobie pobladłą twarz Harriet i jej oskarżycielski wzrok, poczuł się fatalnie. Najbardziej był zły na samego siebie.

Myślał, że nad wszystkim panuje, że każdy jego ruch jest ostrożny i przemyślany. Tymczasem to on sam wszystko zepsuł. To on naraził dzieci na niebezpieczeństwo, to on uraził boleśnie uczucia kobiety, która zawiniła jedynie nadmierną troską o dzieci i miała zbyt wiele charakteru, żeby ścierpieć wyrządzaną im krzywdę.

Z głośnym przekleństwem wpadł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi, głowiąc się, jak, u licha, zdoła sobie poradzić z tym całym kramem.

Harriet nie wiedziała, jak wiele czasu zajęły jej rozmyślania. Ciało było znużone i senne, lecz umysł nie pozwalał mu na spoczynek. Wciąż na nowo wyrzucała sobie swoją głupotę.

Wreszcie zmusiła się, żeby pójść do łóżka. Uczyniła to automatycznie, jakby ciało w jakiś sposób oddzieliło się od woli. Leżąc na plecach, z kołdrą podciągniętą pod samą brodę, patrzyła w sufit.

Oczy ją piekły, w piersi czuła straszliwy ciężar, w gardle ją dławiło. Zaciśnęła powieki, chcąc zmniejszyć ból, ale łzy nie chciały popłynąć. W końcu zaczęła tłuc pięściami w poduszkę, ale tylko się zadyszała. Zrozumiała, że nie usnie, póki nie porozmawia z Nathanielem, nie wyjaśni mu swego postępowania i nie przekona go, że jej błąd wynikał ze szlachetnych pobudek. Odrzuciła kołdrę i włożyła szlafrok, nie mogła jednak nigdzie odnaleźć pantofli. Nie warto było tracić czasu - wyszła z pokoju bosą.

Ledwie czuła chłód posadzki, wszystkie jej myśli koncentrowały się wyłącznie na spotkaniu z Nathanielem. Kiedy dotarła do drugiej części zamku, zobaczyła, że w jego sypialni pali się światło. Nie zapukała do drzwi ze strachu, że nie pozwoliłby jej wejść. Pchnęła je bez żadnych wstępów.

Rozległ się głuchy pomruk. Spojrzała w stronę kominka. Znad posadzki zaczęła się dźwigać masa czarnych kudłów.

- Jak się masz, Brutus pozdrowiła go półgłosem. Pies wyprostował powoli tylne łapy i podszedł do niej, machając ogonem. Podrapała go za uszami, otrzymując w zamian kilka liźnięć.

Nathaniel podszedł do drzwi i uchylił je szerzej.

- Precz!

Nawet nie pozwolił mi wytłumaczyć, pomyślała spłoszona i spojrzała na niego błagalnie. Dopiero po chwili pojęła, że zwracał się do psa.

Jeszcze raz powtórzył „Precz!” i Brutus, ze zwieszonym łbem, wysunął się z wolna z pokoju. Kiedy mijał Nathaniela, Harriet dosłyszała, że ten mruknął pod nosem jakieś słowo brzmiące jak „zdrajca”.

Zamiast szlafroka miał na sobie koszulę, kamizelkę i surdut. Pod szyją zawiązał fular. Sypialnię, prócz świec, oświetlał księżyc. W jego blasku lord Avery wyglądał w każdym calu na aroganckiego, zarozumiałego arystokratę. Harriet zdumiała się, że nie zauważyła tego wcześniej. A może nie chciała zauważyć?

Należał do tego typu mężczyzn, jakich się najbardziej bała. Był uparty, stanowczy i bezwzględny. Że też musiała się zakochać właśnie w nim. I mimo rozczarowania, mimo tego, co powiedział jej parę godzin temu, nadal go kochała.

- Chciałam prosić, żeby mnie pan wysłuchał zaczęła. Wiem, że jest pan na mnie zły, bo wszystko popsułam, ale musi pan wiedzieć, że tego nie chciałam. Jestem uparta i gdy raz wbiję sobie coś do

głowy, nie umiem z tego zrezygnować. Wiem, że to wada, i przyrzekam, że skorzystam z lekcji, jaką otrzymałam. Już nigdy więcej nie podejmę tak pochopnej decyzji. - Odruchowo ujęła go za rękę. Nie cofnął jej wprawdzie, lecz nie odwzajemnił uścisku. Kocham te dzieci i zrobiłam to z miłości do nich. Nie mogłam się pogodzić z cierpieniem Jeanne Marie, zwłaszcza że, jak sądziłam, łatwo mogłam mu zaradzić.

Spojrzała mu w twarz, żeby się przekonać, czy jej słucha. Minę miał obojętną, ale przynajmniej nie wyrzucił jej z pokoju, jak nieszczęsnego Brutusa. Harriet zmusiła się, żeby mówić dalej.

- Teraz wiem, że przed napisaniem listu powinnam była przyjść po radę do pana.

- A cóż ja bym pani mógł powiedzieć? Z pewnością nie prawdę. - Zmarszczył brwi i przeciągnął po ustach grzbietem dłoni. Obydwoje mamy sobie coś do zarzucenia. Moje zachowanie też narobiło sporo złego. Nie powinienem był traktować pani tak surowo. Moje słowa były okrutne i niewybaczalne. Proszę o wybaczenie.

Harriet zaczerpnęła gwałtownie tchu i usiłowała zebrać myśli. Nathaniel puścił jej rękę, a potem się uśmiechnął. Poczula, że ogarnia ją wzruszenie.

Naprawdę rozpoznałem panią tuż po przyjeździe i chciałem panią od razu odesłać. Nie z powodu jakiegoś niedorzecznego skandalu, ale ze względu na pani inteligencję. Bałem się, że odkryje pani prawdę. Potem zrozumiałem, że coś mnie do pani przyciąga. Charakter, siła woli, kobiecy urok. Wyraz jego twarzy coraz bardziej łagodniał. I zdałem sobie sprawę, że nie zniosę myśli o tym, że może mnie pani opuścić, zniknąć na zawsze.

- Naprawdę?

- O Boże, tak. - Poglądził jej policzek, nachylił się i pocałował ją. Długo, mocno, powoli. Zakręciło się jej w głowie. Graniczyło z cudem, że zdołała utrzymać się na nogach.

Niechętnie oderwali się od siebie i wymienili spojrzenia. Wiedzieli, że to jeszcze nie koniec.

- Co pan teraz robi? spytała, biorąc głęboki oddech, żeby uspokoić bicie serca. - W jaki sposób ochroni pan dzieci przed stryjem?

- Zabiorę je do Edynburga, Tam, pod opieką Duncana, będą bezpieczne, póki czegoś nie wymyślę.

Harriet uznała, że to rozsądne rozwiązanie.

- Pojadę z panem.

- Nie. W tych okolicznościach najlepiej byłoby, aby pani wróciła do Anglii.

- Nie pozwolę, żeby mnie pan odesłał odparła ostro. Znów narastał w niej gniew.

- Nie mam zamiaru pani karać. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Mój stryj jest człowiekiem podstępny. Proszę mi wierzyć, nie powinna pani być w to wszystko wplątana.

- Przecież już się tak stało.

Istotnie, trudno zaprzeczyć. - Wstał, rozprostował ramiona, ucałował ją w czubek nosa i się uśmiechnął. Jestem doprawdy nieznośnym egoistą, bo się z tego cieszę, droga Harriet.

Strach, który tkwił gdzieś głęboko wewnątrz niej, zaczął powoli niknąć. Nathaniel nie odrzucał jej, chociaż popełniła błąd. Akceptował ją, troszczył się o nią, a może nawet ją kochał!

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Musiała jednak odwołać się do swojej odwagi.

Harriet zamknęła drzwi, starając się robić to jak najciszej, a potem przekreśliła klucz. Zamek szczęknął, nieoczekiwanie poczuła dreszcz podniecenia. Potem, z bijącym sercem i z uśmiechem na twarzy, panna Harriet Sainthill śmiało ruszyła ku swemu przeznaczeniu.

Podeszła do niego bardzo blisko. Nathaniel szukał wzrokiem jej oczu.

- Harriet...

Ostrzegł ją, posunęła się za daleko. Ogień na kominku oświetlił jej kształtną sylwetkę.

- Chcę tego. Naprawdę.

- To źle.

Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na niego zaskoczona, z przechyloną głową, jakby powiedział coś nonsensownego.

- To nie może być złe, skoro w głębi duszy czuję, że właśnie jest dobre.

- Harriet, wiesz, że nie mogę dać ci tego, czego pragniesz. I na co zasługujesz. Parsknęła śmiechem.

- Dawniej inaczej do mnie mówiłeś. Nathaniel poczuł, że się czerwieni.

- To było przedtem.

- Przed czym? Nim zdecydowałam, że chcę się z tobą kochać?

- Nie, przed... - urwał, wiedząc, że nie może jej tego powiedzieć. To było złe, bo jego przyszłość rysowała się niepewnie. Było złe, bo mógł jej ofiarować jedynie kilka pełnych satysfakcji nocy i nic więcej.

Wyczuła jego wahanie.

- Czy ty aby nie jesteś rozpustnikiem, milordzie?

- Co to znaczy?

- No cóż, nieraz mi się zdarzało słyszeć, że sypianie z rozpustnikiem ma swoje dobre strony.

Może chcę się teraz przekonać, czy to prawda.

Rozzłościły go te słowa.

- Czy mam być dla ciebie tylko tym? Wygodnym partnerem do łóżka? Zaśmiała się.

- No, a co ty na to?

Do pioruna, zachowuje się jak narwany głupiec! Nigdy dotąd nie doświadczył jeszcze takiej burzy uczuć. Wiedział jednak, że te uczucia są najczystsze. Darzył Harriet głęboką miłością.

Zaskoczony siłą swoich emocji, odwrócił głowę. Harriet schwyciła jego dłoń i przytuliła ją do twarzy.

- Czy to naprawdę takie straszne? - szepnęła.

Powiódł grzbietem dłoni po jej policzku i się nachylił. Ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Patrzyła na niego tak, jakby chciała wyrazić wzrokiem wszystko, co czuje. Niemal dotykał jej warg swoimi, a kiedy ich usta się zetknęły, zrozumiał, że jeden pocałunek nie wystarczy, że nawet całej spędzonej z nią nocy nie będzie mu dosyć. Powiódł spojrzeniem po jej ciele. Koszuli i szlafroka, które miała na sobie, nie można było uznać za specjalnie kuszący strój, ale stała tak blisko ognia, że wszystko przez nie prześwitywało.

Mógł wyraźnie dojrzeć zarys jędrnych piersi - jakby stworzonych dla niego - i długich, smukłych nóg. Promieniowało z niej ciepło i witalność.

Stała chwiejnie na czubkach palców i przechyliła głowę, jakby prosząc się o następny pocałunek. Ledwie się opanował. To było złe! - Przestań.

- Nie mogę. - Znów go pocałowała. - I nie chcę. - Jej ręce prześliznęły się wzdłuż surduta, aż po ramiona. - Czy zechce pan to zdjąć, milordzie? Służę pomocą.

Czuł zapach lawendowego mydła i woń jej skóry, gdy rozbierała go z surduta.

- Teraz kamizelka - szepnęła.

Robiła to niezręcznie, ale zdecydowanymi ruchami, i wkrótce kolejna sztuka odzienia wylądowała na podłodze obok surduta. Nathaniel dotknął jej twarzy, musnął podbródek. Znowu zajrzeli sobie w oczy.

Jej pocałunki i dotyk krągłych piersi były wielką pokusą. Przez chwilę zapragnął się jej poddać, lecz zrezygnował.

- To niegodne, niehonorowe. Zostałabyś tylko moją kochanką, a zasługujesz na dużo więcej. Na małżeństwo, szacunek, godne miejsce w społeczeństwie. Może kiedyś będzie to możliwe, ale teraz nie.

Uśmiechnęła się. Zaraz potem wzruszyła ramionami i próbowała rozluźnić węzeł jego fulara.

- Nie będę kłamać. Kiedyś wszystkie te rzeczy wiele dla mnie znaczyły, dziś już nie. Nie zależy mi specjalnie na małżeństwie. Nie potrzebuję uświęconego związku, żeby dać wyraz temu, co czuję. Kocham cię i uważam, że to co robimy, jest wspaniałe.

Kochała go? Jakże to było możliwe? Po wszystkim, co zrobił, nie zasługiwał na tak cenny dar. A jednak w głębi serca coś mu mówiło, że może to być prawda.

- Harriet... - Nie, Nathanielu, ja nie będę twoją kochanką. Nie pójdę z tobą do łóżka w zamian za pieniądze czy opiekę. - Spojrzała na niego tak przenikliwie, że poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. - Nie będę twoją kochanką, ale będę kobietą, która cię kocha. Z największą radością. Z największą chęcią.

Jakaś część jego jestestwa wiedziała, że nie ma prawa przyjąć tego daru. Harriet była kimś wyjątkowym. Zasługiwała na dużo więcej, niż mógł jej w tej chwili dać.

- Będę najbardziej chętną, najponętniejszą, najbardziej uwodzicielską kobietą, która cię kocha. Proszę, nie odtrącaj mnie, Nathanielu.

Objął ją ciasno ramionami i przytulił do siebie. Pocałował namiętnie, głęboko, podtrzymując jej głowę dłonią. Harriet była dość wysoka, ale w jego uścisku czuła się krucha i delikatna. Jęknęła z rozkoszy i przylgnęła do niego całym ciałem. Była kobietą w każdym calu. Pociągnął mocno za pasek szlafroka, a potem zsunął go z jej ramion. Szybko uporał się z rzędem drobnych guziczków przy koszuli. Drgnęła, gdy ją rozchylił, uwalniając jedną z piersi, którą zważył w dłoni.

- Jakże jesteś piękna - szepnął, podziwiając śmietankową skórę i twarde, brązowe sutki. Objął ją w pół i zsunął z niej koszulę. Była pod nią cudownie naga. Ciało miała ciepłe, delikatne, doskonale gładkie, czekające na jego dłonie. Dotykał jej czule, subtelnie, tam gdzie najbardziej pragnęła. Odchyliła się wtedy w tył i krzyknęła.

- Ciszej, moja miła. Chyba nie chcesz zbudzić całego domu?

Odpowiedziała mu niewyraźnym pomrukiem. Uśmiechnął się zadowolony. Jego palce precyzyjnie zagłębiały się w nią coraz bardziej za każdym ruchem, póki nie otworzyła się przed nim, pozwalając mu dosięgnąć bariery swego dziewictwa.

Wiedział, że ona musi tam być. Wiedział, że Harriet nie znała przed nim żadnego mężczyzny. Kiedyś kochała innego, ale to minęło. Teraz kochała jego. I dała wyraz swojej miłości w najprostszy, najbardziej ufny sposób - oddając się mu. Przez chwilę nie był pewien, czy jest tego wart, lecz gdzieś w głębi duszy wiedział, że będzie strzec tej ufności i tej miłości przez resztę życia. Była jego. Należała do niego i do nikogo innego.

- Przeniosę cię na łóżko mruknął. Wziął ją na ręce i ułożył na pościeli. Potargane włosy spływały jej na ramiona. Z uniesionymi piersiami o miękkich, brązowych sutkach, wyglądała na istotę grzeszną

i niewinną jednocześnie.

Rzucił na podłogę fular, zdarł z siebie koszulę.

- Jakie to dziwne. Harriet szybkim, nerwowym ruchem przeciągnęła językiem po wargach. - Myślałam, że bez ubrania mężczyzna wygląda bezradnie i słabo, ale ty, przeciwnie, robisz wrażenie jeszcze silniejszego.

Dotknęła go i to rozpałiło ich jeszcze bardziej. Szybko pozbyli się ostatniej przeszkody, jaką stanowiła jej koszula nocna. Kiedy położyła dłoń na jego piersi i pocałowała naprężony sutek, Nathaniel poczuł, jak po kręgosłupie przepłynął mu dreszcz. Jej wilgotne, gorące wargi znaczyły ognisty szlak w dół jego ciała - to była prawdziwa tortura. Niewiele brakowało, żeby się skompromitował, gdy Harriet zaczęła gładzić jego męskość.

- Dobry Boże, gdzie się tego nauczyłaś?

- Po prostu staram się naśladować twoje pieszczoty. Podniosła głowę. Czy zrobiłam to źle?

Nathaniel odetchnął głęboko i przewrócił ją na plecy.

- To było wspaniałe, ale jest kilka innych rzeczy, które chciałbym ci pokazać.

Wiedział, że wystarczy jedno spojrzenie na jej śliczną twarz i nie zdoła pohamować dłużej swego dzikiego pragnienia. Jego pocałunki stały się gwałtowniejsze. Wsunął kolano pomiędzy jej uda i ułożył się pomiędzy nimi. Oparł swój ciężar na przedramionach i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jesteś tylko moja powiedział i pchnął z mocą.

Gwałtownie zaczerpnęła oddechu, ale się nie wycofała. Wyciągnęła ku niemu rękę. Nigdy przedtem nie przeżył z kobietą czegoś tak intensywnego, tak doskonałego. A przecież stawiała przy nim ledwie pierwsze kroki! Kto wie, czego mogłaby się nauczyć, gdyby dane mu było pozostać przy jej boku i powoli wprowadzać ją w świat rozkoszy; gdyby stał się jej mistrzem.

Dyszeli obydwój, chwytając powietrze wielkimi haustami, ciężko, z wysiłkiem i w nierównym rytmie. Wreszcie Nathaniel padł na wznak, całkowicie wyczerpany. Przygarnął ją do siebie, tak że głowa Harriet spoczęła w zagłębieniu jego barku, i wtulił twarz w jej policzek. Ogarnęła go wielka fala czułości. Czuł głęboką potrzebę chronienia jej, chciał zapewnić Harriet wszelkie wsparcie, jakiego tylko mogła potrzebować.

Zapadł w krótką drzemkę zmoгло go wyczerpanie. Kiedy się ocknął, Harriet leżała skulona obok niego. Odwrócił ją twarzą ku sobie i odgarnął jej włosy z czoła. Otworzyła oczy, a potem znów je zamknęła, tłumiąc ziewnięcie.

- Zmęczyłaś się?

Potrząsnęła przecząco głową i spojrzała na niego z wyraźnym zadowoleniem. Spodobał mu się ten na wpół senny, pełen satysfakcji uśmiech. A jeszcze bardziej cieszyło go, że to on go wywołał.

- No i jak? W porządku?

- Bolało trochę bardziej, niż się spodziewałam. Przesunęła palcami po ciemnych włosach na jego piersi. To bardzo dziwne uczucie, kiedy część czyjegoś ciała znajdzie się wewnątrz twojego własnego.

Uśmiechnął się.

- Nie żałujesz niczego?

Uniosła się lekko i musnęła wargami jego ucho.

- Czy mam przez to rozumieć, że ci się podobało?

- Owszem, możesz tak myśleć odparła ze śmiechem.

- Jak się czujesz? Pewnie jesteś bardzo obolała?

Ukryła twarz w jego ramieniu, ale zdołał dostrzec, że się zaczerwieniła.

- Jak bardzo staliśmy się sobie bliscy w tak krótkim czasie - stwierdziła z zaskoczeniem. Znow przesunęła palcami po jego piersi. Zdaje mi się, że to polubię - powiedziała.

Harriet, wsparta na łokciu, wpatrywała się w Nathaniela z nieskrywanym zadowoleniem. Cień zarostu nadawał mu wygląd człowieka bezwzględniego, lecz ona wiedziała, że jego męską siłą łagodzi dobre, czułe serce. Piers Nathaniela wznosiła się w regularnym rytmie, ale ona miała w sobie zbyt wiele energii, żeby spać.

Nieustannie poruszała nogami, w nadziei, że go obudzi. Ruchy te powodowały jednak ból w miejscach, co do których przedtem nawet nie przypuszczała, że mogłyby ją boleć. Ale to się nie liczyło. Te dziwne odczucia napełniały ją bezbrzeżną radością bo były przecież dowodem, że jest kochana.

Świtało już. Wiedziała, że powinna pozwolić mu dalej spać, ale nie mogła się powstrzymać od dotykania go. W każdym miejscu. Wszędzie. Przeciągnęła lekko palcem po jego nosie. Zmarszczył się. Uradowana, powtórzyła ten ruch, a potem zdmuchnęła włosy, które spadły mu na czoło. - Przestań.

- Ach, obudziłeś się? Wspaniale! Nathaniel otworzył oczy.

- A czemu ty nie śpisz? Powinnaś omdlewać z wyczerpania po tak męczących ćwiczeniach.

- No cóż, wcale nie jestem wyczerpana.

- Czy to ma być wyrzut? W oczach błysnęło mu rozbawienie.

- Nie wiem. W końcu jesteś moim pierwszym mężczyzną, więc nie mogę robić porównań. Może ktoś młodszy byłby dla mnie bardziej odpowiedni?

- W twoim łóżku nigdy już nie będzie nikogo innego prócz mnie, zapamiętaj sobie. - I żeby podkreślić swoje słowa, objął ją mocno w pasie.

Serce zaczęło jej silniej bić, kiedy usłyszała tę deklarację, ale wiedziała, że jest wiele ważniejszych spraw, które czekają na rozstrzygnięcie.

- No a teraz, gdy już wszystko zepsułam, w jaki sposób możemy umknąć z Highlands i nie dać się złapać?

Dotknął wargami jej czoła.

- Nie zepsułaś wszystkiego, Harriet. Po prostu sprawiłaś, że będziemy musieli stawić czoło groźniejszemu wyzwaniu.

- Nie żartuj sobie. Jestem dostatecznie przygnębiona i nie musisz mi jeszcze dodawać zmartwień.

Uniósł głowę znad poduszki.

- Obydwoje wiemy, że wzajemne oskarżenia nie prowadzą teraz do niczego. I że musimy odtąd dzielić się odpowiedzialnością.

- Tak, ale nie w jednakowym stopniu.

- Zgoda. Tym razem ty zrobiłaś większe głupstwo. Następnym razem mnie to przypadnie w udziale.

Harriet wyciągnęła nogi i poruszyła palcami stóp. Chciała wziąć na siebie całą winę, ale Nathaniel miał rację. Biadolenie było zwykłą stratą czasu.

- Nie możemy pozwolić, żeby stryj odnalazł dzieci. Zgadzam się, że najlepiej byłoby pojechać do Duncana, ale nie jestem pewna, czy należy opuścić zamek. Może lepiej ukryć się w jego murach, niż ryzykować, że schwytają nas na drodze?

Nathaniel westchnął i przesunął ręką po jej plecach.



- Hillsdale Castle stoi na odludziu. Nie mam ochoty stanąć oko w oko ze stryjem lub zgrają jego szpicli bez świadków. Myślę, że mój plan, żeby szukać schronienia u Duncana w Edynburgu, jest najlepszym pomysłem. Jeśli tylko będzie to możliwe, powinniśmy wyruszyć już dzisiaj.

- Mam pewien pomysł w związku z tą wyprawą - zaczęła Harriet. - Pojedziemy do Edynburga, udając rodzinę. Zamożny kupiec podróżuje z żoną i trojgiem dzieci. Utrudni to zadanie następującym nam na pięty agentom.

- Możliwe.

- Czytaliśmy z dziećmi o historii Szkocji i to podsunęło mi myśl, choć może ryzykowną.

- Nie spodziewałem się po tobie innej. Postanowiła puścić ten docinek mimo uszu.

- Dzieci bardzo się przejęły różnymi opowieściami o zuchwałych wyczynach. Ostatnio czytałam im o Florze MacDonald, bohaterce szkockiej, która ocaliła życie młodszemu pretendentowi po klęsce pod Culloden, przebierając go za dziewczynę. Mimo olbrzymiej nagrody wynoszącej trzydzieści tysięcy funtów żaden Highlander nie zdradził swego księcia.

- O tak, Szkoci są lojalni - mruknął. Zwłaszcza względem swoich ziomków.

- Może skorzystamy z tego przykładu?

- Co, miałbym się przebrać za kobietę? Harriet wybuchnęła śmiechem.

- Boże, cóż to byłby za widok!

- Chętnie zapłaciłabym trzydzieści tysięcy funtów, żeby tylko cię ujrzeć w czepku i fartuchu!

- Nawet dla dobra dzieci za nic...

- Och, uspokój się. - Harriet wciąż jeszcze chichotała. - Jeśli rzeczywiście w okolicy kręcą się szpicle, to będą szukać kogoś podróżującego z dwiema dziewczynkami i małym chłopcem. Gdybyśmy ubrali Gregory'ego w sukienkę, moglibyśmy udawać rodzinę kupiecką z trzema córkami. Nawet jeśli natkniesz się na agenta, nie powinien zwrócić na nas uwagi.

- Jak Gregory zniesie tę maskaradę? Pomyślałaś o tym?

- Przecież McTate nosi spódniczkę i wcale nie uważa, że to coś gorszego.

- Bądźże rozsądna!

- Właśnie że jestem. Dobrze ci mówić, że obydwójce jesteśmy winni, ale ja mam silne poczucie odpowiedzialności i zrobię wszystko, żeby naprawić swój błąd.

- Spróbujmy więc tego sposobu. - Nathaniel spojrział w okno. - Na dworze jeszcze ciemno, ale już wkrótce zaczną świtać. Ile czasu potrzebujesz?

- Myślę, że szybko przerobię dla niego którąś z prostszych sukienek Jeanne Marie. - Harriet się skrzywiła. - Oczywiście, najtrudniej będzie go namówić, żeby się w nią zechciał ubrać!

## 18

Jerome Brockhurst nie przepadał za końmi ani za jazdą na nich. Pracował na posterunku przy Bow Street i po Londynie poruszał się zwykle na piechotę. Jeśli zaś droga była daleka, a czas naglił, brał dorożkę.

Doskonale znał londyńskie zaułki, złodziejskie meliny i rudery gęsto zasiedlone ubogimi. Gdy był na tropie, korzystał z sieci informatorów i życzliwej pomocy kolegów po fachu, żeby złapać za kark przestępców.

Prócz dumy z dobrze wykonanej roboty często czuł też szczerą satysfakcję, że to właśnie on przywraca ład w tym mieście. Był zdania, że sprawiedliwość oraz zasady fair play powinny brać górę każdego przepracowanego przezeń dnia. Agentem policyjnym został z tego właśnie powodu i z teje przyczyny nadal wykonywał ten niebezpieczny zawód.

Zwierzchnik magistratu osobiście polecił mu zająć się rozwiązaniem nietuzinkowej sprawy lorda Bridwella, lecz niektóre jej elementy od samego początku niepokoiły Jerome'a. Przypadków, w których główną rolę grały małe dzieci, było niewiele, a porwanie dokonane przez bliskiego krewnego stanowiło wręcz osobliwość. Brockhurst wiedział, że lord Bridwell zawzięcie usiłuje ukryć pewne istotne, związane z tą sprawą fakty, a to utrudniało mu pracę i wzmagало jego nieufność.

Bridwell nakazał mu bacznie śledzić służbę, zwłaszcza gospodynię, panią Hutchinson. Brockhurst zastosował się do tego polecenia z krańcową niechęcią, czując, że nękanie kobiety jest stratą czasu. A jednak właśnie przejęcie zaadresowanego do niej listu, choć doszło do niego czystym przypadkiem, dostarczyło mu rozstrzygającego dowodu.

Uczciwie przyznawał, że list wpadł w jego ręce raczej dzięki zrządzeniu losu niż profesjonalnym umiejętnościom. Akurat gdy wychodził z pałacu Bridwella, młody żołnierz mówiący szkockim dialektem zaszedł przez pomyłką przed drzwi frontowe, pytając o panią Hutchinson. Nim młodzieńca skierowano ku wejściu dla służby, Brockhurst zdołał przejąć przywieziony przez niego list, przeczytać go, donieść o jego treści lordowi i poinformować pracodawcę, że natychmiast wyrusza na północ.

Początkowo podejrzewał, że to mistyfikacja, podstęp mający na celu zmylenie tropu, lecz kolejna rozmowa z gospodynią potwierdziła istnienie lalki, o której była mowa w korespondencji. Prócz tego Brockhurst znalazł w pałacu pewne dokumenty, które rzucały na zawilą sprawę zupełnie nowe światło.

Tak więc, posiadając pewną wiedzę i pełen przekonania, że sprawiedliwości winno stać się zadość, detektyw wyjechał do północnej Szkocji. Musiał spędzić wiele godzin na końskim grzbiecie, przez co miał obolałe plecy, i serdecznie nienawidził świeżego powietrza, wysokich gór oraz podejrzliwych wieśniaków.

Spieszył się. Czas uciekał i wcale nie było pewne, czy dzieci będą jeszcze w zamku, kiedy on tam przybędzie. Lord Avery okazał się przebiegłym przeciwnikiem, choć guwernantkę wybrał sobie fatalnie.

Rankiem nie poprawiała mu humoru piękna pogoda, a wieczorem był jeszcze bardziej zirytowany, bo przebył mniejszą odległość, niż sobie zaplanował. Na szczęście w górskiej dolinie, tuż nad niewielkim jeziorkiem, dostrzegł gospodę. Woń świeżej pieczeni i inne kuchenne aromaty rozchodziły się dokoła. Zgłodniały Brockhurst oblizwał się łakomie w nadziei, że znajdzie się tam pokój dla niego.

Ostrożnie wjechał na wysypane żwirem podwórze i zsiadł z konia. Natychmiast podbiegł do niego służący.

- Dobry wieczór, czy zatrzyma się pan na wieczerzę, czy także na noc? - Chciałbym się przespać, koń też jest mocno strudzony - odparł, rzucając chłopcu monetę.

W oberży powitał go przyjazny gwar. Przy stole siedzieli liczni goście, spragnieni towarzystwa i kufelka mocnego piwa. Jako jedyny samotny podróżny nie wzbudził zainteresowania, póki nie otworzył ust. Choć starał się mówić niezbyt głośno, pytając o pokój, jego angielski akcent zwrócił powszechną uwagę.

Gwar ucichł i wielu ludzi zwróciło głowy w jego stronę. Brockhurst wyprostował się odruchowo i powiódł po nich wzrokiem. Po kilku pełnych napięcia sekundach wrócili do napitku, kolacji i pogawędek. On zaś płacił za nocleg, mając nadzieję wciągnąć oberżystę do rozmowy. Długie lata praktyki nauczyły go, że o wiele łatwiej wydobyć z kogoś informacje, jeśli rozmówca nie ma pojęcia,

że są istotne. Szybko się jednak przekonał, że zwalisty właściciel gospody nie był typem człowieka, z którym łatwo nawiązać pogawędkę.

- Mówisz pan, że kogo tutaj szukasz? - spytał podejrzliwie.

- Ach, w tym właśnie rzecz - odparł - chcę wprawdzie odnaleźć lorda Avery'ego, ale wie pan, jak się czasem zachowują arystokraci. Może on nie używa swego tytułu. W każdym razie nietrudno poznać, o kogo mi chodzi, bo ten dżentelmen podróżuje w towarzystwie trojga dzieci, dwóch dziewczynek i chłopca. - I, jakby przypadkowo, położył na zniszczonym dębowym kontuarze pieniądze; dwa razy tyle, ile miał kosztować nocleg. Oberżycie rozbłyły oczy i pospiesznie sięgnęły po monety, lecz agent szybko schował je z powrotem.

- Widział pan ich? Oberżysta zerknął na niego.

- A co ten gość zrobił?

- Nic. - Brockhurst czuł, że właściciel gospody bacznie mu się przygląda. Mam mu przekazać pewną wiadomość, która powinna go chyba ucieszyć.

Jedna z prababek zapisała mu sporą sumkę w testamencie. Myślę, że prócz skromnego wynagrodzenia za moje usługi dostanie mi się też jakaś gratyfikacja, skoro przynoszę lordowi tak pomyślną wieść.

Błysk w oku oberżysty świadczył wprawdzie, że zrozumiał, o co chodzi, ale burknął tylko:

- Nie widziałem ani jego samego, ani dzieciaków.

Brockhurst pokiwał głową i powtórnie położył monety na kontuarze. Wszystkie. Potrzebował odpoczynku i chciał się solidnie wyspać. Nie było sensu ryzykować, narażając się oberżycie. Prócz tego to lord Bridwell pokrywał koszty podróży.

Dokumenty, które wiozł ze sobą, przed snem włożył jednak przezornie pod poduszkę. Przerazała go już nawet sama myśl o możliwości ich utraty. Stanowczo ta sprawa należała do najciekawszych i najniezwyklejszych, z jakimi miał do czynienia w swojej karierze. Nim zasnął, zastanawiał się, co też zrobi lord Avery, kiedy on zawita do Hillsdale Castle.

- Nie będę tego nosić. To jest ubranie dla dziewczynek!

- Zgódź się, Gregory, zabawimy się świetnie. Jak włożysz sukienkę, spleatamy figla pani Mullins. Nigdy się nie domyśli, że to ty! - zachęcał go Nathaniel.

Przez chwilę chłopiec namyślał się, lecz potem energicznie potrząsnął głową.

- Nie! Nie włożę tego!

Harriet namyślała się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Z jednej strony nie dziwiła się chłopcu, że nie chce włożyć sukienki, choć przebranie go za dziewczynkę byłoby dla wszystkich korzystne. Z drugiej strony, mimo że dałoby im to istotną przewagę, na pewno nie było czymś koniecznym, okazało się za to nietaktem wobec dziecka. Gdyby Gregory rozumiał powagę sytuacji, zapewne łatwiej byłoby go namówić, lecz ani ona, ani Nathaniel nie chcieli go przerażać, mówiąc prawdę.

- Czy pamiętasz, co czytaliśmy o królewiczu Karolu Stuarcie i jego ucieczce spod Culloden?

Gregory starał sobie przypomnieć, marszcząc czołko.

- Ocaliła go jakaś pani.

- Właśnie. Królewicz Karol był nie tylko dzielny, ale i sprytny. Przebrał się za młodą dziewczynę, żeby oszukać wrogów, no i nie zdołali go schwytać. Może zrobimy tak, jak on? To dopiero byłaby zabawa!

- A czy wszyscy inni też się przebiorą?

- No, jeszcze nie dzisiaj - wtrącił Nathaniel. - Może trochę później.

- Jak już będziemy u stryja Duncana w Edynburgu - dodała Harriet, wołając nie zwodzić malca obietnicą rychłej maskarady.

- Nie chcę się tak bawić. Czemu mam udawać tego Szkota? - odparł stanowczo. - Stryj Nathaniel zawsze mi powtarza, że jestem angielskim dżentelmenem!

- Owszem, zgadza się, ale założę się, że nie wiesz, co zrobił inny królewicz Karol, który uciekł wojskom Cromwella sprzed samego nosa przebrany za damę.

- A potem został królem - dodał Nathaniel. Królem Anglii!

- Czy to ten, któremu ścięto głowę? - spytała Phoebe.

- Nie, tamten był jego ojcem, Karolem I - wyjaśniła Harriet.

- O Boże, czego ty uczysz dzieci! - mruknął zirytowany Nathaniel.

- Prawdy! - Harriet zmierzyła go gniewnym spojrzeniem, lecz potem skupiła swoją uwagę na Gregorym. Sukienka, jaką mu uszyła, była bardzo prosta, bez żadnych koronek, wstążek czy kokardek. Rozpostarła ją w rękach, pokazując, jak łatwo można się w nią ubrać.

- No spróbuj - uśmiechnęła się zachęcająco. Będziesz wyglądał całkiem jak tamci dwaj królewicze.

- Nie jestem królewiczem, tylko księciem! - odparł nadąsany.

- On potrafi być czasem strasznie uparty - westchnął przygnębiony Nathaniel.

- Musi to być cecha rodzinna wymamrotała pod nosem Harriet. Zawział się i już. Pewnie sobie z nim nie poradzimy.

- I ja tak myślę. - Nathaniel w zadumie pocierał podbródek, spoglądając na obydwie bratanice. - Czy nie byłoby łatwiej przebrać dziewczynki za chłopców? Chyba okażą się posłuszniejsze od niego, a podróż z trzema chłopcami też daje nam pewne szanse.

Harriet przygryzła dolną wargę. Straciła już całą godzinę, szyjąc rano sukienkę dla Gregory'ego. Jeśli mieli udawać rodzinę kupiecką, ubranka dzieci powinny być w dobrym gatunku.

- Nie mamy dla nich odpowiednich strojów ani czasu, żeby je uszyć.

- Nie można by kupić czegoś we wsi?

- Nigdy tam nie byłam i nie znam tamtejszych sklepów. Wątpię zresztą, czy mieliby stosowną do naszych celów dziecięcą konfekcję.

- Pójdę spytać pani Mullins. Harriet skrzywiła się sceptycznie.

- Gospodyni, główna kucharka, a teraz krawiec. Czy jest coś, czego pani Mullins nie potrafiłaby robić?

- Skąd taki wniosek? - spytał ironicznie.

Kiedy obydwójce weszli do kuchni, pani Mullins wstała z krzesła, stawiając koszyk z wełną i drutami na posadzce. Cierpliwie, choć ze zdumieniem wysłuchiwała niecodziennej prośby. Nie spytała jednak ani słowem, na co im potrzebne dziecięce łąszki, i po jakiejś godzinie przyniosła dokładnie to, czego potrzebowali; dwa komplety chłopięcych ubranek dla każdej z dziewczynek.

- Gdzież je pani zdołała znaleźć? - spytała zaskoczona Harriet.

- Nie trza było prosić dwa razy - odparła dumnie. - Niejedna rodzina zara chciała państwu wygodzie, jak tylko usłyszeli, że to dla tych dwóch *lasses*, co się z nimi podzieliły lalkami. My tam pamiętamy, jak nam chto grzeczność robi.

- Z całego serca dziękujemy, pani Mullins. Proszę też podziękować tym wszystkim, co nam pomogli w potrzebie.

Phoebe i Jeanne Marie, całkiem inaczej niż Gregory'ego, nie trzeba było wcale namawiać.

Wkrótce przedefilowały przed Harriet, naśladowując maniery chłopca, Nathaniela, a nawet Duncana McTate'a. Rozbawiło ją to szczerze, lecz ciągle im przypominała, żeby na widok innych podróżnych trzymały się raczej z tyłu.

Opuścili zamek dużo później, niż pierwotnie zamierzali, ale pogoda była dobra i uznali, że lepiej wyruszyć, póki drogi są suche, niż zwlekać do następnego ranka. Harriet, niańka i dzieci jechały powozem, Nathaniel kłusował obok na gniadej klaczy.

Gdy koła zadudniły na zwodzonym moście, Harriet rzuciła ostatnie spojrzenie na zamek. Błyszczał w promieniach słońca, potężny i dumny. Poczowała, że ściska ją w gardle na myśl, że opuszcza jego stare mury. Czy jeszcze je kiedykolwiek ujrzy? Raczej w to wątpiła.

Harriet spodobała się wybrana przez Nathaniela oberża. Choć niewielka, okazała się na tyle obszerna, by zapewnić im anonimowość, a co najważniejsze, była czysta. Oberżysta i jego żona przyjęli ich przyjaźnie i wydawali się szczerze radzi, że mogą ich gościć, zwłaszcza gdy Nathaniel hojnie zapłacił za wniesienie bagaży. Dostarczono im ciepłą wodę do mycia i gorące posiłki do pokoi.

Harriet niepokoiła się, jak wypadną Phoebe i Jeanne Marie podczas pierwszej publicznej prezentacji, lecz co zresztą trafnie przewidział Nathaniel - nikt się im specjalnie nie przyglądał, gdy prowadzili dzieci przez salę jadalną do wynajętych pokoi.

Cała trójka cieszyła się, że mogła opuścić ciasne wnętrze powozu, i wesoło gwarzyła przy stole. Harriet rozbawiły ich figle. Wzajemna serdeczność między dziećmi i stryjem pogłębiła się jeszcze bardziej w ciągu kilku wspólnie spędzonych tygodni. Kolejny raz przyrzekła sobie w duchu, że zrobi, co tylko w jej mocy, żeby Nathaniel został ich legalnym opiekunem.

Po obiedzie wszyscy udali się do sypialni. Nathaniel z zadowoleniem stwierdził, że znajduje się ona na tyłach oberży, a zatem będzie w niej cicho. Główną zaletą wydawał się też rozkład pokoi. Były połączone wewnętrznymi drzwiami, lecz drugi, nieco mniejszy, nie miał wyjścia od strony sieni. Nathaniel z miejsca postanowił, że dzieci będą spać właśnie tam. Gdyby cokolwiek im groziło, napastnik musiałby wcześniej przejść obok ich dwojga.

Zanim udali się na spoczynek, Harriet krzątała się gorączkowo po sypialni. Gorąca woda w dzbanku, która tak bardzo ją uradowała, nie wywołała entuzjazmu wśród dzieci. Klóciły się też, w którym z łóżek mają spać, i wszystkie narzekały, że w pokoju czuć octem, puszczając mimo uszu wyjaśnienia Harriet, że świadczy to o czystości.

- No, wreszcie zdołałam je położyć do łóżek, choć nie dziwiłabym się, gdyby któremuś z nich zaraz zachciało się pić albo pójść do wygodki - powiedziała, wchodząc do drugiego pokoju, aby życzyć Nathanielowi dobrej nocy.

Była zmęczona, za to on wyglądał na pełnego energii. Rozebrał się co prawda do koszuli, ale wciąż jeszcze miał na sobie czarne jeździeckie buty i obcisłe spodnie.

- Czekałem na ciebie powiedział z ciepłym uśmiechem, a Harriet poczuła dreszcz przebiegający jej po grzbiecie, choć robiła, co mogła, żeby to ukryć. Cofnęła się o krok.

- Mam zamiar spać razem z dziećmi.

- I zostawić mnie samego? Ruszył w jej stronę, a potem nagle stanął, rozstawiając obute nogi, z rękami założonymi za plecy. - Łóżko wydaje mi się bardzo wygodne i z pewnością pomieści nas oboje.

Harriet stłumiła w sobie chęć, by znaleźć się w jego ramionach.

- Co sobie pomyśli niańka, jeżeli spędzę noc z tobą?

- Że nie sposób mi się oprzeć.

Słudzy, którzy nie szanują chlebobdawcy, nie będą pilnie pracować ani posłusznie wykonywać poleceń - prychnęła zgorziona. - A prócz tego dzieci mogą mnie w nocy potrzebować i muszę wtedy być przy nich.

- A co z moimi potrzebami? - Nathaniel objął ją i pocałował w szyję. Odwróciła głowę.

- Twoje potrzeby mogą poczekać.

- Hm, czasami szczerze nienawidzę twojego poczucia odpowiedzialności. - Przy tych słowach pogładził ją delikatnie po karku. - Zmuszony jestem przyznać, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli jedną noc spędzę samotnie, choć myśl o tobie nie będzie mi dawać spokoju.

Harriet uśmiechnęła się rozbrojona jego komentarzem. Chociaż narzekania na jej obowiązkowość były w dużej mierze żartem, tę cechę swojego charakteru mogła jedynie złagodzić, a nie wykorzenić. Na szczęście okazało się, że Nathaniel potrafił sobie z nią dać radę, tak jak i z samą Harriet.

Na jego przystojnej twarzy migotało światło świecy. Nagle poczuła, że robi się jej gorąco. Widziała wyraźnie, że Nathaniel jej pragnie. W jednej chwili przyciągnął ją ku sobie, przytrzymując jedynie za kark. Zaśmiała się cicho, pozwalając, żeby zdrowy rozsądek na chwilę ją opuścił. Zamknęła oczy. Czas nagle się zatrzymał. W całym ciele czuła gwałtowne pulsowanie. Na moment przestała myśleć i przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Nie wolno ci mnie całować - mruknęła, odwracając głowę.

- Dlaczego?

- Bo kiedy przestajesz, to jest po prostu tortura.

Zaśmiał się, obejmując ją mocno, a potem ujął w dłonie obydwie jej piersi i zaczął je delikatnie ścisnąć. Harriet ledwie mogła oddychać. Zdjęła głowę z jego ramienia.

- Moja miła, czy nie wiesz, że połączyliśmy nasze losy na zawsze? I że każde rozstanie będzie dla mnie torturą?

Coś drgnęło w niej na te słowa. Uradowały ją, to prawda, ale radość nadal mącił lęk, którego nie mogła zwalczyć. Przyszłość była niepewna, szanse na szczęście - ulotne. Choć z całej siły pragnęła być z nim do końca życia, wiedziała, że tych kilka nocy może być wszystkim, co wspólnie przeżyją.

Przywarła do niego. Więź, która ich połączyła, uczyniła ją silniejszą, pewniejszą siebie. Rozkosz, którą ją obdarzał, przenikała ją do głębi, ale uczucia, jakie w niej budził, były trwalsze, mocniejsze i jeszcze cudowniejsze.

Czuła przez suknię, jak jej sutki twardnieją i nabrzmiwiają, czuła też znajomy już ból wędrujący od ud w górę ciała.

- Dosyć już - szepnęła, ale wbrew własnym słowom jej ręce rozchyliły mu koszulę. Poddała się temu szaleństwu. Nikt inny nie budził w niej takich odczuć, tylko on jeden.

- Czy drzwi do pokoju dzieci są zamknięte na klucz? - spytała schrypniętym, załamującym się głosem.

- Przekręciłem go, kiedy tylko tu weszłaś.

- Jak bardzo cię kocham szepnęła, przerażona siłą własnego uczucia.

- Nie zasłużyłem sobie na tak niezwykły dar - odparł z powagą. - Ale nie jestem na tyle głupi, żeby go odrzucić.

Przesuwał pieśczośliwie palcami w górę i w dół po jej plecach. Harriet wygięła biodra ku przodowi. Potem zaczęła się poruszać. Poczuła nacisk między udami.

- Takiej cię właśnie pragnę - szepnął - rozpalonej i niepohamowanej. Drżała tak mocno, że

zdołała utrzymać się na nogach tylko dzięki temu, że przytuliła się do niego całym ciałem.

- Teraz - westchnęła głośno chcę tego teraz.

Wniknął w nią, a Harriet zakołysała się ku przodowi. Słysząc było jego głośny oddech. Objęła szerokie ramiona kochanka i trzymała go mocno, wyginając grzbiet. Mięśnie jego szyi napięły się jak struny, kiedy nadszedł ostatni raz.

Trudno im się było rozstać. Łóżko wydawało się ich zapraszać, ale dla Harriet - co Nathaniel tak gniewnie jej wcześniej zarzucił - najważniejsze były obowiązki wobec dzieci.

Poprawiła na sobie ubranie i przygładziła potargane włosy. Wyswobodziła się z jego objęć, nie chcąc ponownie ulec pokusie.

- Dobrej nocy - szepnęła.

Po ostatnim, pożegnalnym pocałunku wśliznęła się po cichu do drugiego pokoju. Wszyscy tam już spali, łącznie z niańką. Harriet rzuciła okiem na dzieci, a potem rozebrała się do koszuli i zwinęła z zadowoleniem na łóżku. Czowała się bezpieczna, kochana i zdumiewająco szczęśliwa.

## 19

Niełatwo jej przyszło ubrać rano dzieci, nakarmić je i przygotować do następnego dnia podróży. Żeby sobie jakoś z tym wszystkim poradzić, obiecała im, że każde po kolei będzie mogło przez jakiś czas jechać wraz ze stryjem na koniu, jeśli tylko ładna pogoda się utrzyma. Widząc, że mają sposobność choć przez chwilę uniknąć jazdy w ciasnym powozie, wszystkie starały się być jak najgrzeczniejsze.

Wyczerpana chaosem panującym podczas przygotowań do odjazdu, niedokładnie zrozumiała wskazówki Nathaniela i za wcześnie zjawiała się z dziećmi na podwórzu gospody. Powóz jeszcze nie zajechał, a Nathaniela ani żadnego ze służących nie było widać.

Czuła, że zanadto rzucają się w oczy, stojąc na dziedzińcu. Jednak w oberży dużo szybciej odkryto by ich maskaradę, dlatego Harriet zdecydowała się zostać na zewnątrz, przypuszczając, że Nathaniel bez wątplenia wsiada teraz w stajni na wierzchowca i dogląda zaprzęganania koni do powozu. Poranne słońce wdierało się jej pod czepek, ale dzieci były szczęśliwe, że wyszły na świeże powietrze. Zwłaszcza dziewczynki cieszyła swoboda ruchów, jaką zapewniały im chłopięce stroje.

- A mam cię! - Gregory z wesołym okrzykiem szturchnął siostrę w bok i schował się za spódnicę Harriet. Jeanne Marie zachichotała i chciała mu się zrewanżować, ale Gregory zrobił zręczny unik, dziewczynka wybrała sobie zatem łatwiejszy cel i wymierzyła klapsa Phoebe. Ta z kolei dała szturchańca bratu. Gregory odskoczył w tył i cała zabawa zaczęła się na nowo.

Harriet pozwoliła im dokazywać przez kilka minut, ale wreszcie zawołała ostro:

- Dosyć!

Dzieci usłuchały, przestraszone jej tonem. Harriet nerwowo dotknęła czapeczki na głowie Phoebe, chcąc się upewnić, czy nie spadnie, i upomniała pozostałą dwójkę, żeby nie odchodziła od niej i trzymała się z dala od koni, wyprowadzanych właśnie ze stajni.

- Jane, zajrzyj tam i powiedz panu Wainwrightowi, że już czekamy - nakazała niańce. Może ponosiła ją wyobraźnia, ale bez Nathaniela czuła się niespokojna i spięta. Im szybciej wszyscy znajdą się w powozie, tym lepiej.

Jane, potulna wdowa w średnim wieku, dygnęła lekko i pobiegła spełnić polecenie. Harriet zgromadziła dzieci wokół siebie. Rozejrzała się wokoło, ale z ulgą stwierdziła, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

A jednak wciąż była czujna i w napięciu rozglądała się po podwórzu. Nigdzie nie widziała Nathaniela. Raptem jej uwagę zwrócił mężczyzna stojący kilka metrów dalej. Z początku sądziła, że to któryś z podróżnych czeka na powóz lub konia, po kilku minutach wiedziała jednak, że nie poniosła jej wyobraźnia. Nieznajomy obserwował i ją, i dzieci z żywym zaciekawieniem.

Serce zaczęło jej mocniej bić, a drobne włosy na karku zjeżyły się, jak zawsze, gdy groziło jej jakieś niebezpieczeństwo - choć nic nie świadczyło o tym, by nieznajomy chciał ich zaczepić. Przypuszczała, że widok damy z trojgiem dzieci stojącej samotnie na środku podwórza wydał mu się czymś niecodziennym.

Próbowała opanować zdenerwowanie, ale przypadkowo spojrzała obcemu prosto w oczy. Skłonił się i uśmiechnął uprzejmie. Przygryzła wargę, żeby stłumić okrzyk cisnący jej się na usta. Gwałtowna reakcja na tak niewinny gest z pewnością wzbudziłaby zaciekawienie. - Piękna pogoda, w sam raz na podróż.

Głos nieznajomego, choć przyciszony, przeraził ją. Mężczyzna podszedł bliżej, stał już tylko o krok od niej. Poczula, że robi się jej słabo. W pierwszej chwili chciała wraz z dziećmi pobiec do stajni, w następnej - wrzasnąć na cały głos.

- Owszem, jest bardzo ładnie odparła, zadowolona, że głos jej nie zadrżał. Skinęła nieznacznie głową, żeby nie wydać się osobą źle wychowaną, a jednocześnie odwróciła się, dając mu do zrozumienia, że nic życzy sobie dalszej rozmowy. Gdzież się podziewał Nathaniel?

- Zapewne dzieci zachowują się w powozie niesfornie? Chłopcy nigdy nie potrafią długo usiedzieć na jednym miejscu. Czy daleko się pani wybiera?

Zirytowanie przeważało nad strachem. Ten człowiek stanowczo pozwalał sobie na zbyt wiele tylko dlatego, że raczyła skinąć mu głową. Próba nawiązania z nią pogawędki była czymś w najwyższym stopniu niestosownym. Harriet rozdrażniła jego bezceremonialność.

Ubrany był starannie, wysławiał się jak Anglik. Wyglądał na kogoś, kto z pewnością zna zasady dobrego zachowania, chociaż się do nich nie stosuje. Do licha, po cóż ona mu pozwala na taką poufałość?

- Wybacz pan, ale widzę, że zbliża się mój mąż wraz z woźnicą.

- Przecież to nie nasz wóz...

Harriet przygarnęła do siebie Jeanne Marie tak mocno, że stłumiła jej końcowe słowa.

- Chłopcy, idziemy! - poleciła energicznie, spojrzeniem nakazując im milczenie.

Dzieci potulnie usłuchały i Harriet przeszła z nimi przez podwórze. Po drodze spostrzegła, że nieznajomy spojrzał uważnie na jej palec. Nie miała na nim obrączki! Instynktownie zacisnęła pozbawioną rękawiczki dłoń. I co z tego? To przecież bez znaczenia. Nie wszystkie męzkatki noszą obrączkę.

Szła spokojnie, z uniesioną głową, przytrzymując dzieci za płaszczyki. Wiedziała, że nieznajomy przygląda się jej bacznie, więc ani nie przyspieszała, ani nie zwalniała kroku.

Powóz i zaprzęg skierowały się wprost na nich, zwalniając tempo, jakby zamierzając skręcić i wyjechać na drogę. Musiała się zatrzymać. Tupiała nogą ze zniecierpliwienia, nie pozwoliła sobie jednak spojrzeć w tył, żeby zobaczyć, czy intruz idzie za nią. Och, gdzież się podziewał Nathaniel?

Jerome Brockhurst podejrzliwie obserwował kobietę z trojgiem dzieci. Coś w niej budziło jego nieufność, ale nie umiałby określić, co to właściwie było. Denerwowała się, lecz mogła mieć wiele powodów do tego. Podczas podróży kobiety często są rozdrażnione. Czy nie należałoby jej zagadnąć? W końcu nie wyglądał na jakiegoś groźnego gbura.



Zjawiła się na podwórzu w towarzystwie służącej, którą później odesłała z jakimś poleceniem - zapewne pytaniem, dlaczego powóz jeszcze nie zajechał. Może drażni ją, że wyjazd się opóźnia? A jednak jej niepokój wydawał mu się przesadny. Brockhurst zdecydował się dokonać pewnego eksperymentu i zatrzymał młodego stajennego, rozmyślnie mówiąc zbyt głośno:

- Szukam mojego znajomego. Może tędy przejeżdżał? Nie widział pan angielskiego dżentelmena podróżującego prywatnym powozem z trojgiem dzieci, dwiema dziewczynkami i chłopcem?

Stajenny pokręcił przecząco głową, lecz Brockhurst nawet na niego nie spojrzał, o wiele bardziej interesowało go, co zrobi kobieta. Najpierw lekko zeszywniała, a potem usiłowała nadać swemu zachowaniu pozór naturalności. Podejrzenia Brockhursta przybrały na sile.

Podszedł ku niej. Musiała to wyczuć, bo odwróciła się i spojrzała na niego przez ramię. Z życzliwym uśmiechem dotknął palcami runda kapelusza. Odpowiedziała mu wyniosłym spojrzeniem. Zobaczył, że objęła dzieci obronnym gestem.

Instynktownie zawołał:

- Panno Sainthill, proszę zaczekać!

Nazwisko jakby zawisło w powietrzu, odbijając się echem od ścian. Kobieta drgnęła gwałtownie, a potem otworzyła z przerażeniem usta. Zrozumiała, że odkrył, kim ona jest. Kurczowo obejmowała stojące przed nią dzieci. Gdy powóz podjechał, pchnęła je w przód, wołając coś do nich. W tym samym momencie na podwórze wjechał z hałasem drugi pojazd i Brockhurst nie dosłyszał jej polecenia. Próbował podejść bliżej, ostrzec ją, żeby nie uciekała, ale już nie zdążył.

- Nathanielu, na pomoc!

Odwrócił się pospiesznie, usiłując zlokalizować lorda Avery 'ego, lecz skądś niespodziewanie wystrzeliła męska pięść, trafiając go w kant szczęki. Agent zwałił się ciężko na ziemię z głośnym łomotem.

Nigdy jeszcze niczyj widok nie sprawił jej takiej ulgi. Harriet niemalże padła w objęcia Nathaniela, który chwycił ją i przytrzymał. Dyszała ciężko, zdumiona, że cała drży dopiero teraz, kiedy jest już po wszystkim.

Nathaniel objął ją mocno w pasie, patrząc na nią z niepokojem.

- Czy już ci lepiej?

- Chyba tak.

- Mój Boże, co się stało? Czy ten człowiek napadł na ciebie?

- Nie. - Harriet zadygotała, rozglądając się nerwowo po podwórzu. - Gdzie dzieci?!

- W powozie, razem z Jane.

Nathaniel przesunął łagodnie dłonią wzdłuż jej policzka.

- Serce we mnie zamarło, kiedy wpadły biegiem do stajni. A potem usłyszałem, że wzywasz pomocy. Jesteś pewna, że nic ci się nie stało?

- Nie, przestraszyłam się tylko. Poza tym jestem wściekła.

- Na kogo?

- Na siebie! - Jej spojrzenie powędrowało ku rozciągniętemu na ziemi mężczyźnie. - Że też dałam mu się wciągnąć w pułapkę. Najwyraźniej domyślił się, kim jestem, a ja, niczym głupia gęś, potwierdziłam jego podejrzenia, kiedy użył mojego nazwiska.

- Teraz ci już nie zagrozi. Solidnie oberwał. - Nathaniel podał Harriet czystą chusteczkę. Przycisnęła ją do górnej wargi i ze zdumieniem stwierdziła, że cała przesiąkła potem.

- Mówił jak Anglik - dodała.

- Pewnie to jakiś szpicel wysłany za nami przez mojego stryja.

- Trudno się temu dziwić, zważywszy na to, co napisałam w liście.

- Hola, a co to znowu za burda? - Przez podwórze zmierzał ku nim krzepki oberżysta, a wraz z nim cała rzesza ciekawskich. - Nie życzę sobie tutaj żadnej bijatyki, nawet na podwórzu! Baby się wystraszą, goście mi puciekają!

- Ten mężczyzna zaczepiał moją żonę - wyjaśnił Nathaniel. - Najwidoczniej wziął ją za kogoś innego, a kiedy chciała mu wyjaśnić pomyłkę, nie uwierzył jej.

Oberżysta oniemiał.

- Patrzcie no, łajdaka! Nigdy się tu coś takiego nie zdarzyło! Prowadzimy porządną zajazd!

- Myślę, że to wyjątkowy wypadek - tłumaczył Nathaniel. - Chyba mamy do czynienia z pomyłką.

Harriet odetchnęła z ulgą, gdy cały tłumek jednogłośnie mu przytaknął. Oczy wszystkich zwróciły się na leżącego bez przytomności agenta. Dojrzała porozumiewawcze spojrzenie Nathaniela i zrozumiała, że powinna wycofać się po cichu, gdy gapie zaczną debatować nad tym, w jaki sposób należycie ukarać napastnika. Niemal zrobiło się jej go żal, gdy jedna z kobiet oświadczyła, że powiesić takiego to za mało, a ktoś inny zaofiarował się nauczyć go more su. Jeden z mężczyzn poddał zebrany myślenie, by wezwać miejscowe władze, lecz nie zyskało to uznania. Wszyscy inni doszli do wniosku, że odwet powinien przybrać konkretniejszą formę.

- Proszę nic robić jeszcze większego zamieszania. Dzieci się zląkną. Harriet uniosła chusteczkę ku ustom. - Kiedy tylko znajdę się w powozie razem z moimi pociechami, zaraz poczuję się lepiej.

- To jasne, pani kochana - przytaknęła jej żona oberżysty, przepychając się łokciami przez tłum. Poklepała ją po ramieniu z kobiecą solidarnością, a potem, zwracając się ku gawiedzi, wrzasnęła:

- Dajcież przejść tej pani!

Trzymając Harriet za rękę, przedarła się przez ciżbę i wraz z Nathanielem odprowadziła ją do powozu. Harriet podziękowała jej serdecznie za uprzejmość i zrozumienie, a potem wsiadła do środka.

Dzieci przylgnęły do niej jak stadko kurcząt, wypytujac ją o szczegóły i ściskając jednocześnie. Gregory'emu oczy zrobiły się okrągłe i skakał z podniecenia.

- Widzieliśmy wszystko! oznajmił. - Stryjek Nathaniel rąbnął tego drania w szczękę, a tamten razdwa poleciał na ziemię. A ile hałasu narobił!

- Wprawdzie pomoc twego stryja nadeszła w samą porę - westchnęła ale pamiętaj, Gregory, że dżentelmen tylko w ostateczności odwołuje się do przemocy.

- Czy on pani zrobił coś złego, panno Sainthill? z niepokojem spytała Phoebe.

- Na szczęście nie. - Harriet poklepała ją uspokajająco po ramieniu. - Tylko mnie przestraszył. Zresztą stało się to częściowo z mojej winy i wszyscy powinniśmy wyciągnąć z tego naukę. Szanująca się dama nigdy nie zaczyna rozmowy z obcym dżentelmenem, jeśli nie została mu według właściwych reguł przedstawiona, zwłaszcza gdy dzieje się to w miejscu publicznym!

Dziewczynki pokiwały głowami ze zrozumieniem, lecz Gregory był zbyt zafascynowany zajściem, by słuchać pouczeń, i wciąż na nowo o nim napomykał. Harriet pomyślała, że później, jak wielu innych mężczyzn z jego środowiska, z zapalem będzie uprawiał boks, strzelectwo i szermierkę, jeździł na polowania i chodził na wyścigi oczywiście pod opieką Nathaniela.

W krótkim czasie ów zachwyty nad bohaterским wyczynem stryja przybrał u niego takie rozmiary, że Harriet pozwoliła mu jako pierwszemu jechać na koniu razem z Nathanielem, bo i ona, i

dziewczęta, miały już dosyć jego entuzjazmu. Miała tylko nadzieję, że gadanina chłopca nie znuży nadmiernie samego bohatera.

Chciała jak najszybciej oddalić się stamtąd, niepokoiło ją, że zbyt wcześnie zatrzymają się na popas. Na szczęście Nathaniel zdecydował się jechać aż do samego zmroku. Gospoda nie okazała się tym razem tak czysta, jak poprzednia, ale też była mniej zatłoczona. Wynajęli dwa pokoje i Harriet nalegała, żeby Nathaniel spał z dziećmi w większym z nich, a ona wraz z Jane w drugim. Bezpieczeństwo malców było rzeczą najważniejszą.

Kolejne dni podróży wyglądały podobnie, zmieniały się tylko pogoda, stan dróg oraz wielkość i jakość gospód, gdzie spędzali noce. Wreszcie znużeni wjechali na przedmieścia Edynburga. Jane była już niegdyś w tym mieście i wskazywała zaciekawionej Harriet różne historyczne miejsca. Miasto robiło imponujące wrażenie. Górował nad nim majestatyczny zamek, Edinburgh Castle, wzniesiony na bazaltowej skale, z murami obronnymi i stromymi dachami. Harriet podziwiała piękno architektury i splendor kościołów, choć woń rynsztoków przypomniła jej, że znów znalazła się w dobrze prosperującym, gęsto zaludnionym miejscu.

Po krótkiej jeździe przez Queen Street powóz skręcił na Charlotte Square, przy którym stały eleganckie pałace bardzo, jej zdaniem, podobne do londyńskich. W połowie ulicy pojazd zwolnił. Jeszcze nim się zatrzymał, przed główne wejście najwytworniejszej z siedzib wyległo całe mrowie służby.

- Proszę zawiadomić waszego pana, że przybył lord Avery powiedział Nathaniel do stajennego, który już podbiegał ku jego koniowi.

- Jak jaśnie pan rozkaże.

- Stryjku Duncanie! Stryjku Duncanie! Zgadnij, co nam się przydarzyło!

- Gregory wypadł jak pocisk z powozu, wbiegł na frontowe schody i zniknął w głębi domu.

Zgorszona niestosownym zachowaniem podopiecznego, Harriet spiesznie wysiadła i pobiegła za nim.

- Szuka pani chłopczyka? - Gdy weszła do przedsionka, życzliwie uśmiechnięty lokaj wskazał jej kierunek. - Pobiegł do biblioteki, chce znaleźć dziedzica.

Podziękowała mu skinieniem głowy. Nie chcąc wchodzić w głąb pałacu sama, czekała na Nathaniela i dziewczynki, mając nadzieję, że Gregory będzie grzeczny. Z niemałym zaskoczeniem rozejrzała się wokół siebie. Oszołomiły ją marmurowe posadzki, imponujące kryształowe żyrandole, wazy pełne świeżych kwiatów ustawione po bokach na przyściennych konsolach. Balustrada z kutego żelaza wiała się wzdłuż wiodących na piętro schodów. Całe ściany klatki schodowej pokryte były obrazami.

- Jakże mi miło, panno Sainthill. - Duncan McTate wszedł do eleganckiego holu z dziwnie niewyraźną miną. Gregory'ego nigdzie nie mogła dostrzec.

- Przykro mi, że przyjechaliśmy bez uprzedzenia, ale zabrakło nam czasu, żeby pana powiadomić. Znaleźliśmy się w bardzo kłopotliwym położeniu... - zaczęła. Czekala sposobności, żeby łagodnie upomnieć Szkota za zdawkowe słowa powitania, ale on nawet nie wyciągał do niej dłoni.

- Chętnie będę panią gościł w każdej z moich siedzib - odparł ze sztywnym ukłonem. Uśmiechnął się, ale bez śladu humoru i jakby sztucznie. Coś tu stanowczo było nie w porządku, i to wcale nie z powodu ich niespodziewanego przyjazdu. Harriet poczuła, że drętwieje z niepokoju.

Dojrzała kogoś na schodach. Myślała z początku, że to Gregory, lecz zamiast niego spostrzegła szpakowatego, wytwornie odzianego dżentelmena o wyniosłej postawie, który najwyraźniej zmierzał

w jej stronę. Uśmiechnęła się niepewnie, sądząc, że to jakiś krewny lub przyjaciel McTate'a, lecz w tejże chwili usłyszała gniewny pomruk Nathaniela.

- Do wszystkich diabłów, co on tutaj robi?!

Na jego twarzy widniało zaskoczenie, które chwilę później przerodziło się we wściekłość. Rysy mu stężyły. Tylko jeden człowiek mógł doprowadzić go do takiego stanu. Jego stryj, lord Bridwell.

Spojrzała z przestrachem ku otwartym drzwiom, lecz Jeanne Marie i Phoebe nie weszły jeszcze do pałacu. Widziała, jak dziewczynki chichoczą i szepczą z nianią, stojąc na zewnątrz, a potem wszystkie trzy podążyły za jednym ze stajennych, który zajął się wcześniej odprowadzeniem powozu.

Lord Bridwell zbliżył się, sztywno wyprostowany, do Nathaniela, z wyrazem przewrotnego triumfu w oczach.

- McTate zarzekał się, że nie wie, gdzie przebywasz, ale ja byłem pewien twojego powrotu tutaj. Czy dzieci są z tobą, czy też zajął się nimi Brockhurst?

- To nie twoja sprawa, stryju. - Nathaniel mówił powoli, wymawiając każde słowo z osobna.

- Sąd będzie innego zdania.

- Do diabła z sądem! Zostaną ze mną i póki żyję, nie oddam ich tobie. Oczy Bridwella błysnęły groźnie. Harriet czuła narastającą między nimi wrogość. Gdyby byli uzbrojeni, wkrótce doszłoby do pojedynku na śmierć i życie. A że nie było broni spodziewała się walki na pięści. Chcąc zapobiec starciu, stanęła tuż przed Bridwellem.

- Dobry wieczór.

Lord przeszył ją wzrokiem. Harriet za wszelką cenę starała się zachować spokojny wyraz twarzy.

- Ach, mała guwernantka, która lubi pisywać listy. Chyba winien jestem pani wdzięczność, panno Sainthill. Wiedziała, że stojący za nią Nathaniel cały zeszywniał.

- Jest pan doprawdy w wielkim błędzie, milordzie - odcięła się. - Mój list wcale nie był przeznaczony dla pana. Napisałam go wyłącznie w trosce o jedną z dziewczynek. Gdybym mogła sobie wyobrazić konsekwencje, nigdy był go nie wysłała.

- A więc straciłaby pani sposobność, by naprawić wielką niesprawiedliwość. Nie mogę mieć jednak do pani pretensji. Z pewnością mój bratanek naopowiadał pani o mnie mnóstwo kłamstw, jest to zresztą, żeby tak rzec, jego specjalnością.

- Nie zna pan wcale lorda Avery'ego - odparła, zirytowana tonem zadowolenia w jego głosie - bo inaczej nie mówiłby pan takich nonsensów.

- Przecież porwał te niebożątka! Sąd niedługo się o tym dowie.

- Jeśli zamierzasz, stryju, odwołać się do prawa, to wiedz, że już to zrobiłem. I że nie boję się bezpodstawnych gróźb.

- A powinienes! Jeszcze nie skończyliśmy ze sobą. - Lord Bridwell uśmiechnął się z wyższością i odszedł bez pośpiechu.

Po jego wyjściu napięcie nieco zelzało. Przez chwilę wszyscy troje stali w pełnym zakłopotaniu milczeniu. Wreszcie Nathaniel wybuchnął:

- Na litość boską, McTate, jak mogłeś wpuścić tego gada do swojego domu?!

- Kiedy zjawił się tu wczoraj wieczorem, zrozumiałem, że sekret wyszedł na jaw. - Szkot wzruszył ramionami. - Gdybym go wyrzucił, licho wie, co mógłby zrobić. Uznałem, że rozsądniej będzie zaprosić go do pałacu. Przynajmniej miałem pewność, że nie pójdzie do sądu żądać twego zaarrestowania.

Choć wyjaśnienie brzmiało najzupełniej sensownie, Harriet widziała, że Nathaniel nadal

spogląda na McTate'a podejrzliwie, jakby przestał w pełni ufać staremu przyjacielowi. Rozumiała, co czuje Szkot, i bardzo mu współczuła. W końcu ona też nie ze swojej winy dopuściła się zdrady wobec Nathaniela.

- Musimy odpocząć zdecydowała. Może za kilka godzin uda nam się spojrzeć na to wszystko inaczej.

- Doskonały pomysł podjął jej słowa McTate, a w spojrzeniu, którym zmierzył Nathaniela, nie dostrzegła ani śladu skruchy. Kazałem już przygotować na twoje przyjęcie sypialnię i umieścić dzieci w pokoju obok, a pannę Sainthill tuż koło nich.

- A gdzie on mieszka?

- W drugim skrzydle.

- Skoro zna pan tę rezydencję, lordzie Avery - poprosiła - może mnie pan odprowadzi do pokoju?

- Muszę zamienić na osobności kilka słów z Duncanem. - Głos Nathaniela nie brzmiał pogodnie.

Odeszli, zbywając ją krótkim ukłonem.

Znużona Harriet ruszyła w ślad za lokajem. Gdy wstępowała na schody, elegancki wystrój wnętrza mimo woli raz jeszcze wywołał jej podziw. Pałac McTate'a był urządzony z równym wyrafinowaniem i przepychem, co znane jej wytworne siedziby w Londynie. Zdumiewająco jednak kontrastował ze średniowiecznym Hillsdale Castle. Z trudem mogła uwierzyć, że ten sam człowiek jest właścicielem dwóch tak odmiennych domostw.

Z satysfakcją skorzystała z wszelkich cywilizacyjnych udogodnień w przeznaczony dla niej ślicznej sypialni i zmyła z siebie cały brud podróży. Potem wyciągnęła się na wygodnym łóżku i ucięła sobie krótką drzemkę. Gdy w godzinę później, całkowicie wypoczęta, opuszczała pokój, tuż za progiem natknęła się na lokaja.

- Jego Lordowska Mość prosi panią do salonu.

Harriet sądziła, że wzywa ją Nathaniel. Okazało się jednak, że to nie on po nią posłał.

Lord Bridwell dźwignął się sztywno z krzesła, wpatrując się w nią przenikliwie.

- Nie byłem pewien, czy zdobędzie się pani na odwagę, żeby tu przyjść.

- Może istotnie tak by się stało, gdyby pan zdobył się na odwagę i podał swoje nazwisko - odparła cierpko.

Jedyną odpowiedzią było chrząknięcie. Bridwell usiadł z powrotem przy mahoniowym stoliku. Promień słońca padał na jego podłużną, surową twarz. Harriet uważałaby go za przystojnego, gdyby nie znała jego natury. Zajęła miejsce obok, wygładziła suknię i zaczęła się ostentacyjnie przyglądać bogatemu umeblowaniu, jedwabnym obiciom na ścianach oraz złoconemu plafonowi.

- Przypuszczam, że chce pan porozmawiać o moich podopiecznych - zaczęła tonem godnym profesjonalnej guwernantki. - Interesują pana może ich postępy w nauce? Wszystkie dzieci przykładają się do niej pilnie i każde z nich celuje w jakiejś dziedzinie.

Lord Bridwell poruszył się w krześle.

- Jeśli pani koniecznie chce.

- O którym dziecku mam mówić najpierw?

- O chłopcu.

- Ach, o chłopcu. Zajmuje pana niezwykle on sam i jego przyszłość, a nie wie pan nawet, jak mu na imię.

- Garret - mruknął po krótkiej pauzie.

- Gregory - powiedziała z naciskiem.

- Ten smarkacz jest ósmym księciem Claridge'em. Dla bliskich i przyjaciół będzie Claridge'em, a dla całej reszty - jego wysokością. Nie dbam, jak ma na imię. To bez znaczenia.

- Ci z nas, którzy go kochają, mówią do niego Gregory.

- Mylnie mi panią opisano podjął z nieznacznym odcieniem wyższości - jako kobietę gardzącą uczuciami.

Z trudem się powstrzymała, żeby nie palnąć „kiedyś owszem!”, ale nie chciała poruszać w rozmowie z Bridwellem tak osobistych tematów. Istotnie, była przedtem typem kobiety praktycznej, rzeczowej, a nawet może oschłej, ale tych kilka tygodni spędzonych w Hillsdale Castle i miłość do Nathaniela odmieniły ją.

- Dość już tej komedii. Obydwoje wiemy, że obchodzi pana tylko majątek dzieci. Po co mnie pan tu wzywał?

- Chciałem, żeby pani użyła swego wpływu na mojego bratanka i namówiła go do oddania mi dzieci bez wszczynania batalii prawnej. Dostanie się pani za to sowite wynagrodzenie.

Harriet już wcześniej zniecierpliwiła go serdecznie, bo był przyczyną lęku i cierpienia tych, których kochała. Teraz utwierdziła się jedynie we wrogości.

- Lord Avery niełatwo zmienia zdanie. Z czego pan wnosi, że mogłabym na niego wpłynąć?

- Przecież widzę, jak pani na niego patrzy: z oddaniem, troską, głębokim uczuciem. A i on nie traktuje pani obojętnie. Sprytna kobieta potrafi manipulować mężczyzną, jeśli tylko chce.

- A jeżeli odmówię?

- To pani pożałuje. Lord Bridwell zacisnął dłoń w pięść.

- Nie dam się zastraszyć. Ani ja, ani lord Avery.

- Zamierza pani wziąć jego stronę? Przytaknęła milcząco.

- Co za niemądra decyzja. Mój bratanek jest człowiekiem nierozumnym, upartym i pyszałkowatym. Walka z nim będzie trudna, ale z pewnością ją wygram. Jeśli pani odmawia mi pomocy, to proszę mieć przynajmniej tyle rozsądku, żeby uniknąć skandalu.

- Nie boję się plotek.

- Nie sądzę, żeby tak było, zwłaszcza po ostatnim londyńskim sezonie. - Spojrzał na nią złośliwie. Myśli pani zapewne, że już nic nie może być bardziej bolesne i upokarzające niż skandal, w który się pani wplątała ledwie kilka miesięcy temu?

Serce zaczęło jej walić. Chciał ją zastraszyć!

- Jestem tylko guwernantką. Mój charakter nie ma tu nic do rzeczy.

- Ale może mieć. A co też pani powie o charakterze mego bratanka? Wiem przecież, że kłamał, że zatrudnił panią pod fałszywym pretekstem i czynił pani zgoła niestosowne awanse. Ciekawe, czy ujawni pani naturę waszego związku w sądzie, czy też złoży kłamliwe zeznania, żeby ratować reputację?

- Mój związek z lordem Avery nie ma w tej sprawie znaczenia.

- Może tak, a może nie. - Bridwell wykrzywił wargi w niemiłym grymasie. Morale jest w tym przypadku elementem kluczowym! Memu bratankowi niełatwo będzie udowodnić, że jest człowiekiem nieposzlakowanym, jeśli weźmie się w rachubę pani udział we wszystkim.

- Gdyby tak rzeczywiście było - Harriet uniosła energicznie podbródek - raczej zachęcałby mnie pan, żebym przy nim została, bo osłabiłoby to jego szanse, a wzmocniło pańskie.

- Może pani sądzi inaczej lord Bridwell westchnął - ale bynajmniej nie jestem okrutnikiem. Z pewnością bratanek naopowiadał pani łgarstw. Padła pani ofiarą jego intrygi, a ja wcale nie chcę

pani uwikłać w nowy skandal.

- Nie wierzę panu.

Bridwell spojrział na nią przeciągle.

- Proszę mi wierzyć, użyję wszelkich możliwych środków, żeby wygrać, a to oznacza unurzanie pani dobrego imienia w błocie. Może mój bratanek będzie zmuszony panią poślubić, żeby nadać pozór godności waszemu związkowi, ale każdy rozumny sędzia przejrzy te matactwa. Jeśli ma pani choćby żdźbło szacunku dla samej siebie, spakuje pani manatki i wyniesie się stąd pierwszym powozem.

Harriet aż się trzęsła z gniewu i upokorzenia. Brutalna szczerłość słów Bridwella zraniła ją dotkliwie. Nie warto było odpiierać jego argumentów. Okazał się dokładnie takim człowiekiem, jak jej go opisywał Nathaniel: bezlitosnym i groźnym.

- Myślę, że ma pan rację - powiedziała półgłosem. Zajmę się pakowaniem manatek. Natychmiast.

Godność i siła woli zawsze były jej głównymi atutami. Bardzo ich potrzebowała, kiedy wstawiała z krzesła. Bez chwili zwłoki wyszła z pokoju i śmiało wspięła się na piętro.

**20**

Nathaniel zastał stryja w salonie. Lord Bridwell, którego wręcz rozpieszczała satysfakcja, powitał bratanka pogardliwym spojrzeniem. Avery odwzajemnił mu się podobnym. Uznał, że za długo pozwalał stryjowi wtrącać się we własne życie. Troska o los dzieci była jego najsłabszym punktem i Bridwell wykorzystał to bezlitośnie. Należało ukrócić jego zapędy.

Nathaniel dobrze wiedział, czego chce, i miał szczerzy zamiar do tego doprowadzić. Stał przed stryjem w pozie wyrażającej stanowczość.

- Powiedziano mi, że jest tu panna Sainthill, ale jej nie widzę. Wyszła na przechadzkę po ogrodzie?

Bridwell uniósł bez słowa brwi. Oznaczało to groźbę, lecz Nathaniel zignorował ją.

- Poszła na górę spakować rzeczy. Bez trudu ją przekonałem, że powinna się stąd wynosić. Z początku sądziłem, że darzy cię pewnym przywiązaniem, ale najwyraźniej się pomyliłem.

Bridwell dobrał słowa starannie, chcąc, żeby raniły jak najboleśniej. Nathaniel poczuł skurcz w gardle na myśl, że Harriet mogłaby go opuścić, nie pozwolił jednak, żeby rozpacz wzięła nad nim górę. Nie zawróci ze słusznej drogi.

O losie dzieci należało rozstrzygać tu i teraz. Nie zamierzał potulnie rezygnować ze zwycięstwa w tej walce.

- Uczucia panny Sainthill to moja sprawa, stryju, nie twoja. - Spojrział mu badawczo w twarz, szukając w tych stwardniałych rysach choćby cienia przywiązania do rodziny. Nie było go.

- Miałem sporo czasu, żeby dokładnie przemyśleć pewne rzeczy. Północna Szkocja doskonale się do tego nadaje. - Usiłował mówić tonem pełnym spokoju, a nawet jakby nieco znudzonym. - Z początku zamierzałem zaoferować ci pieniądze w zamian za prawo do opieki nad dziećmi, choć w końcu odrzuciłem tę myśl. Gdyby ci jednak odpowiadała, mógłbyś uzgodnić ze mną sumę, teraz lub za rok, jeśli dojdiesz do wniosku, że chcesz dostać więcej. Bridwell zeszywniał, wyczuwając w jego słowach zawołaną obelgą, ale się nie odezwał. Sprawę tę można rozwiązać na wiele legalnych sposobów i kilka nielegalnych. Nie spocznę, póki tego nie dokonam. Jestem o wiele młodszy od ciebie. Mam więcej uporu, środków i zdecydowania, a w ciągu ostatnich tygodni jeszcze się ono wzmoгло.

- Nie jesteś niezwykcieżony, Avery. Fakt, że tak łatwo wytropiłem twoją kryjówkę, powinien ci coś niecoś powiedzieć o moim zdecydowaniu.

- Znalazłeś mnie tylko dzięki przypadkowi. Drugi raz już ci się nie poszczęści. Panna Sainthill mówiła przecież, że ten list nie był przeznaczony dla ciebie. Napisała go z czystej życzliwości i szczerzej troski o dzieci - te dwie cechy, na pewno są ci całkiem obce. Nie umiem się dopatrzeć żadnego błędu w jej postępowaniu.

- Jesteś niezwykle wyrozumiałym chlebodawcą. Lord Bridwell uśmiechnął się drwiąco. To musi być doprawdy pierwszorzędna... guwernantka.

Nathaniel mógł ścierpieć wiele prócz ubliżania Harriet.

- Pewien agent z Bow Street, który miał czelność zaczepić ją w jednej z oberż, do dziś chyba leczy obolałą szczękę. Jeśli jeszcze raz powiesz coś tak obrzydliwego, wyjdiesz z tego bardziej poturbowany.

- Grozisz mi?

- Ani trochę. Ostrzegam cię tylko przed konsekwencjami. Nathaniel spojrzał stryjowi w oczy. Dzieci zostaną przy mnie. Będę o nie walczył przed każdym sądem w tym kraju. I wygram. Nie dbam o to, jak długo to potrwa ani ile mnie będzie kosztowało.

Lord Bridwell poruszył się na krześle, jakby dopiero teraz zaczynał rozumieć powagę sytuacji.

- Za szybko dajesz się ponieść zawziętości. Po cóż adwokaci mają się bogacić na sporze rodzinnym? Możemy dojść do porozumienia jak ludzie cywilizowani. Trzeba tylko chcieć.

- Nie jesteś człowiekiem cywilizowanym, za to ja jestem rozumny. - Nathaniel zacisnął w napięciu szczęki. Czyżby wreszcie zdołał przekonać stryja do ugody? - Mój prawnik przygotowuje odpowiednie dokumenty, a ty je podpiszesz. W zamian za porozumienie otrzymasz skromną finansową rekompensatę.

- Tytuł książęcy wart jest fortunę! Nie dam się przekupić nędzną sumką!

- Nie będzie ona wcale taka nędzna, ale też nie pozwolę ci się o nią targować.

Nathaniel z zapartym tchem czekał na odpowiedź. Nigdy nie zdarzyło mu się grać ze stryjem w karty. Nie wiedział, czy jest on typem gracza, który woli pokusić się o hipotetyczną wygraną, czy też zadowolony się mniejszą, ale natychmiastową i pewną. Czy zdoła skłonić starca do rezygnacji? Może nie docenił jego determinacji? Może powinien zaoferować więcej pieniędzy, użyć silniejszego bodźca?

W głowie kłębiło mu się od wątpliwości, lecz nagle jego rozmyślania przerwał głucho trzask, a potem krzyki, jakby na piętrze rozgorzała zawzięta kłótnia.

Na początku próbował zignorować hałasy, lecz te przybierały na sile. Czyżby chodziło o dzieci? Spojrzał na kamienną twarz stryja i wybiegł z salonu.

Hałas dobiegał z małego korytarzyka na piętrze. Nathaniel ujrzał sługę w otwartych drzwiach jakiejś sypialni. Lokaj przyjął jego nadejście z wyraźną ulgą.

- Och, sir, proszę mi pomóc - jęczał przerażony. - Dziesięć minut temu do sypialni lorda Bridwella wpadła jakaś kobieta i wywróciła ją do góry nogami, a poczyną sobie, jakby uciekła z domu wariatów! Właśnie rzuciła we mnie nowym surdudem Jej Lordowskiej Mości!

Dopiero teraz dostrzegł, że lokaj ściska kurczowo w rękach błękitne okrycie ze wspaniałej, luksusowej tkaniny.

- Znam tę damę oznajmił - może sama mi wyjaśni, co oznacza jej zachowanie.

Lokaj, lamentując żałośnie, odsunął się od drzwi. Nathaniel ze zdumieniem ujrzał Harriet



grzebiącą zawzięcie w stosie ubrań. Przebiegła potem przez pokój z całym naręczem czystych koszul i wrzuciła je na chybił trafił do otwartego sakwojażu stojącego na środku łóżka. - Harriet, co ty wyprawiasz?

Spojrzała na niego zdyszana, ze złością w oczach.

- Twój stryj to ostatni łotr! Nie przeczę.

- Najpierw chciał mnie przekupić, potem mi naubliżał, a wreszcie próbował zastraszyć! - Kopnęła bez ceremonii parę jeździeckich butów stojących na dywanie i ponownie podbiegła do szafy.

- I dlatego postanowiłaś się zemścić na jego garderobie?

- Nie, po prostu robię dokładnie to, co mi kazał - odparła nachmurzona. Uparł się, żebym poszła pakować manatki, i po raz pierwszy, odkąd go ujrzałam, uznałam, że ma rację. Tylko że zamiast własnych, postanowiłam spakować jego rzeczy, żeby się mógł stąd jak najprędzej wynieść!

Nathaniel nie zdołał pohamować śmiechu. Powinien był się domyślić, że Harriet nie da się tak łatwo przepędzić.

- Powiedział mi, że wyjeżdżasz.

Harriet na chwilę przerwała pakowanie i wyprostowała się energicznie.

- Myślał, że mnie zastraszy, podły cymbał! Pozwól sobie powiedzieć, że trzeba czegoś więcej niż takiego irytującego, despotycznego starego bałwana jak on, żeby mnie usunąć z twojego życia.

Nathaniel patrzył na nią bez słowa. Czuł niewyobrażalną wręcz ulgę. Harriet była wspaniała w swoim słusznym gniewie, z błyszczącymi oczyma i falującą piersią. Wiedział, że ją kocha. Chciał się o nią troszczyć, być jej kochankiem, mężem, dzielić z nią przyszłość.

- Harriet, kocham cię.

Przerwała wpychanie stosu chusteczek do sakwojaża i zastygła bez ruchu.

- Coś ty powiedział?

- Że cię kocham.

- Wiem. Usłyszałam to już wcześniej, ale po prostu chciałam, żebyś to powiedział jeszcze raz.

Rzuciła chusteczki na podłogę, a on objął ją z całej siły i pocałował tak serdecznie, jakby wreszcie zdołał wypełnić jakieś przyrzeczenie. Dopiero teraz zrozumiał, że nie mógłby bez niej żyć, że aż do tej pory nie wiedział, czym jest szczęście, czym jest miłość.

- Jak Boga kocham, nie można was ani na chwilę zostawić samych. Nathaniel niechętnie spojrzał na Duncana.

- Odejdź, McTate.

- Nie mogę. Mam pewien kłopot. - Szkot wszedł do sypialni i rozejrzał się dokoła ze zdumieniem. - Co się tutaj dzieje?

- Harriet pomaga w odjeździe lordowi Bridwellowi. Potrafi pakować rzeczy jak nikt inny.

- Hm, myślę, że lepiej z nią nie zadzierać.

- Zdaje się, że będę posłuszny twojej radzie aż do końca życia. - Nathaniel pocałował Harriet jeszcze raz. Dopiero po chwili przypomniał sobie o czymś. - Mówiłeś o jakimś kłopotcie.

- Pewien typek pyta o ciebie. Mówi, że nazywa się Brockhurst.

- Jakoś sobie nie przypominam nikogo o tym nazwisku. Twierdzi, że mnie zna?

- Nie, ale upiera się, że ma dla ciebie ważną wiadomość. To Anglik, chyba londyńczyk. Coś mi się zdaje, że jest szpiclem nasłanym przez twojego stryja.

- A ty, rzecz jasna, wpuściłeś go do domu - stwierdził zgryźliwie Nathaniel. Niedługo mi

oznajmisz, że zaprosiłeś na obiad sędziego śledczego.

- Nie bój się, nie pozwolę cię aresztować. Nie chcę, żeby się rozniosło, że goszczę u siebie groźnego kryminalistę. Byłoby to plamą na moim honorze.

- Panie McTate! krzyknęła oburzona Harriet.

- Niepotrzebnie się tak jeżysz, dziewczyno. Ja tylko żartowałem. Nathaniel, lepiej obeznany ze specyficznym poczuciem humoru Szkota, nie obraził się wcale.

- Gdzież on jest?

Kazałem kamerdynerowi zaprowadzić go do salonu.

- Zostawiłem tam stryja kwadrans temu! Gdzie są dzieci?!

- Bawią się wybornie w pokoju dzieciennym, całkiem bezpieczne. Postawiłem wszędzie służących na straży. Trzeba by armii Wellingtona, żeby dać im radę.

Nathaniel, choć uspokojony jego słowami, zszedł do salonu, z każdym krokiem czując się bardziej nieswojo. Lord Bridwell i agent oczekiwali go w kompletnej ciszy.

Widok Brockhursta nie poprawił mu bynajmniej nastroju. Na twarzy agenta widniał potężny siniec, a zabrudzony surdut aż się prosił, by go wyczyścić i odprasować.

- Chciał pan się ze mną widzieć?

- Owszem, ale najpierw chciałbym panu coś oddać.

Brockhurst wyjął z torby coś, co wyglądało na kupkę zniszczonych gałganków. Reszta obecnych nie zareagowała, ale Nathaniel natychmiast poznał, co ma przed sobą.

- Lady Julienne! - mruknął ze zdumieniem.

- Doprawdy?! - Harriet skwapliwie sięgnęła po lalkę. - Ależ się Jeanne Marie ucieszy! Bardzo panu dziękuję! Uwolnił pan małą dziewczynkę od wielkiej zgryzoty.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt. - Brockhurst szybko wyciągnął z torby jeszcze coś. - Podczas śledztwa znalazłem w pańskiej londyńskiej rezydencji list adresowany do pana.

Nathaniel ze zdumieniem rozłożył kartę pergaminu. Harriet i McTate spoglądali mu przez ramię.

- Napisał go Robert niedługo przed śmiercią! - zawołał Nathaniel po uważnej lekturze. - Lękając się najgorszego, prosi, żebym zaopiekował się dziećmi, gdyby los zechciał go zabrać z tego świata. Nawet pod sam koniec życia i w tak ciężkiej chorobie troszczył się o tych, których kochał. Nie zawiódł ani mnie, ani malców. Oto dowód.

- To fałszerstwo! syknął Bridwell. Żaloszna próba sfabrykowania świadectwa na rzecz twoich pretensji do opieki nad nimi.

- Stryju, czyżby wynajęty przez ciebie agent dopuścił się oszustwa? Nawet mnie coś takiego nie przyszłoby na myśl.

- Mogłeś to podrzucić, gdzie tylko chciałeś. Nie brakowało ci sposobności!

- Po co? Przecież gdybyś go znalazł, list szybko by skończył w kominku. Obydwaj dobrze o tym wiemy.

- Daj mi go! Sam chcę przeczytać!

- Po powrocie do Londynu przyślę ci kopię przez mojego prawnika. - Nathaniel starannie złożył pergamin i schował go do wewnętrznej kieszeni surduta. Nie zaszczycając już Bridwella ani jednym spojrzeniem, zwrócił się do Brockhursta:

- Jestem panu bezgranicznie wdzięczny, a prócz tego winienem przeprosić za obrażenia.

- Musiałem się wtedy zagapić. Agent powiódł palcami po sińcu.

- Z pewnością. I tylko dlatego zdołałem pana zaskoczyć. Wymienili uścisk dłoni.

- Zechce pan przyjąć solidną rekompensatę za wysiłki?

- Nie trzeba, milordzie. Wystarczy mi świadomość dobrej roboty. Lord Bridwell zapłacił mi zresztą całkiem niezłą sumkę, a prócz tego pokrył koszty mojej podróży do Szkocji.

Roześmieli się obydwaj i agent, ukłoniwszy się, odszedł. Nathaniel skorzystał z głuchego milczenia Bridwella, żeby oznajmić:

- Stryju, skoro spakowano już twoją garderobę, powinieneś chyba wracać do Anglii. Szczęśliwej podróży!

- Bzdury gadasz. Starzec ocknął się wreszcie z odrętwienia. Nie dawałem żadnego polecenia memu lokajowi.

- Ja się tym zajęłam wyjaśniła słodziutko Harriet.

- Miała pani czelność rozkazywać memu służącemu?! Bez mojej zgody?! - Skądże, nigdy bym sobie nie pozwoliła na coś podobnego. Ale czyż niecałą godzinę temu nie podsunął mi pan myśli, bym spakowała manatki? No i właśnie tak zrobiłam, tyle że spakowałam pańskie, a nie moje. Chyba będzie się pan musiał z tym pogodzić. Co prawda lord Avery i pan McTate są zdania, że trochę za ostro obeszłam się z pańskim sługą. Biedaczek nigdy już chyba nie przyjdzie w pełni do siebie po tym wstrząsie.

Lord Bridwell otworzył usta, lecz zaraz, je zamknął, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Po chwili, patrząc gdzieś w przestrzeń, z pełnym obrzydzenia pomrukiem wypadł z salonu, trzaskając potężnie drzwiami.

- Byłaś wspaniała, dziewczyno. McTate zamknął Harriet w potężnym uścisku i dwa razy zakręcił nią w powietrzu, nim z powrotem znalazła się na ziemi. Zdradź mi, czy nie masz w domu siostry, którą pewien przystojny Szkot mógłby obrócić wkoło?

Harriet nie mogła sobie wyobrazić kruchej, delikatnej Elizabeth w parze z krzepkim McTate'em.

- Owszem, mam siostrę. I jest to najładniejsza, najłagodniejsza istota w całej okolicy. Jednak zbyt delikatna, żeby sobie poradzić z takim szkockim hultajem, jak pan.

- Z pewnością będzie na naszym ślubie, ale poznasz ją tylko pod warunkiem, że nie zaczniesz jej oszalać swoimi wdziękami wtrącił Nathaniel.

- Prawdę powiedziawszy - MacTate zrobił chytrą minę nie trzeba już żadnego ślubu.

- Co takiego?! - Obydwoje spojrzeli na niego z najwyższym zdumieniem. Szkot uśmiechał się od ucha do ucha.

- Podróżowaliście przez Szkocję, mówiąc każdemu, że jesteście mężem i żoną?

- No... tak. A więc stało się! - McTate trącił Nathaniela w bok. Tu jest Szkocja, mój drogi, a nie drętwa, stara Anglia. Skoro wobec świadków powiecie, że jesteście mężem i żoną, to naprawdę się nimi stajecie.

- Czy to prawda?! - Harriet ledwie mogła mówić.

- Chyba tak. Nathaniel chrząknął raptownie. - Ale i tak zamierzam z tobą stanąć przed kapłanem Kościoła anglikańskiego wraz z Phoebe, Jeanne Marie, Gregorym i całą twoją rodziną, żeby poślubić cię jak należy. - Ujął ją uroczyście za rękę. - Czy chcesz mnie wziąć za męża?

- Och, jak najbardziej, wezmę cię, lordzie Avery, i już nigdy nie puszcę!

Pobrali się miesiąc później w małym wiejskim kościółku znanym Harriet od dzieciństwa. Do ołtarza poprowadził ją brat, wicehrabia Harrowby, a bratowa, Faith, zamierzała wyprawić jej wesele godne księżniczki. Zaproszono na nie całe okoliczne ziemiaństwo, a także kilka starannie wybranych osób z londyńskiej socjety. Duncan McTate był drużbą Nathaniela. Do przystojnego

Szkota wzdychały wszystkie niezamężne niewiasty z orszaku ślubnego.

Nawet lord Bridwell zaszczycił uroczystość swoją obecnością, chociaż odmówił pozostania na przyjęciu. Niełatwo mu się było pogodzić z utratą kontroli nad książęcym majątkiem, ale nie mógł narzekać na finansowe warunki ugody zaofiarowane mu przez Nathaniela w nadziei, że go tym udobrucha.

Dzięki niezbitym dowodom odkrytym przez Brockhursta prośba Nathaniela szybko została rozpatrzona przychylnie przez sąd. Lord Bridwell mógł się zaś cieszyć, że w ogóle dostało mu się cokolwiek, choć nigdy by tego nie przyznał publicznie.

Po ceremonii ślubnej goście wrócili do Hawthorne Castle na przyjęcie weselne. Dom zdołały festony kwiatowe, a dziesięć tradycyjnych potraw podano na najwykwintniejszej porcelanie. Harriet czuła się zakłopotana kosztami, lecz brat i bratowa nastawiali, by ślub odbył się z całą okazałością, na jaką było ich stać.

Zbyt przejęta, żeby jeść, Harriet krążyła pomiędzy gośćmi, z panem młodym pod ramię. Nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa, tak pełna radości i widoków na przyszłość. Miała już, dzięki małżeństwu, troje ukochanych dzieci, a kiedyś na pewno doczeka się i własnych.

Cieszyła się też z góry na podróż poślubną, która miała się rozpocząć za dwa dni. Zgodnie z obyczajem przygotowania do niej zaczęła dużo wcześniej. Koniecznie też chciała się podzielić tymi planami z Nathanielem.

Późną nocą, kiedy obydwójce spoczęli w małżeńskim łóżku, wyszeptała mu swoje zamiary do ucha. Rozbawiły go niezmiernie.

- Na świecie jest tyle egzotycznych miejsc i mnóstwo niezwykłych krajobrazów, a ty chcesz znów jechać do Szkocji?

- Dzieci zostają z Griffinem i Faith, a ja wolałabym nie wyjeżdżać zbyt daleko. Kiedy wspomniałam Duncanowi o moim projekcie, obiecał mnie przyjąć z całą szkocką gościnnością.

Nathaniel wciąż nie był w pełni przekonany. - Jesteś pewna, że chciałabyś się znaleźć właśnie tam? Szczerze mówiąc, nie przypuszczam, żeby pani Mullins nauczyła się lepiej gotować i dbać o porządek w zamku.

- Nie mówiąc już o jej dialekcie roześmiała się - choć z czasem zaczęłam go nieco lepiej rozumieć.

- No więc dlaczego chcesz jechać akurat do Hillsdale Castle?

Objęła go za szyję z przekornym uśmiechem i mocno się do niego przytuliła.

- Bo tam, mój miły, wszystko się zaczęło!